Lipiec — 1859.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

XIV.

O ŚNIE ZIMOWYM PTAKÓW.

Cóż łatwiejszego w życiu ludzkiem jak orzec że to lub owo stać się nie może, lub też że nie jest prawdopodobnem? Cóż wygodniejszego dla uśpionéj myśli jak wątpliwość dozwalająca pozostać w dalszéj nieczynności, a zasłoniona przed wyrzutami tem soporyficznem słowem *wątpię i wątpić muszę.* W pocieszającéj naszéj religii, wątpliwość uwalnia człowieka od wypełnienia przykrych często przykazań kościoła, ona to rozpuszcza węzły i pęta obowiązków! W naukach ułatwia liche prace, niedozwalając dochodzić mozolnie prawdy, tak zawsze w głębi tajnéj, ukrytéj; w badaniach wyższéj natury jest ona zgubnym hamulcem dla szczerych pracowników, dla płytkich zaś portem wygodnym, do którego się chronią jak najspieszniéj! W życiu męża ka-

żdego zwątpienie osłabia energię, podkopuje wytrwałość, siły odejmuje, — paraliżuje wszelką czynność i w jakim bądź zawodzie postępu nie dozwala, skutki jéj zawsze zgubne, cięży na człowieku jak przekleństwo, a przecie się wkrada niepostrzeżenie jak niezdrowe powietrze przez każdy otwór i potrafi zatruć życie!

Wątpić, — to nie kochać, wątpić, — to nie używać nigdy pokoju wewnętrznego; wątpić, to odrzucić szczęście jedyne, którego nam w swem miłosierdziu Stwórca używić dozwolił; wątpić — to w naszéj pielgrzymce po téj ziemi katuszą duszę dręczyć; wątpić — to odpychać bez miłosierdzia dla siebie, — nadzieję, tę pocieszycielkę pełną anielskiéj słodyczy! Zwątpienie mieć w duszy, o zaiste to życie swe kirem obrzucić; a cóż dopiero dziać się musi z człowiekiem, który w nieszczęściu srogiem, wpuści do kryjówek serca ten jad szatański?

Cóż z przyszłością narodu, w którym się szerzy zwątpienie, tłumiące cnotę, niszczące energię, wyzuwające go z wszelkiéj nadziéi, zwalniające węzły obowiązków religii i obywatelstwa, rozprzęgające całość, która jest podstawą siły? Sroga to rzeczywiście kara gdy Bóg w swym sprawiedliwym gniewie zseła na człowieka, na rodzinę, — na społeczeństwo lub też na naród, *zwątpienie*, które jak rdza padająca na kłosy złocistego zboża, zwolna niszczy plon, a tak skrycie że oko ludzkie postępującego zniszczenia nie postrzega i czas dopiero odkrywa ogrom strat sprowadzonych. Te myśli nasuną się mimowolnie każdemu, który spojrzy na mieszkańców naszéj od Stwórcy tak bogato uposażonéj krainy, zdawałoby się iż przeznaczoną jest do zażywania bogactw i błogiéj spokojności, — a zaszczepienie sztuczne zwątpienia, podejrzliwości, nieufności jednych do drugich sprowadziło stan opłakany, stan kraju, w którym każdy boleje, każdy sobie samemu się skarży, a przed drugim narzeka, szuka trucizny w swem życiu

a nieznajduje często, bo szukać nie umie; wkradł się jad już we wszystkie warstwy ludności, następuje bezwładność, niechęć, brak ufności w przyszłość, stan letargu z którego się budzą nie do dobrego lecz do złego i znowu zasypiają, bo życie często ciężarem się staje!

W naukach i badaniach ileż to zwątpienie i rzucona wątpliwość wstrzymały postępu, ile zawiści pokryły, ileż zaszczepiły podejrzliwości? Ogół zawsze wolno koleją życia postępował, — mała jedynie liczba wybranych sporszym krokiem ruszała naprzód i skokami, jeżeli tak powiedzieć mogę, otrzymywała nieprzewidziany postęp, — postęp który zdobyć musiała olbrzymią wytrwałością, gdyż towarzysze nauki z początku dziwili się, późniéj zazdrościli a na końcu ciskali się na odkrycie, wątpliwość chciwie chwytaną przez ogół i ona spiżowym hamulcem wstrzymywała go, dopóki zbawienne dowody nieprzekonały ciemnych, iż rzeczywiście człowiek człowiekowi dobrodziejstwo wyświadczył. Czytając życiorysy Krzysztofa Kolumba, Gutenberga, Kopernika i tych wszystkich zasłużonych mężów poświęcających całe życie dla ludzkości, zmierzmy trudności z jakiemi im przyszło walczyć, a rzeczywiście dusza zaboleje pełna współczucia i nie jeden z nas przyzna że w podobnych okolicznościach byłby wszystko porzucił a zniechęcony schował się w swą skorupę jak ślimak. Swiadczyć dobrodziejstwa, ułatwiać drugim życie, odkrywać źródła bogactw, wskazywać nieznane zarobki, wynajdywać żyzne kraje, do których płynąć może przepełniająca Europę ludność, i za to być odpychanym, za to żyć w niedostatku a często w nędzy, — być uważanym za marzyciela lub filuta, a nie ustać w tym dobroczynnym zawodzie, to zaiste być trzeba od Boga wybranym! Zmierzmy te odchłanie, trudności, niechęci, zawiści i zemsty w któréj pasowali się ci dobroczyńcy ludzkości, postępując zwolna naprzód mimo zakłada-

nych im kajdan, trawiąc życie częstokroć bez pociechy i nagrody, porównajmy ich z temi co z łatwością z nicości powstają ci apostołowie zgubnych i fałszywych doktryn, obfitujących we wszystko, laurami skronie zdobiących; ich nauki szatańską elektryką przebiegają światy, a ogół w stan gorączkowy wprowadzony przyklaskuje i cieszy się, iż fałsz za prawdę bierze a ciemnice za jaskrawą światłość. Wtedy dopiero pojąć zdołamy niebezpieczeństwo wątpliwości, grożące nam ustawicznie, wtedy z bolesnym przestrachem ujrzymy tę ludzkość od jéj kolebki do dzisiejszéj chwili zawsze gotową do złego a tak uporczywie trudną, tak zawsze niechętną do przyjęcia dobrego.

Wieleż to trzeba złożyć dowodów, wieleż jawnych prób odbyć w jakiéjkolwiek naukowéj gałęzi, aby wiara w rzeczywiste odkrycie rozszerzyła się i utwierdziła, szczególniéj, gdy błąd głębokie korzenie zapuścił.

W części, tylokrotnie oszukana ludzkość łatwo uwierzyć nie chce, w części zazdrość współubiegających się, rzuca wątpliwość, a większość nie skora do przyjęcia nowych odkryć obojętnością szkodzi, i tak nie jedno odkrycie spoczywa jak poczwarka czekająca ciepła i słońca, czyli miłości poświęcenia i rzeczywistego światła. Znając stan ludzkości ujrzymy łatwo podstawę tej szkodliwéj niechęci, zemsty i prześladowania: gdy się wzniesie nad ogół człowiek i jednem słowem przewróci system w który przez tyle lat wierzono, możesz być inaczéj gdy przyjdzie tym samym odwoływać to co za rzeczywistą prawdę głosili uczniom? Niestety i w naukach napotykamy mało poświęcenia jednych dla drugich, rzadko natrafiamy na szczere zaparcie się tego *ja*.

Szczególniéj w naukach przyrodzonych wymagających tyle mozolnych badań i trudów, a w którym zawodzie szczery i zamiłowany pracownik co chwilę ujrzy nową i nieznaną odmianę, co chwilę przekona się w obec taj-

ników przyrody o rzeczywistości znanego słowa: *że nie wszystko jest prawdą co drukują*, i że to sprostowanie z poświęceniem przeprowadzić wypadnie, wtedy się przekona jak trudną będzie ta przeprawa i jak każde odkrycie z przymusem zadawać trzeba jak lekarstwo, przeciw czemu chory się broni całemi siłami, bo to tak wygodnie przy dawnem pozostać, nowego się nie uczyć i wątpić a wątpić nie badać daléj i głębiéj. Jakaż bo to boleść dla naukowego badacza, jeżeli widzi, iż mu prostują lub zmieniają to co wypiastował, co głosił i uczył, że wymazują to ulubione *mihi*, które miało imie jego do potomności przenieść, że mu dowodzą, iż niezgłębił prawdy i nieodkrył tajników przyrody. Możemyż się dziwić że w tem poniżeniu a zaślepieni miłością własną, żywią się niechęcią i zawiścią, rzucają wątpliwość na bolesne dla nich odkrycie, a zamiast uznania prawdy, zamiast w szczerem poświęceniu nieść pomoc nauce, stawiają tamy i sobkowość niemal zawsze bierze górę. Niestety, taki jest człowiek; nawet wzniosła nauka nie oczyszcza go z brudu zawiści.

W moim nawet skromnym zawodzie badacza, nie mając, ani czasu, ani możności oddania się wyłącznie naukom przyrodzonym, krępowany niejednemi kajdanami obowiązków różnych, w tem nawet urywkowem badaniu, li ogrzany miłością nauki i prawdy, party niepohamowaną chęcią poznania skrytości przyrody, bez miłości własnéj, bez szukania chwały i nagrody, w tem że tak powiem ciasnem kółku, w którem się szlachcic polski na wsi rusza, doznałem nie raz téj trucizny pochodzącej z wątpliwości jaką rzucano na me twierdzenie. Rzecz szczególna, że antagonizm w zawodzie naukowym nie ustaje, owszem wszędzie go uczuć można gdy tylko miłość własna nowością, sprostowaniem lub odkryciem rozdrażnioną bywa. Jak o śnie zimowym jaskółek, a dawniej i ssących zwierząt,

jak o tylu skrytych tajnikach przyrody, których w mieście poznać nie można, tak też wątpiono że czapla, bąk *(Ardea stellaris)*, huczy samiczce na wiosnę koncerta miłosne, nie gardzielą jak inne ptaki, lecz nabieraniem i wypluwaniem wody, lub też trzymając dziób głęboko w wodzie i puszczając powietrze wydaje te tony nieporównane z innemi znanemi. Szczęśliwym trafem razy kilka podkradłem się tak cicho pod huczącego bąka, że najdokładniej widziałem jak nabierał i wyrzucał wodę i jak w wodzie dziób trzymając huczał niedaleko samiczki zachwyconéj talentem samczyka na tym męczącym instrumencie. Raz nawet po pierwszéj przeciągniętéj nucie, spłoszyłem wirtuoza i przymusiłem go że podlatując wydał wodę która miała służyć do wydobycia drugiéj nuty. Spisawszy to zdarzenie potwierdzone kilkoma dowodami, oparte na ludowych podaniach dawnych, czytałem rozprawę zgromadzonym badaczom w Halberstadt, nie jeden się zadziwił, nie jeden znowu wątpił, badał mnie znowu na osobności inny, a formujące się grupy spoglądając na mnie, rozprawiały nad tem odkryciem, z nieufnością i podejrzywaniem. Tu przecie po długich naradach przyznano rzeczywistość tego odkrycia.

W mych powtórzonych wycieczkach po Tatrach i Karpatach w miesiącu sierpniu widywałem niedaleko szczytów gór (połonin) krążące ptaki, które nie były drapieżnemi, przekonałem się że to były młode kniejotki Głuszce *(Tetras urogallus)*, z samiczką wprawiające się do lotu temi powietrznemi ewolucyami. To moje odkrycie potwierdzili górale. Rzeczywiście młode ptaki z samicą już w zupełnem pierzu nad wieczorem podnoszą się razem do lotu i krążą do zachodu słońca po nad polanami szczytów gór, po niejakim czasie spuszczają się i kryją

po gąszczach. Te igraszki powietrzne trwają dni kilkanaście w czasie pogodnym, a gdy lotnemi już są ptakami i z łatwością przenoszą się z góry na górę, wtedy rodzina powraca do skrytego życia pod cieniem gałęzi i liści, rzadko kiedy skrzydeł używając. To rzeczywiście szczególne odkrycie podałem do czasopism niemieckich, zadziwienie było wielkie i wątpliwość we wszystkich; jak iskra elektryczna przebiegła ta wiadomość po pismach publicznych, i nie jeden sędziwy badacz książkowy wykrzyknął a potem wydrukował, to być nie może, to jest przeciwnem naturze grzebiących ptaków, a przecie to odkrycie jest wynikiem mozolnych i sumiennych badań których sprawdzić nie mogą uczeni z pod Hagi, Berlina, Heidelbergu i Paryża, nie mający pewnie ochoty zwiedzania uroczych a dziewiczych gór i niedostępnych lasów.

Od lat kilkunastu co roku niemal odkrywać mniemają uczeni postępowéj Europy gatunki ptaków i opierają odkrycia na różności rozmiarów, stósunku lotek do sterówek, odmianach nieznacznych, w barwach i t. d., a że te odkrycia odbywają się między ścianami gabinetów, oparte na porównaniu preparowanych (często nader niedokładnie) egzemplarzy, bez daty i wypisu miejsca zamieszkania ptaka, bardzo łatwo odkryć gatunek nowy potwierdzając odkrycie wystawieniem kilkunastu podobnych egzemplarzy; a że ptaki podług wieku i płci zmieniają się, podług obfitego lub niedostatecznego żeru mają większe lub mniejsze rozmiary, a nawet w różnych okolicach różne odmiany w śpiewie i zwyczajach napotkać można, te nibyto odkryte gatunki w katalogu ptaków europejskich zaświeciły chwilowo aby zgasnąć na zawsze, wszakże mgłę bałamuctwa w nie jednéj książce i nie w jednéj głowie pozostawiły, nie jeden taki sztucznie stworzony gatunek, dzięki naszéj bogatéj faunie, zamordowałem niemiłosiernie, przesełając wyna-

lażcom wszystkie barw przejścia i przez lat kilkanaście styczności z niemieckiemi badaczami mógłem do sytu się napatrzyć ile jadu sączyć może miłość własna upokorzona i jakich broni używa aby zakryć upokorzenie i szkodzić pogromcy. Zdarzyło mi się równie odkryć że czaple szare (*Ardea cinerea*) gdy nie znajdują w okolicy obfitéj w żer, wysokopiennych spokojnych lasów, gnieżdżą się w trzcinach na wodach i błotach jak spokrewnione gatunki; to odkrycie przewróciło dotąd utrzymywane zdanie, bo nawet za cechę tego gatunku uważano gnieżdżenie czapel szarych po drzewach. — Znowu zdziwienie i rzucona wątpliwość. Wypisuję tu te drobne szczegóły i mało ważne odkrycia nieprzypisując sobie żadnéj zasługi, bo jak to mówią, *same mi pod oczy przyszły*, lecz dla tego aby udowodnić jak mało jest solidarnéj pomocy w naukach i co za przeważną rolę odgrywa wątpliwość służąca za zręczną broń; wypisuję równie dla tego, aby i w tych małych szczegółach pokazać niechęć i niedowierzanie pracy, wytrwałości i nauce.

O śnie zimowym czyli letargu zwierząt ssących przez długie wieki wierzyć niechciano, nareszcie oczywiste dowody dostarczone mogły każdemu ułatwić przekonanie, gdyż te próby na myszach (*mus*) koszatkach (*myoxus*) bobakach (*marmota*) w pokoju odbywać można było i przez zimę kilkakrotnie do życia zwierzątka cieplikiem przyprowadzać i znowu zimnem mroźnem zasypiać na długi czas. — O śnie zimowym ptaków, czyli chwilowem trętwieniu ani jeden autor nowoczesny słyszeć niechce, zaś dalszych badań nierobiono, mówiąc *to być nie może* aby ptak z kompletnym systemem arteryi i z płucami potrzebującemi powietrza mógł trętwieć na kilka miesięcy, a przecież najdawniejsi i średniowieczni autorowie niemal wszyscy o tem wspominają, opierając się na podaniach ludowych. W każdym europejskim kraju u wie-

śniaków równobrzmiących wiadomości zaczerpnąć można; nie godzi się twierdzić z pewnością że to być nie może, nie mając niezbitych dowodów, a że ilość nieskończona tajemnic w przyrodzie pod grubą zasłoną spoczywa i wieki miną nim je oko ludzkie odkryje, niewypada nam z założonemi rękami a spoczywającym rozumem wątpić a nie badać daléj i daléj a z czasem Bóg nam może uchyli mgłę zasłaniającą skarby zakryte przyrody.

Pliniusz wspomina o jaskółkach pod wodą zimujących. To twierdzenie towarzyszy nauce badawczéj do téj chwili w któréj ludzie postawili rozum nad wszystko i tym rozumem sądzić i pojąć chcą wszystko, nawet tajemnice Boskie, a co ten rozum pojąć nie może, ze wzgardą odrzucają i potępiają. Lineusz pierwszy systematyk z badaczów przyrody mówi o jaskółce grzebiółce *(Hir. riparia)* *„aut in aquis hybernans“* o jaskółce dymówce *(Hir. rustica vel domestica. Linn.) utrum aquis submersus“* o jaskółce oknówce *(Hir. urbica)* nie wspomina żeby miała pod wodą zimować, nie rozpisując się wcale i nie tłómacząc bynajmniéj to zadziwiające zdarzenie, umieszcza je jako wszystkim znane. Nim przystąpiemy do dalszego rozbioru tego tajnika natury, musimy tu nasze zdanie powiedzieć iż uważamy w części te słowa Lineusza, *pod wodą zimujące* w sensie innym, to jest że u nas zimują w Europie, a nie koniecznie pod wodą, po drugie, wytłómaczyć zkąd to twierdzenie powstało. Często rybacy po wylewie wód wyławiali kupki jaskółek szczególniéj grzebiółek z wody które jedne drugich pazurkami się trzymając tworzyły nierozdzielny kłębek, o dostawszy się nad powierzchnią wody częstokroć do życia powracały i jeżeli stopień ciepła dozwolił im znaleść pożywienie latały i z oczów znikały, jeżeli zaś zimno było, wtedy biedne ptaszki z głodu i mrozu ginęły. Zdarzało się to wtedy gdy rybacy świeżo

z dziur wypłukane jaskółki wyłowili któreby były póżniéj utonęły; — równie tak tłómaczyć wypada zdarzenia opisane przez podróżujących marynarzy którzy nie raz przy okrętach wyłowili jaskółki z wody i te ptaki odżyły, lecz to były jaskółki które przeciwnym wiatrem lub podróżą zmęczone wpadły do wody a ratując się pazurkami i długiemi skrzydłami wzajemnie się powiązały; *gdy zaś rybacy wyłowili nie żywe jaskółki, czyli potopione, odrzucili je na bok niewspominając wcale o tem zdarzeniu;* a że grzebiółki jamy brzegów stromych gromadnie zamieszkują, łatwo pojąć że fale wody buchające do otworów nareszcie te gromadki wypłukują i że broniące się ptaki szukają ratunku jedne u drugich chwytając się wzajemnie pazurkami i tym sposobem tworzą kłębek ptaków wyłowionych, o którym to kłębku tyle pisano. Również łatwo pojąć dla czego to się tylokrotnie powtarzało: wylewy bywają po wielkich długo trwających słotach, a że w tedy jaskółki dla zimna i braku pożywienia chowają się do norów, więc je prawie zawsze powódź w mieszkaniu zastawała i wypłukiwała.— Widziałem naocznie jaskółki grzebiółki wyciągnięte siecią z Wisły pod Krakowem w póżnéj jesieni (data w notatkach moich nie zapisana) było ich kilkanaście, lecz do życia ich przywrócić niezdołałem, niektóre już nawet w dekompozycyi się znajdowały, oczywiście w kryjówkach nadbrzeżnych zalane póżniéj przez wodę wypłukane i do rzeki zaniesione zostały. — Rzeczywiście rozum się wzdryga na myśl że żyjątka z ciepłą krwią i płucami pod wodą niejaki czas przy życiu pozostać mogą. Lecz że w przyrodzie wszystkiego pojąć i wytłumaczyć nie można, a tem mniéj pod równe prawa poddać i temi samemi argumentami dowodzić systemat życia jednych i drugich żyjątek, trzeba cierpliwie czekać oświaty a sumiennie i wytrwale daléj badać czekając odkrycia prawdy.

Przytaczam tu niektóre źródła wiarogodne nie dla poparcia mego twierdzenia że ptaki pod wodą zimują, bo dotąd mniemam że to są wyjątkowe zdarzenia *krótkotrwałe*, lecz żeby zwrócić uwagę badaczy a nawet ogółu do dalszego badania i przekonać że niemal w życiu każdego gatunku żyjątek, zdarzają się wyjątkowe natury i przeznaczenia które wątpliwością pokrywają, a które są przecie rzeczywistemi zdarzeniami i te to wyjątki najwięcéj zajmują badacza.— Thompson w swem dziele opisuje podobne zdarzenia i cytuje urzędowe potwierdzenia: i tak koło Ballantrae w Irlandyi nie raz widywał przez rybaków wyciągnięte a zupełnie zmarznięte nie okazujące znaku życia w jego przytomności ptaki z tym samym organizmem jak jaskółki: Nury rdzawo-garliste *(Colymbus septentrionalis)* Maskonura mnicha *(Mormon fratercula)* a sieci były spuszczone do 180 stóp głębokości w morze. W dziele p. Pastré; *de la cause de l'hybernation chez les animeaux dormans* mówi o gapie białym *(Sula alba)* że bardzo często zamrożony z morza wyciąganym bywa a tak jedne jak i drugie do życia powracały w stopniowo powiększającem się cieple. Kto podróżował po północnych morzach lub czytał wiele raportów naturalistów i uczonych, kto zna ilość ogromną różnych nurkujących ptaków nader lichemi narzędziami do lotu uposażonych, tamże przebywających w czasie lęgu, a kto znowu zmierzy ilość w porównaniu z powyższą nader małą ptaków tych, przybywających na morze Baltyckie w jesieni, a rozlatujących się po kontynencie w czasie zimowym, temu mimowolnie na myśl przyjść musi że reszta ptaków tak mało lotnych musi znajdywać na północy kryjówki i *zimować w stanie i lokalności badaczom nieznanych*, gdyż przypuścić nie możemy aby w lodowatéj atmosferze dochodzącéj do 40° mrozu ptaki znajdowały w dosyć znacznych przestrzeniach cieplice i w nich pożywienie lub

mogły oddychać tem zabijającem powietrzem? W dziele zajmującem a nader rzadkiem p. Leidenfrost 1758 *De lethargo hirund:* jest wiele opisów o jaskółkach w otrętwieniu (*torpor*) zostających a wyłowionych z wód lub znalezionych w jamach między kamieniami lub po dziupłach spruchniałych drzew. Dzieło p. Gaimard o Islandyi i Grenlandyi podaje nam opisy równobrzmiące z dziełem wyżéj cytowanem p. Pastré. W tłómaczeniu niemieckiem z r. 1839 Gmelina o śnie zimowym zwierząt wiele myśli i zdarzeń wyczytujemy, które każdą nawet wielce uśpioną ciekawość zaostrzyć muszą, równie w poważnem bardzo dziele filozofia natury pana Smelié. Arystoteles w filozoficznem w swem dziele mówi o śnie zimowym ptaków i zwierząt, dodając że gdy słońce zimowe przygrzewa ptaki, te się budzą, latają i znowu w otrętwieniu (*topor*) zasypiają. Arystotelesa zdanie jest nader ważne służyć może za wskazówkę, on pierwszy nie upiera się w wyszukiwaniu dowodów na zimowanie pod wodą jaskółek, lecz twierdzi że w otrętwieniu zimują po różnych kryjówkach w ziemi, również pierwszy nam bystre spostrzeżenie przekazuje, które się tylokrotnie potwierdziło że w różnych miesiącach zimowych w Grecyi jaskółki na krótki czas się pojawiały i znowu znikały. Nasz Gdańszczanin Klein te same postrzeżenia robi, wierzy iż jaskółki pod wodą zimują, mimo że w ciągu pracowitego jego życia mało dowodów zebrać mógł, lecz że częściéj po kryjówkach licznie zebrane w śnie zimowym kilka miesięcy przebywają. Buffon a po nim Cuvier przedłożyli raporty akademii paryskiéj o jaskółkach, które 3—4 godzin były pod wodą i okazywały, wyjęte z wody, wszelkie oznaki śmierci przez zalanie wodą. Raz pięć drugi raz siedm jaskółek wyjęto z wody w miesiącu wrześniu, obsypano je ciepłym popiołem, po trzech dopiero godzinach dostrzegli początek oddychania, lecz bez żadnego ruchu, dwie godzin późniéj

ruszyły się jedne po drugich, otrząsały z pierza popiół, posunęły się nieco z miejsca, lecz tak były zmęczone że wieczór i noc całą w nieruchomości przepędziły, rano dały się w rękach na okno ponieść i po kilku chwilach zaszczebiotawszy poleciały. Te jaskółki w czasie zimnéj jesiennéj słoty już bardzo osłabione do pokoju przyniesione zostały. Czyby to dla nas nie było wskazówką że późno wykłute pisklęta z drugiego zniesienia pomału się do zimna i głodu przyzwyczajają i nie mogąc już dla zimnéj pory i braku owadów lecić w dalekie kraje, w głębokie nory się chowają, tam trętwieją i zimę przepędzają. Pewnie ilość wielka jaskółek tego letargu wytrzymać nie może i już z kryjówek nie wylatuje, zaskoczone spokojną śmiercią, lecz przypuścić mogę że inne ten czas letargu wytrzymają i nam się w czas na wiosnę pokazują. Tym twierdzeniom zarzucają, że gdyby to się zdarzało, wtedy częstobyśmy gromadki jaskółek strętwiałych znajdywali, a nawet w bliskości pomieszkań by się kryć powinny czasami. To wcale nie zbija zdania mego; najpierwéj znając nory jaskółek po stromych i wysokich brzegach, miejscowości w rozpadliny obfitych, niedostępne zatem najczęściéj miejsca nie łatwo sprowadzą człowieka, jaskółki się tam chowają, częstokroć giną, inne na wiosnę wylatują, niektóre woda wypłucze, drugie ziemia zasypie, czasem nawet jeden duży kamień zasunie otwór i już po życiu miłych ptasząt! Człowiek pociąga wszystko pod jedne prawa, rozumem zgłębia a co niezrozumi, o tem wątpi i to potępia, a ogół chciwy wątpliwości! Możemyż twierdzić że wiemy co się dzieje w głębiach niedostępnych lasów, w środku wiekowych w pruchno przemienionych drzew, w norach i rozpadlinach ziemi, w skałach popękanych i jamach gór lub w naturalnych jaskiniach, co się tam dzieje w zimowych miesiącach? Tam gdzie nie ma przekonania opartego na dowodach,

tam gdzie przyroda pod tak grubą zasłoną kryje swe tajemnice, łatwo wątpliwości rzucać nie godzi się w nauce w któréj mozolnie ślimaczym chodem zdobywa badacz, *że tak powiem odrobiny odkryć*, a pracując całe życie, zgłębiając ustawiczną pracą tajniki przyrody, co rok się nowych, dziwnych, czasem niepojętych zdarzeń doczekuje; w téj nauce po najdłuższem życiu, po najsumienniejszéj pracy gdy na brzegu grobu stanie z pokorą wyrzecze: Dzięki Tobie Boże, za to coś odsłonić raczył, ale wiem iż moja wiedza o tajemnicach przyrody ma się jak ziarnko piasku do ogromu kuli ziemskiéj!

Olejów dnia 16 czerwca 1859.

Kazimierz Wodzicki.

O GRAMMATYKARZU MORZYCKIM.

---

§. 1.

W zagajeniu mojem w Przemyślu *) kilka słów rzuciłem o najnowszym Warszawskim Grammatykarzu *Morzyckim*, po przeczytaniu pochwalnéj wzmianki o nim przez Fel. *Żochowskiego* w Bibl. Warszaw. na *wrzesień* 1857 r. o stronniczość przeze mnie wtedy podejźrzanéj. Dziś po przeczytaniu samego dzieła *Morzyckiego* pod napisem: „Rys Grammatyki języka polsk. Warszawa 1857".— w dwu zeszytach na str. 382 — przekonałem się o słuszności mojego podejrzenia. Po tem, co się tu w krótkości możliwéj zbierze, Czytelnik mię zapewne łatwo

*) Autor téj rozprawki miał publiczne odczyty o języku polskim dla uczniów Siminaryum Przemyślskiego od 8 kwiet. do 1 Maja 1858 r. przebiegł on najgłówniejsze zasady naszego języka.

rozgrzeszy, iż nierozbieram dzieła tego układowo: bo do tego potrzeba aby i dzieło rozbierane miało pewny i prawdziwie naukowy układ. Przytoczę tylko szczegóły więcéj rażące, i tak:

1. Autor naśladując S. Jana Apostoła i Ewangielistę używającego wyrazu *słowo* (*λόγος*) do *Syna Bożego*, powtarza toż *słowo* mistyczno - dogmatycznie (chociaż Grammatyka nie jest Dogmatyką) co do powstania mowy polskiéj. Przytoczę tu P. *Morzyckiego* wyrażenia, — niech z nich Czytelnik, jeżeli może, sens schwyta! — tak na str. 10. powiada:

„Życie człowieka obrazuje się w myślach i sprawach: „więc myśli, równie jak sprawy są jego *słowem*, są „człowieczem *stań się*".

„Myśl człowieka obrazuje się mową: więc mowa jest „wyrazem *słowa* w zakresie myśli człowieka".

„Język jest wyrazem *mowy* w jéj rozmaitości ple-„miennéj".

Str. 11. ... „Zgnuśniałe obywatelstwo Romy, myśląc „tylko o uczcie i cyrku, dopuściło zaboru *słowa* swo-„jego. Pracuj więc Polaku! gorliwie w przybytku swéj „mowy, i t. p.".

Str. 12. „W Grammatykach, jakie mamy, wykłada się „tylko mowa klasyczna, książkowa, któréj używają lu-„dzie uczeni i klasy oświecone: i dla tego właściwie „zwać się powinny Grammatykami mowy polskiéj klasy-„cznéj, a nie Grammatykami języka polskiego. Mowa „gminu nieznalazła u nich *) pomieszczenia, ani nawet „wzmianki: a przecież on jest połowicą (??) narodu „polskiego i ma *słowo* swoje, którem pomiatać niego-

---

*) P. *Morzycki* zapomina, czy niewie: że ja od przeszło 15 lat właśnie powstaję przeciw dzisiejszéj mowie klasycznéj, a opieram się na mowie ludu zgodnéj z mową prawdziwie klasyczną złotego wieku.

„dzi się. Gdy jednak znajdujemy w jego *słowie* wiele „piękna, wiele *prawideł* (??) językowych przechowanych „w czystości pierwotnéj, które mowa klasyczna pokrzy„wiła; należy się więc równouprawnienie *mowie* gminu, „do zajęcia, choćby przedsionka w świątyni nauki ję„zyka".

Str. 28. „*Słowo* polskie przy tworzeniu wyrazów szu„kało: naprzód brzmienia odpowiedniego naturze przed„miotów i t. p."

Str. 60. „... tym porządkiem przypadków *słowo* czło„wieka nadało mowie jasność do zrozumienia każdego „przedmiotu wymaganą" — a wyżéj

Str. 51. „... po takiem dokonaniu mowy, kiedy przy„szła siódma doba spoczynku; rozpatrywał się człowiek „w dziełach swojego *słowa* i przekonał się: *że tak było* „*dobrze*".— (Tu już dzieło stworzenia świata i wyrażenie powtórzone ze starego Zakonu księgi 1széj!!)

Str. 120. „człowiek znalazł świat gotowy, ujżrzał „w nim sprawę stworzenia dokonaną przez wielkiego „Sprawcę, przez ono *słowo* przedwieczne, które samo „na początku było. *Słowo* człowiecze przy ogólnym „poglądzie, kładąc na niéj (?) piętno wiedzy, nadało „z razu główniejszym jéj ustępom odpowiednie nazwy; „aby różniła się w składzie ogólnym mowy od innych „części i aby jéj części różniły się szczegółowo pomię„dzy sobą".

Przestaję na tych wypiskach, które przekonają Czytelnika: jak p. *Morzycki* zastąpiwszy *słowo* w Grammatyce odwiecznie przyjęte przez swój *sprawomian* błąka się w niejasnéj mowie po ciemnych mistyczno-dogmatycznych kryjówkach, niedając temu swojemu *słowu* wybitnego znaczenia: bo też widocznie sam go nierozumie.

§. 2.

Sprzeczności.

Przed wypisaniem swojego *zgłoskozbioru* (abecadła) powiedział P. *Morzycki:*

Str. 17. Że następne 48 głosek, które wylicza, są *pojedynczemi:* tymczasem na następnéj 18. str. utrzymuje: że *dz* jest „zlewkiem dwu głosek *d* i *z*, *dż* że „zlewkiem *d* i *ż*“.

Str. 21. „Mowa gminu i dyalekt wielko-polski zna „jeszcze *zmiękczone a*, oraz *zmiękczone e*.“ — np. *Jagnieszka, Jantoni, Jemiliia*, zamiast wyższych klas *Agnieszka, Antoni, Emiliia*. Późniéj powiada: że dodane tu *j* na początku tworzy *dwugłoskową sylabę*. Żadna w naszym języku *zmiękczona* głoska niestanowi dwugłoski. Ja te samogłoski nazwałem *spieszczonemi* i dowiódłem ich bytności w naszéj wysoko wydoskonalonéj mowie *). — P. *Morzycki* niewié tego że nie tylko *a*, *e* spieszczają się u nas; lecz i *u* i *o* np. *iulep*, *iuż*, *iutro*, *Jotton*.

Str. 21. Nazywa samogłoskę *i najmiększą* i *piskliwą:* nikt zapewne się niezgodzi; aby *piskliwość* miała być *miękkością*.

Str. 25. Podziałowi spółgłosek na *miękkie* i *twarde* przyznaje P. *Morzycki* „ważne stanowisko“. Tymczasem powiedział nieco wyżéj: „ten atoli podział jest „*względny*“.— Każdy prawdziwy grammatykarz znawca języka uznaje w grammatycznych odmianach za najważniejszy podział na *miękkie* i *twarde* spółgłoski: jakże on więc może być *względny?* bo przecię każdy Polak zna znaczenie tego ostatniego przymiotnika!

---

*) Obacz, *Zbiór Odpowiedzi Recenzentom* i t. d. 1853 roku — str. 102. i . . . . .

Str. 27. Nieprzypuszcza *dyftongów* (chociaż w swéj obfitości przewracającéj wszystko dawne, nadaje im nazwę, *dwusamogłosek* *) dla tego tylko, że one „są naj„obfitszemi w językach *dzikich ludów*". Który język na świecie był, jest i będzie, coby się obszedł bez *dyftongów?* i który z rozsądnych grammatykarzów je odrzuci dla tego, że są i u *dzikich ludów?* Zaiste! bardzo słabe pojęcie postępu jest odrzucenie brzmień niezbędnych z języków wydoskonalonych dla tego tylko, że one się znajdują i u dzikich ludów. Że dzicy najwięcéj żyją owocami, czyż dla tego postępowi, z wyższą cywilizacyą mają się wstrzymywać od nich? Większemby prawem P. *Morzycki* wyrzucić mógł z abecadła *b:* bo nasze owce doskonale tę głoskę oddają!

Str. 64. Kiedy w imionach ludzkich przypuszcza i dobrze ocenia wedle ducha języka znaczenie np. takie końcówki z imion zwierzęcych naśladowane: *te dwa pany*, zamiast *ci dwaj panowie;* nieco niżéj końcówki imion zwierzęcych naśladowane z ludzkich np. *ptaszkowie leśni*, zamiast *ptaszki leśne* potępia: chociaż ten sam duch języka przez wzajemność, tę logiczność i głębokość myśli uświęcił.

Str. 225. Przyimka *ze* znaczenie dwoiste wewnętrzne dobrze oddziela: a tymczasem w obu razach jednostajnie używa w pisowni.

Str. 237. Powiada: „*spojniki* więc *niemają treści we„wnętrznéj*, niewyrażają rzeczywistego przedmiotu, są „tylko wiązadłem przedmiotów, bądź pojedynczemi czę-

---

*) A na str. 357. postanawiając nowy znak pisarski, przez siebie nazwany *łącznik* powiada: „co ma miejsce przy *dyftongach* z cu„dzoziemczyzny przyjętych". — Lubo i to ciasne o naszéj mowy brzmieniach pojęcie; to przecię, czy *własne* czy *przyjęte z cudzoziemczyzny* wedle P. *Morzyckiego* ma nasza mowa *dyftongi.* — Oprócz tego na str. 27. Sam on przyznał *dyftong* w wyrazie *miauczeć* i pokrewnych.

„ściami mowy, bądź zdaniami i okresami objętych, „które stawiając *swem pośrednictwem w rozmaite poło-„żenia*, służą *do obrazowania pewnych względów*, jakie „ich usłudze przyznaje mowa“. — Niech Czytelnik porówna innym drukiem tu odbite wyrażenia: a przekona się o sprzeczności p. *Morzyckiego. Spojniki* wedle niego *niemają treści wewnętrznéj*, a *służą do obrazowania względów. Obrazowanie względów* niejestże *treścią wewnętrzną* i tak liczne, nie tylko w naszym, lecz i w innych językach spojniki, niemająż wewnętrznego znaczenia? Toż *nić* spajająca np. kawałki pokrajane płótna jest *niczem?*— Żaden Grammatykarz jakiejkolwiek bądź mowy na to nieprzystanie.

Wyżéj na str. 52. o swoich *przydawkach* mówiąc, podobnąż sprzeczność popełnia.

Str. 311. P. *Morzycki* utrzymuje: że „daj mi twéj „*książki*, ma się rozumieć *na czas jakiś*. Kiedy zaś po-„wiem w bierniku: daj mi twą *książkę;* oznacza żąda-„nie odstąpienia stanowczego“. — A na następnéj stronicy powiada: „sprzedaj mi *pszenicy*, ma się rozumieć: „ile wypadnie na miarę, lub wagę, a niemogę powie-„dzieć: *sprzedaj mi téj krowy;* bo *krowa* jest całością „niepodzielną“. — Prawidło powyższe z nieznajomości mowy naszéj pochodzące, nadto grzeszy sprzecznością: bo *książka* jest równie niepodzielną całością, jak *krowa*, — i w duchu naszéj mowy nigdy się niegodzi mówić: *daj mi twéj książki*. Rozumowstwo, jak prawda, zawsze jest jedno. P. *Morzycki* poszedł tu za przykładem swego panegirzysty p. *Żochowskiego*, który wyrażeń: *złapał noża, porwał kija, daj płaszcza, trochę kierował oka* podobnemże rozumowstwem broni i na co mu odpowiedziałem w *Zbiorze Odpowiedzi Recenzentom* str. 329.

Str. 321. P. *Morzycki* słusznie powstaje przeciw drobnostkowym składniarzom: a sam obszernie o niéj roz-

prawia dziwnie i bezpożytecznie: bo nikt z niego nieskorzysta.

Str. 348. Powiada p. *Morzycki*: „pismu czeskiemu tę „właśnie wadę przypisać można że jest nastrzępione „nadmiarem kropek i kresek, które obok braku powa- „bności, robi je niewyraźnem".— A sam podaje pisownią daleko więcéj nastrzępioną, dziwaczną i tak zmieniającą pismo i druki nasze; że nikt z Polaków wyczytać go nie potrafi.

Nakoniec p. *Morzycki* w swych zasadach niepewny pisze *bąć* i *bądź* *) rozmaicie, jak mu się zdarzy, nieobjaśniając nigdzie przyczyn téj dwoistości.

---

§. 3.

Nierozumostwo.

Na naczelnéj, napisowéj stronicy swojego dzieła p. *Morzycki* położył: „nakładem autora w hołdzie obywa- „telskim dla zasługi".— Niepojaśniwszy autor komu *hołd* składa? zdaje się, że składa *zasłudze*. Jeżeli chciał powiedzieć w *hołdzie obywatelskim* Narodowi, i w celu temuż Narodowi zasłużenia się; powinien był i *Naród* wymienić i spojnikiem *hołd* i *zasługę*, dwie ôddzielne rzeczy, w jedno połączyć.

Pobobneż nierozumowstwo przez wiele lat powtarzało pewne pismo zrokowe na czele kładąc: „*jakie ziarno; „taki snopek*" bo każdy prosty gospodarz wié; że od *ziarna* nienależy *snopek;* ale od wiązacza.

---

*) Nie tylko autor, lecz i wielu innych pisarzów, najpierwszego naszego wieszcza nazwiska nieumié pisać: nazwisko Jego *Mickiewicz*, a nie *Mićkiewicz*.

Str. 136. i na tablicy *czasowania słów* w celu dowiedzenia obfitości naszego języka najnierozumowniejsze składzinki, dotąd niesłychane, robi np. od słowa *kropił* tworzy *wykropnął*, *wykrapiał*, *nawykrapiał*, *ponawykrapiał*, *wykropywał*, *nawykropywał*, *ponawykopywał*. Gdyby wziął słowo temu podobne *kropkował*; mógłby łatwo podać *nawykropkował* to jest: tu i ówdzie *kropki* postawił, nawet *ponawykropkował*, chcąc dać wyobrażenie o kropkach w różnych kierunkach, na wierzchu i t. d. czegoś położonych: ale czynność *kropienia* nieprzypuszcza ani *wykropnął*, ani *wykropywał*, ani *nawykrapiał* itd. — Najnieszczęśliwszy jest nowy grammatykarz we wszystkich swoich przykładach. Gdyby chciał dać dowód obfitości języka w tym względzie, mógłby np. wziąć słowo *znalazł*, *znachodził*, *wynalazł*, *wynajdywał*, *nawynajdywał*, *ponawynajdywał* i tp. Zaszczyt językowi przynosi obfitość rozumowna: Grammatykarz, który swe nierozumowstwo przyczepia do języka, źle mu się przysługuje!

Str. 164. Słowo *szlochał* może mieć częstotliwe *szlochywał*: ale *szlochnął* jednoraźnego zakończenia przyjąć niemoże jak np. *machnął*, *kaszlnął*: bo *szlochał* właśnie maluje stan dłuższy płaczu. Jeżeli zaś kto w polskim języku chce oddać zbyt krótki, że tak powiem, jednoraźny płacz; to musi powiedzieć *zapłakał*, a *zapłaknął* nawet, nigdy. Słowo *płakał* może mieć imiesłów bierny *płakany*: bo opłakiwać możemy kogoś, i od kogoś możemy być *opłakiwani*: ale *szlochany* nigdy być niemoże: bo *szlochał* jest stan bezprzyczynny, lub z kaprysu, jak u dzieci i niewiast, pochodzący. Niebyłożby to największą niedorzecznością; gdyby kto powiedział: *Chrobry był od narodu szlochany* zamiast *opłakiwany?* Toż słowo *szlochał*, jako ciągłe, niedokonane niemoże mieć imiesłowu dokonanego *szlochawszy*. Ale autor tylko o powiększeniu liczby odmian słów pamiętny, a zapomina-

jący na rozumowstwo słowiańskie pod wszystkiemi słowy niedokonanemi też odmianę kładzie: *szywszy piwszy*, *pluwszy*, *mlewszy* (?) *kłówszy*, *dąwszy*, *pasłszy*, *miawszy*, *bywawszy* i t. d. Niewié o tem: że nierozumowstwo jak prywatnego człowieka jest zakałą, tak i jego wyrobu języka.

Str. 168. Od słowa *toczył* także nierozumownie tworzy *toknął*: bo *toczył* ma znaczenie ciągłości. Jeżeli zaś narzędziem, lub ręką do *toczenia* dotknął; to tylko *tknął*, lub *dotknął* użyć można. Dla próbki tylko, te kilka przykładów nierozumowstwa autora przywiodłem: zbytbym unudził rozumownego rodaka wyliczając wszystkie w tym względzie nowego Grammatykarza usterki.

---

§. 4.

Fałsze.

Str. 32. Powiada p. *Morzycki*: „spółgłoska podnie„bienna *h* zaczynać tylko może sylabę, nigdy niestoi „w środku, albo *na końcu*. Iść po niéj musić albo sa„mogłoska, albo spółgłoska miękka, nigdy spółgłoska „twarda. W wykrzykniku *ah!* w wyrazie *hrabia* piso„wnia nieodpowiada wymawianiu". Tymczasem w wyrazach: *Boh*, *poroch*, *druh* jest *h* na końcu, w wyrazie *hrabia* po *h* nienastępuje miękka spółgłoska. Autor nieobiaśnia wreszcie i tego: jak pisać *ah*, *hrabia?* aby odpowiadały wymawianiu.

Str. 58. Utrzymuje: że u gminu (dla czego nie u *ludu?*) nawet *liczba podwójna* w rzeczownikach ustała. Niewiem, czy lud około Łukowa jéj zaniechał, o czem wszakże wątpię, niech jednak p. *Morzycki* przejedzie się tylko w Rzeszowskie, a przekona się o fałszu przez siebie rozsiewanym.

Str. 76. Wyraz w liczbie tylko mnogiéj używający się: *dzieci* pod wyjątkami kładzie: kiedy on wzorowo wedle imion żeńskich na miękką spółgłoskę zakończonych, w téj liczbie się odmienia. Wyraz *dziecię* jest zupełnie innym (jak np. *brat-bracia szlachcic-szlachta*) wyrazem wzorowym w obu liczbach. Że zaś rzadko, i to dziś, wedle liczby mnogiej *dziecięta* odmienia się; to tylko dla tego: że *dzieci* w powszechniejszy weszło zwyczaj.

Str. 78. O *oku* i *uchu* mówiąc fałsze rozsiewa dając im dwoiste znaczenie i formę w tych słowach: „raz „jako część ciała ludzkiego, drugi raz jako części na„czyń, lub tkaniny".— Wyrazy bowiem te używają się we właściwem i przenośnem znaczeniu: ale wszystkie przenośnie brane wyrazy, od wzorów swoich przez to nieodstępują. Dla rozwikłania z temi wyrazami trudności w odmianach grammatycznych, potrzeba tylko zgłębić i poznać liczbę podwójną. Ja to dostatecznie w moich wszystkich dziełach objaśniłem.

Str. 79. Powiada autor *kowalowa*, albo *kowalka*. Ależ w polskim języku kiedy się mówi *kowalowa*; to ma się wzgląd na to tylko; że jest żoną *kowala: kowalka* zaś jest ta; która sama *sierobnią* (warsztat) kowalską, jak mężczyzna utrzymuje. Tak *hrabina* oznacza niewiastę jedynie ze względu godności męża, *hrabini* zaś niewiastę, która sama niezależnie od męża na hrabstwie panuje, ale bliższe są jeszcze swojem zakończeniem: *nauczyciel-nauczycielka, opiekun-opiekunka*, i t. p. Toż fałszem jest: aby *kowalka* i *wojewodzina* były jednego wzoru: pierwszy wyraz rzeczowników, drugi przymiotników wzoru się pilnuje: *kowalka*, *kowalki*, *kowalce*, *kowalkę*, *kowalko! kowalką*, a *wojewodzina*, *wojewodzinéj*, *wojewodziną*, *wojewodzina! wojewodziną*, w polskim języku wzorowym się odmieniały.

Str. 81. Wyrazy: *hrabia*, *margrabia*, *sędzia* co do odmian *mieszańcami* nazywa. Fałsz wierutny! te wyrazy wzorowo wedle form żeńskich w liczbie pojedynczéj się odmieniają o podobnem zakończeniu. Dzisiejsi tylko postępowcy to *zamieszali*.

Str. 85. *Nice*, *ręby* wyrazami *nieodmiennemi* nazywa. Tymczasem *Wacław Potocki* powiada: „na dobrą stronę „obraca się *nicem*“ — czyż nie mówi się też: *miska bez rębów*, *uderzył rębem* i t. d.

Str. 98. Mówi p. *Morzycki*: „kiedy zaś właściwości „istotnika udzielają się przedmiotowi w *słabym* stopniu; „daje się przymiotnikowi końcówka np. *pierzaty*, *gliniasty*, „*piaszczysty*, *drewnisty*, *owsiaty* (?) *mydlisty*, *soczysty*“.— Wszystko tu pomieszał nowy grammatykarz: bo w naszym języku: *pierzaty*, *gliniasty*, bynajmniéj *słabości* stopnia nieoznaczają, owszem *obfitość*. Te zaś *piaszczysty*, *drewnisty*, *mydlisty*, *soczysty* podobieństwo do *piasku*, *drzewa*, *mydła*, *soku* oznaczają. *Owsiaty* gdyby był używany przymiotnik, oznaczałby zboże, w którem jest *mnóstwo owsa*. Grammatyka moja dokładnie te zakończki przymiotników objaśniła.

Kiedy tak nienarodowo, jak widzieliśmy wyżéj, p. *Morzycki* pomnaża urobienia słów; przeciwnie na str. 100. niepozwala na słowa: *stolarzyć*, *kowalić*. A te przecię słowa zwiąźle i dobitnie czynność *stolarza* i *kowala* oddają i prawdziwie *postępowym* nabytkiem mogą się nazwać.

Str. 110. Pozwala *najukochańszy*, a niepozwala *ukochańszy*. A niemożnaż powiedzieć: *przedmiot grammatyki jest dla mńie ukochańszy, niż statystyki?*

Str. 124. W przypisku mówi: że tryb bezokoliczny tylko czasu i osoby nie wydaje: „można jednak wyra- „zić inne okoliczności sprawy np. *czytać książkę*, — *ksią-* „*żka* jest tu okolicznością wyróżniającą sprawę czyta- „nia od innych: *czytać książkę*, *czytać gazetę*, *czytać*

wolno, czytać prędko". Sam tedy p. *Morzycki* przyznaje: że *książka* jest tu *okolicznością wyróżniającą* sprawę czytania. Ależ, jak tam *książka*, tak, daléj *gazeta*, *wolno*, *prędko*, nie są *słowami* w trybie bezokolicznym. — Jakże można takie dziwne nauki podawać i siebie samego nierozumieć?

Str. 142. Od *woleć* daje imiesłów *wolony* przeciw potrzebie myśli nieprzypuszczającéj bierności w tym, kto przekłada jednę rzecz nad drugą. Nikt też tego imiesłowu rozumowny nieużył.

Str. 144. Daje przykład: „siwiało dwie kobiet, krzy„czało dwie kobiet". — Po polsku dotąd tak się mówiło; chociaż i to bardzo niezręczne przykłady, *siwiały dwie kobiety*, *krzyczały dwie kobiety*, lub *siwiało kobiet dwie*, *krzyczało kobiet dwie*.

Str. 170. Nie pozwala na *plwał* (pluł), przypisuje ten błąd wyższym stanom i nazywa go *żydowszczyzną*. Tymczasem *Kromer* i *Bielski* nazywają Władysława *plwaczem* od częstego *plwania*: a te wyrazy widocznie od *plwał* pochodzą. Oba te pierwotniki *plul* i *plwał* mają swe odpowiednie odmiany wzorowe i stanowią bogactwo, które p. *Morzycki* jedną ręką obcina, drugą nierozumownie, jak widzieliśmy, pomnaża.

Str. 171. Podaje imiesłów *dmiąc*, *dmiący*. Wiadomo wszakże: iż on się tworzy od 3ciéj osoby liczby mnogiéj czasu teraźniejszego *dma*: a więc będzie, *dmąc*, *dmący*, toż na

Str. 176. Fałszywie podaje *trząc*, *trzący*: bo nie *trzą*; ale *trą*: a więc będzie *trąc*, *trący*.

Str. 177. Powiada: „*siwiał* jest taki sam (pierwotnik) „jak pierwiastek stanu stopniowanego powtarzanego „w sprawomianie czynu: od *siwił*, często *siwiał*". — Że podobne zachodzą wypadki, skoro jest myśl po temu, z niektóremi słowami; na to się zgadzam i przywiodłem w gramatyce na to przykłady: *zwężał*, *zwężył*.

Ale p. *Morzycki* zawsze nieszczęśliwy w przykładach i tu usterknął: bo jeszcze nikt na świecie dostawszy raz *siwizny*, jéj się niepozbył, i na nowo nie *swiał*; kiedy *zwężać* można bardzo często wedle potrzeby.

Str. 199. *Wieczór* wyprowadza od *wiecu*, jakoby ten ostatni „obchodzili po zachodzie słońca". Wątpię aby nasi Przodkowie, jak dziś w Anglii z nocy za pomocą świateł sztucznych dzień robili: jeszcze zbytków takich i przeciwrodotnego życia nie znano. Nadto *wieczór*, jako podział czasu rodotny, pierwéj musiał się utworzyć, nim przyszło do zwoływania *wieców*, potrzeby daleko późniéjszéj, z cywilizacyą już wyższą powstałéj.

Str. 216. Już nic nie powiem o fałszywości przykładu: że zamiast *pilnował u boru*, *u lasu*, chce raczéj *przy boru*, *przy lesie*: bo z trudnością przychodzi p. *Morzyckiemu* rozróżnić odcienie przyimków *u* i *przy*: ale jak może mówić *przy boru;* kiedy *7my* przypadek jest *borze?*

Str. 261. *Liczbownik* nazywa „jako zostający w *bezładzie*, *jakby w połamanych kawałkach*" bo ta część mowy pomocnicza jest „cała dość *nieporządną łataniną*".

Postępowcy dzisiejsi zapominają o najważniejszym przymiocie w nauczycielu, to jest, aby on pierwéj, nim zacznie uczyć drugich, sam się wyuczył. Jeżeli gdzie, to w *liczbownikach*, z winy ostatnich grammatykarzów, tak *bezładnych*, *tak połamanych w kawałki*, i *tak nieporządnej łataniny* najaw wychodzi ich ostateczna nieznajomość historyi języka a ztąd brak pojęcia piękności i rozmaitości wzorów i brak wystawiania języka w ogólnym obrazie, tak skończonym i harmonijnym. — Moja Grammatyka przedstawia liczbowniki, jako najforemniejszą część mowy, do ogólnego i rozumownego układu przystające. Ale też ja wziąłem rozwój ich z najświetniejszéj doby języka, a nie z dzisiejszéj bezczuciowéj, i bezrozumowéj — w tym względzie.

Str. 297. P. *Morzycki* dawszy przykład: *siostra z bratem przyjechała* i *siostra przyjechała z dzieckiem*, powiada: „w pierwszym razie stosunki *ze* (tu *z*) jest równo„znaczącym spojnikowi *i*, wyraz *bratem* jest współrzę„dnikiem, — a w drugim wyrazy: z *dzieckiem* są, ja„koby dopełniaczem uzupełniającym sprawozmian *przy„jechała*, dającym się wyrazić innemi słowy: *mając „dziecko*".

Tak tedy przyimek *z* wedle najnowszego Gramatykarza raz znaczy *i* spojnik, drugi raz imiesłów *mając*. Ma tu Czytelnik dobitną próbkę znajomości języka, i dobitniejszą jeszcze, rozumowstwa gramatykarskiego i to jeszcze w traktacie o *składni*. Biedna nasza dzisiejsza składnia! — coś podobnego już widzieliśmy w §. 2 o str. 311.

---

§. 5.

Zamieszania.

Str. 63. Naucza p. *Morzycki:* „zaś żywotne zwierzęce „zakończają się przybraniem *u* — w *tryku*, *molu:* tylko „zakończone na *n*, *s* przybierają końcówkę *je* — *w ba„ranie, psie*".

Daje tu w pierwszym razie końcówkę *u* imionom zwierzęcym na *k* i *l* zakończonym: a przecięż ta końcówka jest w *zającu*, *sandaczu*, *brysiu*, *buhaju*, *wężu*, *niedopierzu*, *ostrowidzu*, *świszczu*, *wałachu*, które niekończą się na *k* i *l!* W drugim razie mają na *je* nie same zakończone na *n* i *s*, lecz i na inne spółgłoski np. w *charcie*, *mule*, *ogarze*, *koźle*, *lwie*, *skopie*, *wielorybie*, *gryfie*, *drozdzie*, *kobuzie* i t. p.!

Str. 66. Na tabliczce Formy 1széj przypadkowań imion nieżywotnych na twardą spółgłoskę kończących się drugiemu przypadkowi daje końcówkę *u*, lub *a*. Jakże tu zgadnąć: które na *u*, a które na *a* kończą bez objaśnień, i kiedy, jak wiadomo znającemu język, twardo spółgłoskowe mają prawie wszystkie, i to w prawdziwie postępowym, naszemu tylko językowi właściwym kierunku, na *u*? — Przeciwnie miękko-spółgłoskowym daje końcówkę jednę *u*; kiedy te imiona prawie wszystkie pierwiastkową, wszystkim Słowiańskim mowlom spólną zatrzymują końcówkę przedwieczną np. *pieca*, *bicza*, *rydza*, *pęcherza*, *kontusza*, *noża*, *smardza*, *ula*, *korabia*, *liścia*, *gwoździa*, *Radomia*, *Strumienia*, *rząpia*, *modrzewia*, *kija*, *ożoga*, *kożucha*, *poroha*, *ćwieka* i t. d.! Tymczasem te wszystkie imiona twardo- i miękko-spółgłoskowe, pomimo przez siebie uznanéj ważności podziału na *twarde* i *miękkie* spółgłoski p. *Morzycki* tłoczy pod jednę formę.

Str. 68. Drugą, swoję formę p. *Morzycki* dzieli na *cztery* gromady i daje przykłady następne: *Pani*, *żmija*, *czapla* i *Tadzio*, *Stasio*, spieszczone męzkie. Chcąc przekonać Czytelnika jakie ma o *formie* gramatycznéj Autor wyobrażenie; wypiszę tu odmiany tych imion:

Liczba pojedyńcza.

Przypadek	**1**	**Pani**	**—Żmija**	**—Czapla**	**—Tadzio**	**—Stasio. (Staś)**
„	**2**	**„**	**—Żmii**	**—Czapli**	**—Tadzia**	**—Stasia.**
„	**3**	**„**	**— „**	**— „**	**—Tadziowi**	**—Stasiowi.**
„	**4**	**Panią**	**—Żmiją**	**—Czaplą**	**—Tadzia**	**—Stasia.**
„	**5**	**Pani!**	**—Żmijo!**	**—Czaplo!**	**—Tadziu!**	**—Stasiu!**
„	**6**	**Panią**	**—Żmiją**	**—Czaplą**	**—Tadziem**	**—Stasiem.**
„	**7**	**Pani**	**—Żmii**	**—Czapli**	**—Tadziu**	**—Stasiu.**

Liczba mnoga.

Przypadek	1 i 5	Panie	—Żmije	—Czaple	—Tadziowie	—Stasiowie.
„	2	Pań	—Żmij	—Czapel	—Tadziów	—Stasiów.
„	3	Paniom	—Żmijom	—Czaplom	—Tadziom	—Stasiom.
„	4	Panie	—Żmije	—Czaple	—Tadziów	—Stasiów.
„	6	Paniami	—Żmijami	—Czaplami	—Tadziami	—Stasiami.
„	7	Paniach	—Żmijach	—Czaplach	—Tadziach	—Stasiach.

Widoczna jest z tego: że tylko w liczbie mnogiéj 3, 6 i 7my przypadek są wszędzie jednostajne i pod tęż samą formą mogą być podciągnięte. Ale tych przypadków końcówki służą wreszcie i wszystkim formom, wszystkich bez wyjątku imion! Inne przypadki zupełnie różne: któż więc z téj formy autora odmieniać potrafi?

Str. 69. Pozwala 4ty przypadek liczby pojedynczéj: *panię* i *panią*, *Zofię* i *Zofią*, a tylko *banię* i *Józię*, wreszcie dodaje: że jest raczéj za końcówką *ę*, przeciw użyciu w najświetniejszych czasach, przeciw nawet mowie ludu, którą się zdaje pokazać na str. 12.

Str. 70. Przypadek 1szy liczby mnogiéj kładzie: *nacie*, *włości*, *myszy*. Ależ *nać* i *włość* kończą się na tęż samę spółgłoskę! a co większa jeszcze, że używa *koście* i *włości*; kiedy te wyrazy zupełnie jednostajne na *ść* się kończą! Dla czegoż pierwszym wyrazom *e*, drugim *i* daje końcówkę? Na tabliczce str. 72 w ostatniéj rubryce toż samo powtarza; jestżeto pewność zasad p. *Morzyckiego*? Jeżeli tak mało zastanawiał się nad językiem najświetniejszego okresu, który jest dotąd u ludu, lub jeżeli tak zuchwale porzuca podwalinę historyczną; przynajmniéj niech pamięta na zasady przez siebie rzucone: *że spółgłoski twarde i miękkie w gramatyce mają wielkie znaczenie*. Niech przejźrzy wszystkie wzory; a znajdzie: że inne są odmiany *twardo*, a inne *miękko*

spółgłoskowych; jeżeli więc *włość*, *mysz* ma *włości*, *myszy*; *nać* i *kość* muszą mieć *naci*, *kości*.

Ale to są postrzeżenia późniejsze grammatykarzów; twórcy i doskonaliciele języka nietrzymali się tych szkolarskich podziałów, lecz za przewodnictwem rozumowstwa i czucia natchnionego odmiany wyrazów wykształcali. A ponieważ wszystkie imiona *męzkie* na *miękkie* i *zmiękczone* spółgłoski dostały końcówkę *e*, *ie* w tym przypadku; imiona *żeńskie* o tychże zakończeniach dostały *y* i *i*; i tak rzeczywiście jest w księgach najświetniejszego piśmiennictwa i w mowie ludowéj. Końcówki nie są tak obojętne, jak dzisiejsi sądzą postępowcy: bo one 1ód najważniejszą posługę to jest *jasność* mowy robią; 2re są wypadkiem natchnionego harmonii i rozmaitości czucia, któregośmy się niestety! już pozbyli. W końcu niech się i sam p. *Morzycki* zastanowi, czy nauczy przypadkowania imion téj formy swojéj, przepisując w tabliczce na ten przypadek końcówkę *e* i *i*, *y*; bo każdy będzie miał prawo go się spytać: któreż wyrazy mają na *e*, a które na *i*, *y*?

Str. 72. W uwagach nad tą formą tak powiada: „Z przejźrzenia téj formy przekonywamy się: że rodzaj „żeński ma przypadki nieróżniące się niczem od siebie. „W *jednoskazie* piąty *miejscowiący* i szósty *komuczynny*; „że więc co się działa przy kobiécie.... (co tu zna„czą te kropki?), i w całym zakresie *miejscowości* ko„biécéj, przypada *kobiécie*“, i t. p. daléj niby głębokie, a rzeczywiście bezmyślne nagromadza rozumowania.

Str. 74. Również pociesznie o wyrazach *szlachta*, *chłop*, *mąż*, *poddaństwo*, *chłopstwo* rozprawia.

Str. 75. O formie 3ciéj p. *Morzyckiego* już szkoda rozprawiać; przytoczę tylko jego przykłady: *kurczę*, *ramię*, *łyko*, *ucho*, *pole*. Niech tu raczy sam czytelnik odmiany mu znane tych wyrazów porównać; a przekona

się o zaślepieniu samego grammatykarza, i bezużyteczności jego grammatyki.

Str. 81. Powiada: „nazwiska krain i miast przybrały „w wielu razach wieloskaz bez jednoskazu: *Włochy*, „*Węgry*, *Czechy*, *Pobiedziska*, zaś wieloskazu niemają „te, które z natury swojéj w jednostce istnieją: *Olimp*, „*Jowisz*, *Poznań*, *styczeń*.“

A któż niewie z historyi: że *Jowisze* byli liczni! a niemogęż powiedzieć: w ostatnim dziesiątku lat *stycznie* były ciepłe? *)

Zawikłanych również i bezpotrzebnie rozmnożonych aż do dziesięci, oprócz poddziałów, *form czasowań* także szkoda czasu rozbierać; dotknę tylko niektórych niepewności i zamieszań autora: tak

Str. 161. Pozwala mówić: *umiém* i *umię*.
„ 166. „ „ *chrapa* i *chrapie*,
„ 167. *beczeć* i *beczyć*, *skrzypiéć* i *skrzypić*, *skrzypié* i *skrzypi*.

Str. 171. *dęcie* i *dmienie* i t. p.

Nauczyciel dobrze usposobiony możeż tak nauczać, zwłaszcza naszego języka, w którym wszystko pewne, rozumowne i wzorowe? — Podobnaż niepewność panuje pod *liczbownikami*, jak będzie niżéj.

---

§ 6.

Dowcipki płaskie i śmieszności autora.

Str. 24. Mazurów *ślepych* wyprowadza od tego, że niewymawiają należycie *dz*, *cz*, *ż*, *rz*: Cóżto za związek z ślepotą?

---

*) Str. 86. Pozwala tylko: „dwa razy większe *psisko*, o dwa calo „krótsza *laseczka*.“
A niewypadnież myśl położenia: *pies*, *piesek*, *laska* i t. p.?

Str. 48. Powiada „Każdy młodzik do postępu pocho-„pny, miałby powód wypowiedzieć o nas dwuznacznik: „że zostajemy sami oparci w dawnem skrzywionem po-„jęciu *O — słowie.*“ Niewiem, czy p. *Morzycki* jest młodzik, czy podtatusiały grammatykarz, to tylko pewna: że jego pojęcie o *słowie* ze wszech względów jest *młode*, a taki rodzaj dowcipkowania w żadnem naukowem dziele porządnem i zasadnem miejsca mieć niemoże.

Str. 64. Rozumuje tak: „dawniéj, kiedy ludzie byli „więcéj zmysłowymi, ku naturze źwierzęcéj barziéj po-„chyleni, kiedy przy *żłobie bydlęcym* obranym na ko-„lebkę dla Bozkiego Dzieciątka *wół* i *osieł* oraz ich „*pastuszkowie* składali z sobą *prostacze braterstwo*; mo-„wa nasza przyznawała istotnikom żywotnym źwierzę-„cym wedle pojęć z onego czasu końcówką ludzką „*owie* — *ptaszkowie leśni*, *krnąbrni osłowie*, równie jak „drugie ludzkie zakończenie: *ci wilcy* i tak w starych „kantyczkach opiewała. Ale kiedy za obiawieniem Chry-„stusa Pana, człowiek poznawszy nadziemskie swe prze-„znaczenie, zaczął coraz więcéj wznosić się nad ciele-„sną, a podbijając zmysłową przyrodę postępowo roz-„wijał i uszlachetniał ducha swojego; uczuł znakomitą „godność swojéj istoty na podobieństwo Boga stworzo-„néj, zrozumiał przedział, jaki odłącza go od źwierza; „zerwać też z nim musiał *dawniejsze braterstwo*. Mo-„wa więc nasza w odpowiednim rozwoju końcówkę „takową, dawniéj źwierzowi przyznawaną odjęła mu „i teraz, już inaczéj mówić niegodzi się; jak w *trybie* „źwierzęcym: *te ptaki*, *te osły*, *te wilki*.“ A wyżéj powiedział:

„Jeżeli tak zrobiona końcówka (nakształt zwierzęcéj) „skieruje się do uwzględnienia istot do osób np. *te dwa* „*pany*; wyrażenie takie *zniżone* do stanu źwierzęcego „będzie *ubliżającem urągowiskiem*.“

Co tu sprzeczności płaskich choć niby głęboko-filozoficznych rozumowań, nieznajomości historyi języka i braku czucia rodowego! Ja to wszystko dokładnie w moich dziełach objaśniłem i tam też autora i czytelników odsyłam.

Str. 67. Że w *formie 2giéj* żeńskiéj autora niema różnicy między żywotnemi, a nieżywotnemi, między ludzkiemi a źwierzęcemi istotnikami; p. *Morzycki* tak wnioskuje: „Ztąd wniosek: że nasza płeć *męzka* przyłożyła „się głównie do rozwinięcia mowy“ i t. d.

Str. 87. Powiada: „Stan normalny istotnika, który „przy stopniowaniu uważać można za obojętny, jak „*zero* w termometrze... zkąd formują się stopnie tak „zwane zgrubiałe i zdrobniałe, niby nad *zero* unoszące „się, i niżéj *zera* schodzące“. Masz tu czytelniku! obrazowy sposób wystawienia prawd gramatycznych i rozumowania równające się *zeru*.

Str. 88. Spieszczenia od *baba* takie np. podaje: *babienka, babusinka, babuszka* (z rosyjskiego), *babsineczka, babusineczka, babuszeczka, babczeczka, babinuszeczka, babuleczeczka, babusinoczeczka, babuszeczka.*

W ten sposób mógłby p. *Morzycki*, nasz język do nieskończoności za śladem swego panegirzysty.... skarykaturować! Podobnież postępuje pod przymiotnikami str. 115.

Str. 98. Wyraz *kochanek* autorowi się niepodoba i poprawia *kochacz.*

Str. 99. p. *Morzycki* zdaje w wielu miejscach pracę dalszą w swoim kierunku na następców, a na téj stronnicy, nawet słowy ewanielii: *„prostujcie drogi moje“*. Ktoby chciał mistyczno-filozoficzno-historyczne badania nad językiem przeczytać; niech raczy autora przejrzeć od str. 121.

Str. 148. Tak głęboki badacz nurtuje: „pierwiastek „jego (słowa *być*), obecny *był* wymawiano na początku

„inaczéj, jak dotąd jeszcze w mowie gminu słyszémy „*buł*, (?? w szczególnych stronach autor mieszka!) czyli „właściwie *ból*. Jako pierwszy wyraz w ogóle, jest on „w koniecznem połączeniu ze źródłem powszechnego „*bytu*: *ból* i *Bóg* zamieniając końcowe litery, stanęły „obok siebie w takiem samem powinowactwie, jak *stwo*-„*rzył*, *stwórca*, jeden wypływa z drugiego.... Z pier-„wiastku wyrobił się przed wszystkiemi odmianami „ogólnik łatwym sposobem, przez zamianę cechowéj „spółgłoski *ł* na *ć*, a właściwie na zmiękczenie *t'*: z *buł* „utworzyło się *but'*, z czasem na *być* przeistoczone, a koń-„cówka *ć* stała się cechową wszystkich ogólników. „... Z pierwiastku *buł*, późniéj zaś *był* utworzył się „wyraz *bu*, późniéj *by* *) który zdaje się odmieniano „pierwotnie posługami: *on by*, *ty by*, *ja by* i t. d.

W przypisku jeszcze raz dowodzi: że musiało być *bu*, i przekonywa, z rozkazowca *bądź*, pierwotnie *bud'* —, „jak w wschodnich dyalektach.... u nas przerobiło się „na *ą*." tu też *budzić* wywodzi od *but'*.

Autor tych marzeń swoich ani jednym dowodem historycznym niewspiéra; ja mu tu nastręczam. Oto! niektóre mowle nieudoskonalone, a raczéj bardzo zepsute ruskie rzeczywiście wymawiają przeciw większości Słowian *buł*, a żydzi wszyscy w całéj słowiańszczyźnie tak wymawiają.

Str. 150. Podobneż przypuszczenia i marzenia wypisuje o odmianie drugiéj tegoż słowa *jestem*, które w czasie teraźniejszym jest wedle autora *synonimem* z słowem *jem*. Zamiast odpowiadania na to, zapytuję p. *Morzyckiego*: czy i to o Bogu w piśmie świętem wyrażenie: *jestem który jestem*, jest synonimem: *jem który jem?* Nim

---

*) Coś tu odwrotną drogą rozumowstwo autora postępuje: dawniéj dłuższe wyrazy od krótszych wywodzono; on przeciwnie krótsze od dłuższych!

na to odpowie autor, ja tymczasem czytelnikowi przyznaję się: że żadnego wywodu historycznego niedołężniejszego, i bezdowodniejszego, i śmieszniejszego, jak ten o słowie posiłkowem, nieczytałem. *Dębołęckiego* o *Jadam* i *Jewa*, wywód jest daleko na oko i ucho pozorniejszy. P. *Morzycki* też i tego ostatniego powagą, choć bardzo dyplomatycznie, temi słowy się osłania: „śmiejmy się; ale szperajmy“.

Str. 154—156. Słusznie jest za *liczbą podwójną* w słowach, grammatykarzów o niéj zapominających porównywa do *szewca* umiejącego „strugać prawidła do obuwia „już gotowego“, i kończy temi słowy: „Tak więc pier„wszy pracownik *Żochowski*, a *ja* drugi widzieliśwa za„grożoną mowę polską ubytkiem tego kosztownego na„szych przodków w niéj wyrobu, i życzywa z miłości dla „niéj: aby bracia rodacy wzięli się wspólnie do skute„cznego ratunku przez rehabilitacyą *dwuskazu* (tj. liczby „podwójnéj), przez wyprowadzenie go z ciemnych za„kątków gminowego narzecza(?), na otwartą niwę, wspól„néj, powszechnéj mowy narodu“.

Błogie uprzedzenie autora o sobie i swoim panegirzyście! Szkoda tylko, że całkowicie obłokiem nieznajomości historyi piśmiennictwa grammatycznego opromienione! Już niemówię o najdawniejszych grammatykarzach, nawet cudzoziemcach, którzy liczbę podwójną podawali (o czem w moich pierwszych jeszcze rozprawach 1843 r. napomknąłem), bo widoczna z całego dzieła autora: że z nimi się nigdy w życiu niespotkał; ale grzech jest niewiedzieć o grammatyce pośmiertnéj *Kopczyńskiego* w Warszawie odbitéj, w któréj liczba podwójna nietylko jak w autorze pod *słowem*, lecz i pod *rzeczownikami* jest przywiedziona, a w mojéj grammatyce z 1846, bez chluby najobszerniéj i w całości przedstawiona. Pomimo tak wysokiego stanowiska w tym względzie przez autora sobie i p. *Żochowskiemu* zarozumiale przyznanego; podobno

z tego porównania autora do *szewca* coś się dostanie; bo oni obaj przyznając liczbę podwójną *słowom*, z *rzeczowników* wyrzucili nieumiejętnie. Czyste zaś rozumowstwo naszych przodków i historya języka dowodzi jasno: że ta liczba równolegle, jednostajnie w obu tych częściach mowy rozwijała się i rozwinęła, a co większa! dotąd u ludu pozostała.

Str. 173. Każe mówić p. *Morzycki*: „kobiéta *niosła* „kurę, a kura *niesła* jaja“. Tak delikatne odcienie słowa *nieść* zapewne pochodzi z obawy; aby ktoś nierozumiał, że i *kobiéta znosi jaja* podobnie jak *kura!*

Str. 223. „*Idzie za mąż*: zdaje się, że wedle dawne- „go przedchrześciańskiego obrządku naszych przodków „kobiéta ślubiona na żonę *stawała za mężczyzną*, czyli „*mężem*, szła *za mężem*. Aby jednak odróżnić *pospolite* „stawanie i chodzenie za męża i za mężem, od ślubne- „go obrządku, mowa nasza zawsze o jasność troskliwa „wyraziła ten ostatni, w pierwszym przypadku.“

Taki dowcipny niby wywód jest przeciw rozumowstwu i historyi języka. Przeciw rozumowstwu: bo pierwszy przypadek w żadnym języku rządu przyimka przyjąć niemoże; ten bowiem przypadek jest gospodarzem, że tak powiem, myśli i wywiera na drugi przedmiot działanie w innym jakimś przypadku położony. Przeciw historyi języka: bo znający ją wie o tem: że czwarty przypadek w naszéj mowie (jak dotąd w językach romańskich) nietylko w nieżywotnych, lecz w źwierzęcych i ludzkich pierwotnie był jednostajny z pierwszym: na co ja dowód piśmienny przywiodłem w moich pierwszych *Rozprawach*. Było więc z początku długo, *za mąż*, *na koń*, *do dóm*, w pierwotnym kształcie używane, a dziś raczéj za pozostałość odwieczną, lub za przysłowkowe wyrażenie uważać się powinno.

Str. 264. Czy *ja* niemoże mieć liczby mnogiéj; niebędę się z p. *Morzyckim* sprzeczał: to tylko pewna, że

miłość chrześciańska między *ja*, *ty*, *on* niemoże się wywodzić z czasów niezawodnie *przedchrześciańskich*, jak on usiłuje tego dowieść.

Str. 269. O odmianie zaimka *on* w postaci *jeich*, o przypuszczeniach śmiesznych o postaciach *joj*, *joja*, *joje*, *jasz*, *jasza*, *jasze*, *noj*, *noja*, *noje*.

Str. 274. np.: „on kocha *noją* matkę, oni słuchają „*jaszych* nauczycieli... Zamiast: ja kocham matkę *mo*„*ję*, my słuchamy *naszych* nauczycieli". Nic nieodpowiem: bo to są marzenia na żadnéj podstawie historycznéj przez autora niepodparte. A jeżelibyśmy za radą tego nowego postępowca wprowadzili to do naszego języka; pięknieby się on przekształcił na barbarzyński, a przynajmniéj zupełnie nowy!

Str. 279. Wywód słowa *mieć* podobnąż oryginalnością śmieszną nacechowany.

Str. 309. Jużem wspomniał o nieszczęśliwych przykładach autora, tu przytoczyć muszę jeszcze jeden śmieszny i to pod *składnią*: „człowiek stoi *nogami* na podłodze". Zaiste wielka nauka dla uczących się składni; że *nogami*, a nie *głową* stoi się na podłodze! P. *Morzycki* tak ma wreszcie mało *taktu*, że tak powiem, autorskiego, że u niego nawet poważne i święte rzeczy stają się śmiesznemi. Każdy o tem może się przekonać na str. 52, gdzie *modlitwa* położona, przez samo swe położenie komiczności cechę przybiéra, każdy bowiem zdziwi się: jakim losem modlitwa znalazła się w grammatyce?

Najśmieszniejszą jednak rzeczą w téj grammatyce jest nowy zarys *pisowni*, już w niektórych ważniejszych pismach zrokowych słusznie wyśmiany.

---

§ 7.

Niepolskie wyrazy i wyrażenia.

Str. 41. P. *Morzycki* zalecając właśnie ziomkom czystość mowy, tak z niemiecka powiada: „przypatrzywszy „się bliżéj téj łataninie, przekonamy się: że to szych „podły, a nie *żadna* kosztowna, albo kunsztowna ozdo-„ba.“ Toż na str. 146: „jest dwójka samorodna, któréj „uważać niemożna za *żadne* zepsucie.“ Na str. 286: „Przybylski nie jest *żadnym* poetą.“

Str. 212. „Woła *matki*, lub woła *na matkę*“. Słowo *wołać* nigdy niekładzie się z drugim przypadkiem imion ludzkich, lub źwierzęcych, lecz z czwartym *woła matkę*. Powiedzieć zaś można: *woła miłosierdzia* i t. p. bo to może być w całości i w częściach.

Str. 233. „Wychodzi *w miasto*.“ wyjeżdża *w Lublin*, „*w Łęczycę, w Kraków*“. Jestto już składnia rosyjska przez autora przyswojona; po polsku mówi się: *wychodzi do miasta*, *wyjeżdża do Lublina* i t. d., i tylko można powiedzieć: *wchodzi w miasto*, *wjeżdża w Lublin* i t. d. bo to jest zgodne z rozumowstwem.

Str. 234. „Idzie *na spacer*“, obfity nowy grammatykarz języka polskiego czyżby niewiedział: że mamy własny nasz wyraz?

Str. 250. „Można mówić: było na targu *ogierów dwóch*, „a niemożna *koni dwóch*; było *trzech buhajów i trzy* „*woły*, zaś *trzech wołów* niemożna.“

Nigdy się prawdziwie po polsku niemówiło: *dwóch ogierów, trzech buhajów*; jestto tylko składnia właściwa imionom ludzkim i to rodzaju męzkiego. Reszta imion ma taką składnią: *było ogierów, buhajów dwa*, lub *były dwa ogiery, buhaje.*

Str. 267. „Domyślać się trzeba *wypuszczonych* wyrazów“.

Wyrazy *się opuszczają;* a nie *wypuszczają* z niemiecka, jak kury z kojca.

Str. 276. „które (sprawy) pierwotnie cechowały, roz„wijają się w odmiany sprawomianom zwyczajne, w któ„rych i same siebie (*sobie* zapewne) równie, jak innym „na posiłkowanie przychodzą.“

Słowo ostatnie w naszym języku rozumownym stósować się tylko może do istot *nogami* opatrzonych i niemi *chodzących; Słowa* zaś na posiłkowanie *przybywają*, a najkróciéj i najlepiéj *posiłkują*.

Str. 300. „cały pułk poległ: jedni, (ma się rozumieć „żołnierze) od broni palnéj, drudzy od siecznéj“.

Tu brak prostego rozumowstwa: *jedni* niemoże się odnosić do *żołnierzów*, jak autor w nawiasie dodaje, bo o nich w zaczęciu myśli niebyło wzmianki, również i *drudzy*. Gdyby autor powiedział: *żołnierze całego pułku polegli: jedni od broni palnéj, drudzy od siecznéj*; byłoby rozumownie; tu zaś potrzeba było powiedzieć *część*, lub coś podobnego.

Str. 358. „Bo jéj (ortografii) *fundamentu* brakuje „i czeka na *niego*“.

Czeka się na *co:* wymaga więc czwartego przypadku. A że *fundament* (czy autor niema i na to polskiego wyrazu?) jest nieżywotny rzeczownik; zaimek więc *on* powinien się z nim zgadzać; a p. *Morzycki* powinienby powiedzieć: *czeka nań*, lub na *ony*.

W użyciu i tworzeniu wyrazów p. *Morzycki* niedowodzi też przejęcia się duchem mowy, któréj chce być nauczycielem.

Wyraz *mownia* przejęty od p. *Żochowskiego* jest najniegodziwszy; u nas nauki mają zakończenie na *two*, np. *ogrodnictwo*, *rolnictwo*, *prawnictwo*, *gwiazdarstwo*, *przyrodnictwo* i t. p. Przestrzegałem już o tem dawno

ziomków w mojéj grammatyce, teraz niestety! po drugi raz i grammatykarzów przestrzegam.

Przymiotnik *lihoiński* zastąpił u autora odwieczny *litewski*. Autor często wytyka *Litwinom* sposób zły mówienia; ja mu odpowiadam: że podawane przez niego imiesłowy: *bywawszy*, *miawszy*, i t. d., są prawdziwą *litewszczyzną*, w duchu mowy litewskiéj naśladowaną. *Hulaszczy* jest imiesłowem z rosyjszczyzny wziętym u nas żaden imiesłów tak się niekończył.

Wyrazy: *posiłkowiec*, *rozkazowiec* i t. p. nieżywotne nie w duchu polskiego języka mają zakończenie; u nas to zakończenie służyło tylko ludzkim męzkim np. *posłaniec*, *pohaniec*, *Niżowiec* i t. p.

Spójnik *zaś* w polskim języku nigdy niestał na początku, lecz drugie, lub nawet dalsze miejsce zajmował; u nowego grammatykarza zawsze pierwsze zajmuje.

Cała *nomenklatura* p. *Morzyckiego* jest dziwna, ale najdziwniejsze nazwy przypadkom nadane: 1szemu *kto-comienny*, 2mu *czyjwłaściwny*, 3mu *komuczynny*, 4mu *cosprawialny*, 6mu *czemdziałaczy*, 7mu *miejscowiący*, i nawet ten ostatni imiesłów niema w naszym języku dotąd odpowiedniego słowa *miejscowić*. Podobnych wyrazów nowych grammatycznych autor spis umieścił na końcu aż na *trzech* bitych stronnicach!

---

§ 8.

Nieznajomość historyi języka.

Str. 104. Powiada autor: „męzki (przymiotnik) pospo-„licie się kończy na samogłoskę *y* lub *i*; jest wszakże „w mowie skłonność do dowolnego odrzucania téj sa-

„mogłoskowéj końcówki. Jeżeli ją *dotąd mało* przyjęło „wyrazów przymiotnikowych; pole *dalszego rozwoju* „zdaje się otwartem.“

Toż autor sądzi być *rozwojem*, postępem kończenie przymiotników na spółgłoski? Niewież on dotąd: że w najdawniejszych czasach tak prawie wszystkie przymiotniki męzkie kończono? Potrzebaż go jeszcze uczyć! że właśnie kończenie przymiotników na *y* i *i* w duchu prawdziwie postępowym wprowadzone zostało; aby przecię przymiotniki od rzeczowników odróżnić; bo te ostatnie w tymże rodzaju na spółgłoski się kończą? Biedna grammatyka przy tak krzyczącéj nieznajomości historyi języka!

Str. 122. Co do *pierwotnika* w słowach p. *Morzyck* uznaje za pierwszych odkrywców *Mrozińskiego* i *Żochowskiego*. Niech pokaże: gdzie w pierwszym o tem wyczytał? Drugiego zaś poprzedził uczony ś. p. *Muczkowski* w pierwszéj swojéj grammatyce i dobrze tego nierozwinąwszy, w drugiéj się wyrzekł. Rzucony ważny ten pomysł *Muczkowskiego* ja rozwinąłem i zastósowałem w mojéj grammatyce z korzyścią, na sześć lat przed p *Żochowskim*. W przyznaniu więc temu ostatniemu sławy z odkrycia jestże nieznajomości, czy niesprawiedliwości p. *Morzyckiego* skutek?

Na następnéj stronnicy porządek osób w słów czasowaniu, p. *Morzycki* nic o tem niewspominając, wziął z mojéj grammatyki po pierwszy raz wprowadzony, jak i wyraz *pierwotnik*.

Również na str. 156 przechwałka: że autor z p. *Żochowskim*, dwaj tylko ocalili liczbę podwójną, podobnéj że nieznajomości, lub niesprawiedliwości jest skutkiem; ale o tem już wyżéj wspomniałem w § 6.!

O błędzie autora co do wyrażenia *idzie za mąż* już mówiłem w § 6, do str. 223.

Str. 268. P. *Morzycki* podaje odmiany zaimka *on* w liczbie mnogiéj takie:

Przypadek 1szy *oni*, *ony*, *one*.

„ 2gi *onych*, ich, *jeich*, *nich*, i dodaje: „przy „zastępowaniu istotnika wyraża się *ony*, a w przymio- „tniczym *one* np. *gdzie ony były* — *one piękne konie*.

Co do odmiany 1go przyp. *ony*, *one* dałem przyczynę jeszcze w pierwszych moich *Rozprawach*: dla czego ostatnie *one*, nie *ony* dziś się używa; pokazuje się jednak jeszcze potrzeba powtórzenia i tu téj przyczyny. — Wszystkie przymiotniki, przynajmniéj do czasów panowania pierwszych Jagiellonów kończyły się w tym przypadku na *i* lub *y* np. *wszytki*, *sławiony*, *ony*, *ty* zamiast dzisiejszych *wszystkie*, *sławione*, *one*, *te* i t. d. Ale że rzeczowniki na *k*, *n*, *t* i t. p. zakończone w tymże przypadku przybrały końcówki *i*, *y*; musiano usłuchać natchnienia postępowego i lepiéj zakończkami oddzielić wzory przymiotników od rzeczowników; i dla tego na przymiotniki wszystkie końcówka *e* (tembardziéj że w liczbie pojedynczéj, jak widzieliśmy na początku paragrafu *i* i *y* przyjęto), pozostała. *Przyczynka* zaś dana przez p. *Morzyckiego*: że w *przymiotniczem* tylko znaczeniu *e* być powinno, a w *zaimkowem* *y* jest wiotka: bo *on* zawsze jest, i w obu jego przykładach zaimkiem, i w żadnym razie *przedmiotu* nieoznacza. Znający historyą języka musi mieć pewne pojęcie, i odróżnić wzory dawne od prawdziwie postępowych.

Co do drugiego przypadku, odmiania jego *jeich* jest także najdawniejszą odmianą, jeszcze gdzieniegdzie między ludem, twardym przechowawcą przeszłości, utrzymaną. Ale trzeba z korzyścią badać historyą przeszłości i niebrać starych, może nawet pierwotnych, odmian za postępowe. Odmiana podobna zaimka *on* przechowuje się i w innych przypadkach; tak np. w mowli podolsko-ruskiéj jest w kolendzie jednéj wiersz:

„Szuba na *nei* (niéj) za sto złotych.“

Ale ta mowla w tym okresie pozostała; w którym nasza przed kilką wieków była; kiedy i u nas nawet *nei* nie miało *ie* spieszczonego. Wrócenie się więc o kilka wieków uznajeż p. *Morzycki* za postęp? Zaimek *on* tak często używany z postępem zaczął się skracać bardzo rozumownym sposobem *i* długie zamieniając na krótkie; i tak dziś nie jest *nei*, *niei*, ale *niéj*.

Str. 280. P. *Morżycki* wyprowadza *gospodarz* z zakończeniem postępowem, (bo dawniéj było *hospod*, *hospodyn*, *gospodyn)*, od *gody* na *rokach*. Wątpię aby nowy badacz w pomnikach, gdzie się znajdzie wyraz *gospodyn*, znalazł wyrazy *gody* i *roki*. *Gody* jest daleko póżniejszym wyrazem widocznie od *godzić* (sługi) pochodzącym.

---

§ 9.

Postępu wyobrażenie u autora.

Str. 82. Radzi p. *Morzycki* przerobić np. *Lyceum*, *gimnazyum* na *liceo*, *gimnazyo*, albo *liceon*, *gimnazyon*; kiedy po polsku jest lepiéj już od niektórych pisarzów używane *licéj*, a lud już dawno przerobił bardzo rozsądnie *gimnazyja*, *gubernija*, *dominija*, i sam pewno p. *Morzycki* używa *Ewangelija*.

Str. 107. Radzi autor mówić: *pięknę Zofią*, *dobrę panią*.

Str. 109. *Gliniaty*(?), stopniuje *gliniatszy* lub *gliniastszy*.

Str. 161. Pozwala: *umiem* i *umię*.

Str, 192. Zamiast *rządźca*, *radźca*, *dozorca*, *zawiadowca* odwiecznych, radzi używać: *radziec*, *rządziec*, *dozor-*

nik, *zawiadownik*. Do tego autor sam używa *twórca*, *sprawca*; mająż i te wyrazy zamienić się na *twornik*, *sprawnik*?

Str. 245. Liczbownik *dwa* pozwala odmieniać *dwu* i *dwóch*.

Zamiast odwieczuéj wzorowéj odmiany wedle liczby podwójnéj *dwoma*, *dwiema*,

Str. 246. podaje *dwom*.

Trzy, *cztery*, każe na męzkie ludzkie *trzyma*, *cztéryma*; na inne rodzaje *trzema cztérema*.

Str. 247. *Pięć* 2gi przypadek na ludzkie imiona *pięci*, na inne *pięciu*.

3ci przypadek *pięciom* albo *pięciu*.

6ty „ *pięcioma*, albo *pięciu* albo *pięcią*.

Wzorowy liczbownik *sto* w 6tym przypadku *stoma*, albo *stą*.

Str. 248. *Pięćdziesiąt* 2gi przyp. *pięciudziesięciu* albo *piędziesięciu*.

3gi „ *pięciudziesięciom* albo *pięćdziesięciom*.

6ty „ *pięciudziesięcią*, albo *pięćdziesięcią*.

Jeszcze raz *sto* 2gi przyp. *sta*, *stu* i *set*.

6ty „ *stem*, albo *stu*, albo *stami*.

Dwieście 3ci przyp. *dwomset*, albo *dwustom*.

6ty „ *dwomaset*, *dwiemaset* i *dwustoma*.

Podobneż zamieszania i niepewności pod *oba*.

Str. 261. „Zaś co do *liczbownika*, utrzymuje p. *Morzycki*, „pokazuje się nam w *bezładzie*, jakby w *połama*„*nych kawałkach*; bo ta część mowy pomocnicza jest „cała dość *nieporządną łataniną*“.

Kto przejżrzał tu przytoczone odmiany liczbowników słusznie powiedzieć może, iż tu są *bezład*, *połamane kawałki* i *nieporządna łatanina* u autora; ale z braku znajomości historyi języka i z niewyrobienia pojęcia

ogólnego o naszych pięknych, bezwyjątkowych i tak rozlicznych wzorach. Moja grammatyka przedstawia liczbowniki jako wzorowe, rozumownie utworzone i do ogólnego układu mowy przystające.

O *jeich*, *joj*, *joja*, *joje*, *jasz jasza*, *jasze*, *noj*, *noja*, *noje* już powiedziałem wyżéj w § 6 do str. 269.

Po przejżrzeniu tego tylko, co tu wytknąłem (bo wszystkiego niepodobna) niech czytelnik sam powie: czyby się z grammatyki p. *Morzyckiego* wyuczyć mógł naszéj mowy? — Owszem! czyby przerobiony tak za radą autora nasz język utrzymał się przy przymiotniku *polski?*

Pomimo tego autor ostro przygania na str. 5 staremu *Kopczyńskiemu* i tylko postępowymi *Mrozińskiego* i *Żochowskiego* uznaje. Ja dowodziłem przeciwnie: że tylko pierwszy znał dobrze język, a dowiodłem szczegółowo obu drugich najszkodliwszego na język wpływu.

Z przywiedzionych tu dowodów czytelnik widzi jasno: że gramatyka p. *Morzyckiego*, oprócz mniejszych nieprzeliczennych i tu niewypisanych błędów, pełna sprzeczności, zamieszania, nawet najpierwszych naukowego dzieła przymiotów: jasności, rozumowstwa, znajomości języka i jego historyi pozbawiona, a tylko fantastyczną chęcią poprawiania i przeinaczania wszystkiego celująca, w poczet dzieł uczelnianych wejść niemoże i na rozbiór niezasługuje. Niech jednak niedziwi czytelnika trud przezemnie podjęty, niewdzięczny w napisaniu tego przeglądu nowego grammatycznego dzieła! Pracując na tem polu blisko lat trzydzieści sumiennie, czuję mieć jakieś prawo ostrzegania ziomków o fałszywych nauczycielach w najdroższym dla nas przybytku pod łudzącą chorągwią po nieprzyjacielsku gospodarujących i z *postępem* czasu coraz zaślepieńszych i zuchwalszych. Panowie ci całą gębą okrzykujący *postęp* niemają prostego rozumowstwa: że *postęp* tam tylko być może, gdzie jest niedostatek i niewygoda. Sami oni sprzeczni z sobą głoszą

dostatek i doskonałość mowy naszéj; a swemi pismami niszczą pierwszy, karykaturują drugą. Gdybyż np. oni starali się o powiększenie i urozmaicenie końcówek przypadkowań wzoru żeńskiego imion na spółgłoski zakończonego najuboższego, i to zubożonego w ostatnich dwu wiekach, dowiedliby pojęcia *postępu* potrzebom myśli odpowiadającego. Ale że zaprowadzają wszędzie niepewność, dowolność, mieszają wzory i rodzaje, coraz nowe podają projekty pisowni barbarzyńskiéj; mogąż się nazwać *postępowymi?* Praca grammatykarza sumiennego niełatwa; potrzeba znać język, przejźrzeć jego historyą i przy przewodnictwie czucia narodowego uczynić ogólne wyobrażenie pięknego rozwoja; teraźniejsi gramatykarze do tego wysokiego szczytu podnieść się niemogą przez brak pracy i tylko pochwyciwszy szczegółki, te, i to przy pomocy fantazyi, obrabiają. Nielubię się tykać nigdy osobistości; jednak niech mi wybaczy p. *Morzycki* iż powiem: że on prawdziwie *umorzyć* nasz język usadził się.

Jeżeli zadziwi kogo sprzeczność mojego i p. *Żochowskiego* o p. *Morzyckim* sądu, ten niech raczy dowody moje porównać z panegirykiem p. *Żochowskiego.* Dla ułatwienia sprawiedliwego sądu czytelnika tyle tylko dodam: że p. *Żochowski* miał powód chwalenia p. *Morzyckiego:* bo ten ostatni, co było najgorszego, najdziwaczniejszego w pierwszym, do grammatyki swojéj przeniósł i w kilku miejscach profesora warszawskiego filologii *ad captandam benevolentiam* obficie podkadził.

Dla znającego dobrze język rodaka smutna ta ostatnia, jak mnie musi się nasuwać uwaga, na tę ilość grammatyk i to co daléj, to gorszych *). Sąż one ojcobójczéj

---

*) Ze wszystkich badaczów języka naszego w tym wieku tak licznych, jeden tylko uczony i głęboki *F. Jezierski* gdyby napisał, napisałby grammatykę najlepszą: ale również dla *głęboko myślą-*

przewrotności? czy nieusposobienia samych grammatykarzów skutkiem? Po chrześciańsku sądząc niegodzi się pierwszéj przypuszczać, tem bardziéj że drugie widoczne! to tylko pewna: że działanie takich gramatyk jest tak szkodliwem, jak gdyby one powstały z obojéj przyczyny.

---

cych, — ja wolę pozostać w mojem skromnem stanowisku oddawna obranem być użytecznym dla uczniów początkowych i wyższych uczelnianych zakładów, przedstawiając najpiękniejszego i dotąd u ludu przechowanego okresu język i broniąc go od zupełnego skażenia.

JAN N. DESZKIEWICZ.

O BABRIOSIE
I
BAJCE GRECKIEJ.

Przed 20 laty kilka ledwie fragmentów bajek Babriosowych, zachowanych w leksykonie Swidasa, znali uczeni starożytności badacze. Dopiero w r. 1840 Minoïs Minas, Grek uczony, osiadły w Paryżu przez ministra ówczesnego nauk i oświadczenia we Francyi, pana Villemain, wysłany do Macedonii, celem przeszukania ostatecznego tamecznych klasztorów, odkrył śród mnóstwa innych rękopismów bez wszelkiéj wartości 123 bajek wierszem choliambicznym pisanych w manuskrypcie z 10 wieku, w którym autora nazwano *Balebriosem*. Dorozumiano się natychmiast, że to bajki Babriosa. Ciekawość i uwagę wszystkich erudytów niesłychanie zajęło to niespodziewane odkrycie. Nareszcie poznać miano bajki, których straty i zaguby tak bardzo żałowano; bajki, które Herder i Bentlej, nie znając ich wcale, przekła-

dali nad bajki Fedrusa i których resztki i ułomki z niewypowiedzianym mozołem zbierali Betlej, Tyrwhitt, Coray i wielu innych! Nareszcie miano poznać te wiersze pełne prawdziwéj poezyi, któréj tętno czuć było jeszcze można przez skorupę prozy barbarzyńskiéj, których uroku wonnego nie zdołała przytłumić dziwaczna i odrażająca szata, narzucona na nie przez barbarzyńskich kompilatorów.— Publikacyą Babriósa zajął się słynny francuzki filolog *Boissonade* i w październiku r. 1844 ukazało się u Didota pierwsze wydanie *editio princeps*, w wielkiéj 8ce z wspaniałą dedykacyą, przypisującą dzieło ministrowi oświecenia, z tłumaczeniem łacińskiem i komentarzem, w którym wydawca obficiéj niż zwykle rozsiał wszystkie skarby swojéj głębokiéj nauki. Wydanie to było niby hasłem, wyzywającem wszystkich filologów do walki i ścierania się wzajemnego bronią obosieczną erudycyi i dowcipu. To też pospolite ruszenie filologów wystąpiło do boju, wszyscy krytycy weszli w szranki, zbrojni, jedni w poprawkę, drudzy w restytucyą, inni w konjekturę. Ten rozbierał i roztrząsał kwestye dotyczące budowy wiersza, ów szukał w tekscie śladów kilku nierównoczesnych redakcyi. Wiek, ojczyzna, nazwisko poety, czem był i czem nie był, co mówi i czego nie powiedział, zgoła nic nie uszło badawczego i przenikliwego filologów oka i rozumu. Orelli i Bajter w Zyrich, Weise w Lipsku, Lachmann i jego drużyna w Berlinie, Hartung i Schnejdewin nowe po francuzkich przygotowali recenzye. W niespełna sześciu miesiącach nagromadziło się tyle *waryantów*, że pod ich stósem zagrzebiony poeta ledwie od czasu do czasu wykrzywione wychylał oblicze. Żywość walki, zaciętość wojujących, ich entuzyam dla poety objaśnianego, przypominały utarczki uczone szesnastego wieku. Na niczem tam nie zbywało, nawet nie na przekąsach i grubiaństwie. Zaiste! mówiąc mimochodem, nieco za daleko posunięta miłość wyjaśniania prawdy!

Szanujemy nieskończenie erudycyą niemiecką, ale nie zawadziłoby jéj wcale, aby, poszedłszy za radą Babriosa:

„cierpkich iambów ostrość napoiła suszem i patoką".

Pomimo tego jednak, pomimo wszystkich kłótni, zwad, sprzeczek i t. d. mało co wiemy o życiu Babriosa; tak że z kilku skąpo rozsianych po bajkach skazówek i doniesień wypada nam w głównych przynajmniéj zarysach ono przedstawić.

Babrios niezaprzeczenie najcelniejszy bajkopisarz starożytności z Syryi, na pograniczu Arabii, jak się zdaje, był rodem. W bajce 57 bowiem powiada:

Kłamu, szelmostwa i złości przeróżnéj
Hermejas na wóz nakładłszy podróżny,
jechał po świecie. Zwolna różne kraje
i ludy zwiedza — a każdemu daje
cząsteczkę darów. Gdy zaś do dziedziny
Arabów przybył, w głębi ich krainy,
według powieści, złamały się koła,
wóz Arabowie, towar rzkomo cenny
łupiąc i, by go do ziemi ościennéj
ani do dalszych nie puścić narodów,
wszystek zabiorą. Ztąd to, a *dowodów*
dość mam, opływa kraj w łgarzach, oszustach,
u których prawda nie postoi w ustach.

Znani mu więc byli Arabowie z szalbierstwa i kłamliwości i dali mu się nie raz we znaki. — Język grecki jednak był mu językiem ojczystym i on sam niewątpliwie należał do szczepu greckiego.

Wiek i kraj, w których żył, nie pomału wpłynęły na sposób myślenia i zachwiały wiarę Babriosa. Sądząc z pozostałych po nim bajek, wyrzekł się zupełnie reli-

gijnego wierzenia Greków a przejął się pojęciami żydowskiemi i syryjskiemi. Bożków greckich wspomina lub wyprowadza na scenę poeta albo dla tego, aby z nich się natrząsać i naigrawać, albo, że pisząc dla Greków, pojęcia zrosłe z postaciami i istotą urojoną owych bożków najzrozumialéj i najsnadniéj w ten sposób czytelnikom swoim tłumaczył. Wszakże jakby sprzętów używa ich w razie potrzeby, tylko dla celów wcale zewnętrznych; zresztą pomiata nimi, jak nie można gorzéj. Dla przekonania czytelnika o prawdzie słów powyższych, przytoczymy na dowód kilka bajek.

W bajkach 30 i 119 szydzi z czcicieli bałwanów drewnianych:

30. Snycerz miał posąg Hermesa w warsztacie
i dwóch nań kupców. Do grobowca użyć
jeden po świeżéj syna chce go stracie;
drugiemu dzieło ma za boga służyć.
Dla późnéj doby targ ich się przewlecze.
Rzeźbiarz nazajutrz do warsztatu wcześnie
kupców zaprasza. W nocy mu zaś we śnie
jawi się w bramach snu Hermes i rzecze:
„*W twéj ręce los mój się waży.* Przekupem
„tym, albo bogiem zrobisz mię lub trupem!“.

119. Rzemieślnik jakiś posąg Hermesa miał z drzewa.
Choć codzień mu ofiary składa lub wylewa,
źle mu się wiodło jednak. Więc zagniewany srodze,
wziąwszy za nogę boga kruszy na podłodze.
W tem złoto się wysypie z rozpękniętéj głowy.
Zbiera je człowiek i tak rzecze: „W sposób nowy
„i opaczny, Hermesie, czynisz z twym wyznawcą;
„gdy cię wielbi, dla niego wcaleś nie łaskawcą,
„a szczodryś, gdy zuchwalstwa raz tobie wymierzy.
„Nie wiedziałem, że teraz tak czcić cię należy!“.

W bajce 63 zarzuca i potępia wiarę w bohaterów (ἥρωες), którzy tylko złe jego zdaniem ludziom broją i złem za ich cześć się wypłacają:

63. Wzniósł mąż pobożny kaplicę we dworze
bohaterowi. Tam w świętéj ofiarze
zlewając winem i wieńcząc ółtarze,
„Witaj, najdroższy!“ błaga go w pokorze,
„i domownikom zdarz szczęścia okwicie“.
Ów mu się jawi o północnéj dobie
i rzecze: „Szczęścia nie zdarzy, me życie,
„nikt z nas; trza bogów o to prosić tobie.
„My ludziom dajem złe wszystko w podziele.
„Gdybyś miał od nas nieszczęść się domagać,
„proś, a za jedno ześlę na cię wiele.
„Nie chciéj więc na dal ofiarą nas błagać!“.

W bajce 2 bogowie, którzy tych, co ich świątynie okradli, wyśledzić a tem bardziéj złodziejów cudzéj własności wskazać nie zdołają, mniemaniem kmiecia wcale na cześć nie zasługują:

2. Kmieć, przekopując rolę w swéj winnicy,
zgubił motykę i na próżno bada,
czy jéj nie skradli właśni najemnicy.
Nikt się nie przyznał.— Trudna była rada!
Do miasta wszystkich bierze do przysięgi.
Bo z bóstw (tak wierzą) wiejskie lubią łęgi
li prostoduszne; w miasta zasię siedzą
i prawdomówne i co wszystko wiedzą.
Gdy tuż przed bramą omywali w brodzie
potoku nogi i torby złożyli,
woźny ogłaszał: „Tysiąc drachm w nagrodzie,
„kto bogokradzcę wyda, ma w téj chwili!“

kmieć usłyszawszy to: „Darmo się trudzę,
rzekł, „jak bóg wykryć ma kradzieże cudze,
„gdy swych łupieżców nie umie dochodzić
„i za wskazanie ludzi chce nagrodzić?“

W bajce 30, wyżéj przytoczonéj, znachodzą się raczéj pojęcia żydowskie, niż greckie. Zeus w bajce 68, który tak spore kroki czyni, że jedną nogą na Olimpie, drugą na zachodnim krańcu świata stoi, tudzież podobniejszy do Jehowy, niż do któregokolwiek z bożków greckich.

68. Apollon w cel daleki godząc tak się chwali:
„Nikt z bogów ani strzela, ani strzeli daléj“.
Zeus żartem się przeciwiąc z Fojbem się zakłada.
Więc Hermes w hełm Aresa wrzuci śpiesznie losy.
Strzał pierwszy miał Apollon. Z łuku złotowłoséj
cięciwy, naciągniętéj silnie, z brzękiem spada
pocisk i w Hesperydów ogrodzie utyka.
Zeus przekroczywszy przestrzeń strzału się zatrzyma:
„Dokąd bełt rzucę, synu?“ pyta; „miejsca niema“.
I bełtu niespuściwszy gromi przeciwnika.

Z jakiem lekceważeniem mówi o Prometeuszu w bajce 66:

66. Był ci bogiem Prometej, lecz nie z głównych jednym.
Ten wszystkich zwierząt pana, człowieka, gdy z ziemi
był ulepił, do szyi brzemię sakwów biednym
przywiązał, napełnionych błędami ludzkiemi.
Mieściła obce błędy przednia część biesagi,
tylna własne — a była wiele cięższéj wagi.
Dla tego zdaniem mojem widzim cudze lepiéj
zdrożności, a na własne zwykliśmy być ślepi.

Afrodyta w bajce 10 nie jest boginią helleńską, gdy gniewa się na pana, co dziewkę swoją kocha, że piękną ją być mieni, i pozwala jéj hardo stawiać się jego małżonce a swojéj pani.

10. Pan się pokochał w własnéj dziewce brzydkiéj
i, czego chciała ta sługa nicpotem,
dawał jéj chętnie. Ona kapiąc złotem
i lekko wznosząc pawłokę po łytki
szuka co chwila z panią swoją zwady.
Lecz Afrodytę, by sprawczynią tego,
czci światłem, błaga w modłach, dnia każdego
ofiarą wielbi, zasięgając rady;
aż wreszcie bóstwo, kiedy spoczną w łożu,
we śnie się jawiąc dziewce, tak z niéj szydzi:
„Nie dziękuj mnie zaś, żeś rzekomo hożą;
„*temu* złorzeczę, że cię piękną widzi!“

Nie greckie to pojęcie także, ludziom względem bogów przeznaczać to samo miejsce, co mrówkom względem ludzi, w bajce 117:

W otchłani okręt tonie z osadą. Ktoś powie,
gdy to widzi, że czynią niesłusznie bogowie,
dla grzesznika jednego, co był na pokładzie,
wielu wespół niewinnych poświęcić zagładzie.
Jak się to czasem dzieje, gdy tak jeszcze gada,
ku niemu tłumnie mrówek wali się gromada,
co na pochodzie śpiesznym pożywia się plewą
pszeniczną. Z nich ukąsi jedna go; człek z gniewu
depce wiele. Wtem Hermes zbliży się i rzecze,
rószczką go uderzywszy: „A jednakże, człecze,
„niechcesz, aby się bóstwo obchodziło z wami,
„jak ty sam postąpiłeś ot z temi mrówkami!“

To, co się powiedziało na dowód odszczepieństwa Babriosowego, upoważnia oraz do mniemania, które jednak dobitniejszemi poprzeć należy dowodami, że bajkopisarz ten żył po Chrystusie.

Kilku niemieckich filologów (Hertzberg, Schnejdewin) utrzymymało, że na 150, inny (Bergk), że nawet na 250 lat żył przed erą chrześciańską; i na dowód twierdzenia swojego przytaczali owi, że król Aleksander, którego synowi (Branchosowi?) dedykował drugą księgę bajek, był Aleksander I Balas lub Aleksander II Zabina, Syryjscy władcy; ten, że nim był Aleksander, syn Kraterosa, którego Swidas na tronie Eubojskim osadza. Boissonade, który w r. 1813. Babriosa uważał za spółczesnego Augusta, w roku 1844 utrzymywał, że wspomniany przez poetę Aleksander może być cesarzem Rzymskim, Aleksander Severus, żyjącym na 230 lat po Chrystusie. Nie mała rozwarta przestrzeń czasowa między Bergk'a a Boissonady okresem! lecz, jak mówi Horacy, *intervalla vides humane commoda!*

Mylne jednak są te podania. Najświeższe badania (Hartunga i Bernhardego) dowiodły, że życie Babriosa przypadło pod koniec pierwszego ery chrześciańskiéj stulecia. Najwymowniejszym tego dowodem są język i budowa wierszy. Wysłowia się bowiem Babrios owym od gramatyków *wspólnym* (*κοινὴ*) nazwanym a powszechnie używanym językiem helleńskim, który żadnego narzecza wyłącznie i ściśle nie trzymał się, a przeszedłszy od czasów Polibiosa aż do napisania Nowego Testamentu różne koleje, wiele przejął z języka łacińskiego. Nadto poznać późniejszego autora po nadaniu wyrazom znaczenia, którego w drugim, a tem mniéj w trzecim wieku przed Chr. jeszcze nie miały. W budowie zaś wiersza (zowie się: *Trimeter claudus, scazon, Hipponacteus, Choliambus, Mimiambus*), uderza to głównie, że przedostatnia jego zgłoska prawie bez wyjątku

ma akcent; wczem możnaby dopatrzeć się zawiązku tak zwanego wiersza *politycznego*. Nawet w środku i na początku wiersza zwykle przycisk pada na zgłoski akcentowane. Tego greccy poeci przed erą chrześciańską żyjący nie czynili; u nich przeciwnie zwykle przycisk rytmiczny rozmija się z akcentem pisarskim.

Polegając ostatecznie na doniesieniu samego Babriosa (Wstęp II księgi), że jego bajki prędko się rozpowszechniły i znalazły naśladowców, przypuścić należy, że nie wiele wcześniéj żył od tych, co go wspominają lub naśladowali Jakkolwiek najważniejsi i najszczęśliwsi podobno z jego naśladowców żyli dopiero na początku 3go stulecia (Titianus i Dositheos, 207 po Chr.), to przecie już Apollonius Sophista (w lexicon graecum Iliadis et Odyssae) przytacza kilka wierszy z Babriosa; a ten żył na końcu 1. stulecia po Chrystusie. Wtymże samym czasie żył także król Aleksander, wnuk tego Aleksandra, który był synem Heroda *).

Przypuściwszy więc, że za panowania tego Aleksandra, na 100 lat po Chrystusie, żył Babrios w Syryi, łatwo sobie wytłómaczyć, dla czego wahał się i chwiał pomiędzy Judaizmem a pogaństwem: kiedy żył w kraju, gdzie pogańskie i chrześciańskie pojęcia się krzyżowały, i w czasach, gdzie pogaństwu starano się byt zapewnić przez to, że żydowsko-chrześciańskie o istocie bóstwa pojęcia zaczęto przenosić i zaszczepiać na bożyszczach

---

*) Is est Alexander, Alexandri filii nepos, ex ea gente natus, quam Josephus statim ad Graecos mores a Judaicis descivisse dicit, matrimonio conjunctus cum Jotape, Commagenorum regis filia, ipse a Vespasiano rex constitutus, Ἰσσιάδος τῆς ἐν κιλικία (sic enim scribere recte viros doctos puto, cum libri habeant Ἡσιὸδος) Hoc igitur tempore post annum a Christo nato 72 in Syriae et Ciliciae confiniis Babrium fabellas Alexandri regis filio composuisse si dixero, vana specie me ludi non credam, donec aliquis ipso Brancho indicando finem fecerit opinationibus. Tak pisze Lachmann o Babriosie.

pogańskich. Daléj i ta rzecz się wyjaśnia, dla czego w wysłowieniu zgadza się Babrios bardzo często z tłómaczami LXX i autorami nowego testamentu.

Że zaś Babrios żył na dworze królewskim, tego nie tyle dowodzi dedykacya książki drugiéj, ile bajka 106.

106. Lew niegdyś w najlepszego z ludzi chciał pójść ślady;
więc leżąc w sporéj jamie, ile mu z gromady
mieszkańców leśnych znanych było ze zacności,
uprzejmie i z powagą podejmuje onych;
i bywało w jaskini uwija się gości
często tłum różnorodny zwierząt oswojonych.
Lew raczy i częstuje w swym domu ich szczerze,
wyprawia sute uczty, posilne wieczerze.
Miał w lisie poufnego za się przyjaciela,
z nim czas na pogadankach mile mu upływa;
krajczynią swoją małpę zrobił, co rozdziela
pomiędzy stołowników porcye mięsiwa
i, kiedy gość niezwykły przybył w odwiedziny,
temu, jak panu swemu, daje ze zwierzyny
najświeższą zwykle lwiego połowu ofiarę.
Lis tylko mniéj dostawał, nadto mięso stare.
Pewnego razu milcząc z nastrojoną miną,
gdy po żer zastawiony nie idzie do stołu,
lew pyta: „Drogi lisie! cóż smutku przyczyną?
„Gadaj, jak zwykłeś, minę weź na się wesołą
„i po potrawy sięgnij z rozjaśnioną twarzą“.
Ten rzekł: „Najpotężniejszy śród zwierząt mocarzu!
„Wielka troska i żałość serce moje tłoczy
„i nie obecność sama trapi mię jedynie,
„lecz płaczę, gdy na przyszłość nawet zwrócę oczy.
„Bo jeżli gość po gościu codzień się nawinie
„bóg wie zkąd, i te fety staną się zwyczajem,
„ja wnet cuchnącem nawet mięsem się nie najem“.

Nato rozweselony lew z miłym uśmiechem:
„*Téj* zarzuć“ rzekł „krajczyni, to nie moim grzechem“.

Byłaby bowiem bez wszelkiéj barwy i obrana z dowcipu ta bajka, gdyby pod maską zwierząt nie chciano dojrzeć osób pewnych. I tak pod maską lisa, poufnego przyjaciela króla — lwa, (łagodnością, ludzkością i uprzejmością odznaczającego się), nie trudno domyślić się samego Babriosa, któremu pomimo to, że łaskę i zaufanie posiadał królewskie, snać nieszczególnie pod względem materyalnym wieść się musiało dla niechęci ku niemu ministra królewskiego, który, małpy maskę w bajce przybrawszy, piastuje urząd krajczego.

Była to myśl wcale szczęśliwa, pod rządem despotycznym cesarzy rzymskich uprawiać gatunek poezyi, przez niewolnika z samowładnie zawiadowanego wschodu wprowadzonéj, którąby słusznie *poddańską* poezyą nazwać można. To też mile ją powitano, chętnie przyjęto i z zamiłowaniem uprawiano.

Babrios ostatnim jest ludowym starożytności poetą, a bajka płodem ostatnim, wyrosłym na gruncie świata helleńskiego. Już z tego powodu zasługuje poeta nasz na szczególniejszą uwagę. Lecz więcéj znaczy dla tego, że on pierwszy bajkę jako osobny gatunek poezyi wprowadził do literatury. Cokolwiek bowiem nosi Ezopowych bajek nazwisko w starożytności, czy prozą lub wierszem jest pisane, to wszystko opiera się na Babriosie, będąc albo naśladowaniem, opracowaniem w niewiązanéj mowie lub powtórzeniem. Prawda że przed wystąpieniem Babriosa wiele bajek przypisywanych Ezopowi było w obiegu; kilka nawet poeci, n. p. Hezyod, Archilochos, Stesichoros, Kallimachos, (z Rzymian Horacyusz) przy zdarzonéj sposobności obszerniéj lub zwięźléj według potrzeby opowiedzieli; prawda i to, że wszystkie te bajki nacechowane są jednym i tym samym charakterem;

wszakże są to tylko dowcipne zwroty, fortele, że tak powiem, powabne stylu, *argumenta ad hominem*, i możnaby je porównać z retorycznemi figurami. Ale nie tworzą osobnego rodzaju literatury. Bajki bowiem, jako osobnego, ponętnego kwiatu poezyi, nikt przed wystąpieniem Babriosa nie pielęgnował. Babrios sam w przedmowie do drugiej księgi, którą w tem miejscu całą kładę, aby nie powtarzać części pojedynczych w kilku, powiada:

„Bajka, o króla Aleksandra synu,
to wynalazek dawny w Syrów kraju,
gdy u nich Ninos i Bel z rządów słyną.
Dla greckiéj dziatwy pierwszy, powiadają,
Ezop je składał. Dla Libijów wzorem
pierwszym Kibyssas był. Ja nowym torem
poszedłszy w munsztuk, jak rumaka w zbroi,
złoty ująłem jamby bajki mojéj.
A kiedy pierwszy otworzyłem wrota,
i inna za mną wciska się hołota;
pełne zagadek i subtelne rodzi
bajki, a czysty nierozum wżdy płodzi.
Ja w jasnéj mowie gadam bajki tobie;
nie ostrzę zębów jambów, lecz po próbie
ogniowéj, żądła starannie wyrywam.
Oto i drugą księgę ci wyśpiewam.

Theon Sofista donosi nadto, że oprócz Ezopowych i libijskich znano także sybaryckie, frygijskie, cilicyjskie, karyjskie, egipskie i cypryjskie bajki. Był pomiędzy temi rozmaitemi pochodzeniem bajkami węzeł wspólny, ścisła jedność, bo grecki duch przetworzył je na swoje podobieństwo. Bajki libijskie, których wynalazek przypisuje, jak czytaliśmy w Babriosa przedmowie do drugiéj księgi, tradycya jakiemuś Kybissasowi, były

długo we wielkiem poważaniu, nawet u Rzymian. Wzięły początek zasię z kolonii cyrenajskiéj, jak tego domyślić się można. Piękny przykład mamy w fragmencie z Eschylosa Myrmidonów. (Hermann, Aeschyl. I, 347, frag. 145). Patroklos włożywszy na się zbroję Achillesa, padł pod razami Hektora. Achilles biada tedy nad sobą, że go puścił samego, i mówi:

Opowiadają gadkę tę Libijczykowie:
Orzeł pociskiem z łuku na śmierć ugodzony,
skoro na drzewcu strzały zoczy pióra, powie:
„Konam, a nie obcemu przypisuję winę,
„nie, nie, przez własne oto moje skrzydła ginę.“

Nie mamy żadnych bajek cylicyjskich; wiemy tylko, że jakiś *Konnis* był wynalazcą ich wysławianym. Gadki ich niezawodnie były pełne cudownych, grozę i trwogę budzących przygód. Okrutność bowiem cylicyjska poszła u Greków w przysłowie; śmierć cylicyjska oznaczała najsroższe katusze i wyszukane męczarnie. (*Κιλιξειν, κιλικισμός, κιλίκιος, ὄλεθρος,* Zenob 4, 53). Kto był wynalazcą cypryjskich bajek, niewiadomo. Theon Aelius donosi, że je kładziono powszechnie w usta niewiastom; a poeta Timokreon wielką ich liczbę spisał, z których jednę nam zachował Diogenianus: „Gdy Afrodyta grzebie w Cypru kraju Adonisa, mieszkańcy na stós żywe miecą gołębie. Te do góry wzbiwszy się ulecą, lecz znużone w żar stósu drugiego spadają.“ Timokreon wydobył z tego ten wniosek, że winny zawsze ginie, jak na to sobie zasłużył. Sądząc z tego przykładu i kilku innych ułamków, bajka cypryjska miała na względzie igraszki losu, przygody nieprzewidziane, niepojęte lub śmiesznością bawiące. Bajka karyjska, jak się zdaje, była żywszą; podobała sobie w uderzających przeciwieństwach, w powabnych sytuacyach. Simonides oną nie

gardził, a jedyną, którą nam zachowano, przypisują Timokreonowi. Rzecz jest o rybitwie, co zimą polipa zobaczył i tak rzecze do siebie: „Gdy się rozbiorę, aby go dostać, zmarznę niezawodnie; gdy nie dostanę go, dzieci moje pomrą z głodu.“ Zapewne tedy Karyjczyk, siedząc nad brzegiem i rozważając *pro* i *contra*, bo był między młotem a kowadłem, nim krok stanowczy zrobił, umarł z głodu i z przeziębienia. Bajki frygijskie, egipskie i lidyjskie różnią się tylko barwą miejscową. Posiadamy jedynie trzy wiersze bajki lidyjskiéj Kallimacha. Jest to dyalog na górze Tmolos między wawrzynem, symbolem wojny, a drzewem oliwnem, symbolem pokoju. Najchętniéj ze wszystkich bajek powtarzali Ateńczycy ostre, cięte, dwuznaczne często, niekiedy zjadliwe a zawsze pryskające dowcipem bajki sybaryckie. Zaczynano je temi słowy: *Συβαρίτες ἔλεγε*, podobnie jak powyższe: *Αἰσωπὸς* albo *Δίβυς ἀνὴρ* albo *Κυπρία γονη ἔλεγε*, i tem dano do zrozumienia, że je uważano za płód dowcipu i fantazyi ludowéj. Przytaczam tu bajkę sybarycką z Arystofanesa komedyi „Osy, *Σφῆκες*“ w. 1427: Mąż sybarycki z konia spadł i skręcił kark sobie nieźle, bo nie umiał jeździć. W tem doń stojący obok rzekł przyjaciel: „Niech tem rzemiosłem każdy człek się trudni, którego świadom“. (Porówn. drugą bajkę w téj saméj komedyi w. 1435).

Kwintylian utrzymuje, że za wynalazcę bajek u Greków poczytać należy raczéj Hezyoda, niż Ezopa *). Trudno się spierać z Kwintylianem, ale nie widzimy w ogóle potrzeby dochodzić tego, kto był bajki rodzicem. Podobnie możnaby chcieć dociec, kto różne *tropy* i *retory-*

---

*) Quintil. Institutiones: Illae quoque fabellae... nam videtur eorum primus auctor Hesiodus, nomine tamen Aesopi maxime celebrantur etc.

czne figury n. p. metaforę, allegoryą, porównanie, antitezę i t. d. wynalazł. Grecki wyraz *αἶνος*, jak bajkę z początku nazywano, oznacza, radę, naukę, opartą na doświadczeniu nabytem w życiu, i zastósowaną do okoliczności; czasem także rozumie się przez to figiel dowcipny lub pocisk szydu. Taki też jest pierwotny charakter bajki greckiéj. Hezyod któremu zagrażała strata ojcowizny, poświęca bratu swojemu Perzesowi, co go chciał z niéj wyzuć, poemat „Prace i dnie“ (*ἔργα καὶ ἡμέραι*). Już raz sędziowie albo królowie, jak ich nazywa Hezyodos, dali się przekupić podarkami Perzesa; poeta tedy zaklina ich, aby szanowali przepisy sprawiedliwości i zakon Zeusa, bez którego prawo nie mogłoby się ostać przeciw przemocy. Tym celem opowiada im bajkę: (w. 186) „Tak jastrząb rzekł do słowika wielo„głosego, wysoko w obłoki go unosząc pochwyciwszy „w szpony, gdy ten żałośnie dławiony skrzywionemi pa„zurami jęczał, tak rzekł gniewliwie do niego: „„Nie„„szczęśniku, przecz jęczysz? posiada cię teraz daleko „„silniejszy. Tam pójdziesz, dokąd cię poprowadzę, cho„„ciaż z ciebie tak dzielny śpiewak — i sprawię, gdy „„zechcę z ciebie sobie ucztę, albo cię puszczę na wol„„ność.““ Tak rzekł chyży jastrząb, przecinając powie„trze rozpiętemi skrzydłami. Nierozsądny, ktoby chci„opór stawić możniejszym; zwycięztwa nie odniesie a do „hańby bóle doda. Dla tego ty słuchaj głosu sprawie„dliwości i nie zasługuj sobie na przyganę w skutek „zuchwałości, bo zuchwałość szkodzi nieszczęśliwemu „śmiertelnikowi i t. d.“

Archilochos, ów niemiłosierny Archilochos, niejedną bajkę wymierzył do przysięgołomcy Lykamba. „Krąży, powiada on, dawna powiastka pomiędzy ludźmi. Lis z orłem zawarli sojusz. Depcąc prawa zaprzysiężone orzeł pożarł młodego lisa, który w niemocy i potrzebie swojéj zaklinał i wzywał do pomsty bogów. I nieza-

długo bogowie się pomścili. Orzeł porwał kawał mięsa, co paliło się na ołtarzu, a wraz z łupem swoim unosi z nieuwagi węgiel tlący się do gniazda. W oka mgnieniu wszystko stoi w płomieniach i wiarołomca ginie wraz z pisklętami.“ A inną razą niby owiany duchem plebejuszowym, powiada: „Opowiem ci bajkę, Kerykidos nie zabawną wcale. Małpa na ustroniu spotkała lisa chytrego ... (Bajkę tę niedokończoną w fragmentach Archilocha czytamy w Babriosie więc posłuchajmy go: 81).

„Ot słup, co widzisz“, małpa do lisa powiada,
„stawiany przez rodzica — ba! nawet przez dziada.“
Lis małpie na to powie: „Kłam, jak ci się żywo
„podoba; trudno dowieść, czy twa wieść prawdziwą!“

Już za czasów Archilocha używano bajki na sejmikach i sejmach; posługiwali się nią w stósownych porach mówcy ludowi. Kiedy Phalaris zażądał straży przybocznéj od mieszkańców Himery i Himeryjczyków już był odurzył słodkiemi słowami. Stesichoros poeta powstał i powiedział im bajkę o koniu, co zazdrosnem okiem patrząc na jelenia, woła człowieka na pomoc i pozwoliwszy mu dosiąść siebie, tym sposobem zwycięztwo odniósł, lecz kosztem swojéj wolności. Któż nieprzypomina sobie apologii Meneniusza? Przykłady podobne często się powtarzają, a sens bajek jest prosty, zastósowany do okoliczności. Jeżeli zaś słaby miał w bajce broń przeciw możniejszemu, niekiedy ona służyła także zwycięzcy do wyszydzania i naigrawania się z pobitych. Grecy Azyi mniejszéj nie chcieli się połączyć z Cyrusem przeciw królowi Lydyi. Gdy Lydów pobił, przyszli do Sardes, prosząc Persów o opiekę i łaskawe względy. Cyrus odpowiedział na to bajką, którą znajdujemy w Babriosie:

9. Rybołów flet miał i grał biegle na nim.
Sądząc, że kosztem uda mu się tanim
połów mieć znaczny, przy grze dźwięcznéj, czystéj,
sieć porzuciwszy gra z wprawą artysty.
Zmęczył się dęciem i próżną muzyką.
Więc sieć zastawia: ryb chwyta bez liku.
Widząc drgające tak owak na ziemi,
sieć płucze i tak drwiąc zrzędzi nad niemi:
„Teraz drygacie bez gry; było przecie
„lepiéj podrygać wam, gdym dął na flecie!“

Dziki Sulla nie obwija w bawełnę zamiarów ani doborem słów słodkich tak nie łagodzi przykrości i okrutności postanowienia. Mówi on do stronników Maryuszowych: „Rolnika pchły gryzły. Dwa razy od pługa odchodzi i wytrząsa odzienie. Gdy gryść nie przestały, zdjął odzienie i spalił.“

Z tego pokazuje się, co już wyżéj powiedzieliśmy, że wszystkie te przypowieści mają jeden i ten sam charakter; niczem nie są same przez się, całe ich znaczenie i donośność, że tak powiem, polega na tych okolicznościach, które je wywołały. Wszakże u Greków sens moralny bajki główną treść i istotę jéj stanowi; jest ona tylko niby odzieniem myśli, które im przejrzystsze, tem jest lepsze. Zwierzęta bajek są maskami konwencyonalnemi, zastępują maski sceniczne; zawsze człowiek mówi i działa.

Trudno zaprzeczyć, że upodobanie do bajek i bardzo wiele oraz bajek przeszło do Grecyi ze wschodu. Sam Babrios to przyznaje. (Wstęp do 2 księgi). Lecz stały się wszystkie czysto-greckiemi, przechodząc przez Grecyą. Dla tego też oswojone w Grecyi mogły mieć tylko za reprezentanta Greka charakterem, jeżeli już nie urodzeniem. Tego reprezentanta znaleziono w Europie. — Koło środka 5go wieku przed Chrystusem rozeszła się

5*

wieść po Grecyi, że wyrocznia Apollona przemówiła i że Delfijczycy, którym grozi zemsta niebios, chcą przebłagać i odpokutować za grzech popełniony przez przodków. Mówiono bowiem, że przed trzema pokoleniami mędrzec, zwany Ezopem, był przyszedł ze wschodu, aby radzić się wyroczni, i że lud delficki, oburzony bajkami jego, pełnemi szydu i urągania, zemścił się na nim, oskarżając go o świętokradztwo. Przekonany o zbrodnią, której nie był popełnił, mędrzec Ezop strącony był z wysokości skały, lecz umierając zwołał gniew bogów na głowy oprawców. Tak tedy Delfijczycy, ponosząc karę za zbrodnią ojców, postanowili za krew niewinnie przelaną tego przebłagać, którýby się zgłosił i udowodnił prawo do błagalnego daru. Bogaty obywatel z Samos, Jadmon, przytaczając dowody, wnioski, prawdopodobieństwa, przekonał ich, że Ezop był niewolnikiem jego dziada i otrzymawszy dary, przysięgą stwierdził przyrzeczenie wiecznej uraz zagłady. W tym względzie wszystkie świadectwa starożytności zgadzają się; lecz czy Ezop niewolnik Samijczyka Jadmona, był rzeczywiście zabity przez Delfijczyków? Możemy śmiało zaręczyć, że nikt nigdy nic o tem nie słyszał; ani ci, co ofiarę błagalną składali, ani ten, który zapłatę krwi otrzymał. Ale, jak we wielu innych podobnych przypadkach, historyę tę zmyśloną poczytano za prawdziwą, nie porównywając wcale wyrzeczenia Samijczyka ze słowami wyroczni, nie pytając o to, dla czego bogowie przez trzy pokolenia cierpliwie czekali i ostatecznie zemstę wywarli na niewinnych w imieniu zbrodni, o któréj ci może wcale nie zasłyszeli. Zaiste niewczesna *ὑστερόποινος Ἐρινύς*! Nikomu przez myśl nie przeszło, nad tem się zastanowić; bo i pocóż? Moralność i wyobrażnię powiastka ta zaspakajała — a z niczego więcéj ani kapłanów delfijskich ani Samijczyka samolubstwo liczby nie żądało.

To też nie łatwo dzisiaj, powiedzieć o życiu Ezopa, jeżeli się chce zadosyć uczynić wszelkim wymaganiom przezornéj krytyki. Wielu już nad tem suszyło sobie na próżno głowę. Cóż zresztą powiedzieć o tem różnolicym Ezopie, który u Aristotelesa jest mówcą ludowym, piorunującym na sejmach Samijczyków, u Aristofanesa obywatelem ateńskim; który u Phedrusa bajką Ateńczyków oświeca o samolubnych zamiarach Pizistrata? A inni pokazują go nam w Koryncie lub Sybaris, inni mieszczą go na dworze Krezusa i tam go widzimy w rozmowie z Solonem. Tradycya, co mu każe umierać w Delfach, zapewne innego celu nie miała, jak nadać jakąś historyczną prawdziwością bajkę o *orle i chrząszczu*. Nawet wskrzeszono Samijczyka i walczy z Leonidasem pod Termopylami, niewątpliwie tym celem, aby mu bajkę opowiedział. To jest niewolnikiem, to wolnym, to posłem króla lidyjskiego. U komików jeszcze rozmaitsze przybiera kształty i bardziéj się mącą pojęcia o tym mędrcu; bo Ezop był ulubioną komików figurą, a kiedy późniéj zakonnicy, zbierając bajki Ezopowe, zabrali się do napisania życia ojca bajek, uzupełnili je ze źródeł wschodnich czerpanemi wiadomostkami, a gdzie na tych zbywało, własną fantazyą. Życie Ezopa u Planudesa jest to zbiór powiastek, których słuchając można usnąć stojący; rozum Ezopa powikłał się tam w pasmie bredni; on sam przedzierzgniony w śmieszka jest chyba karykaturą. A przecie Ateńczycy wystawili na cześć jego posąg, wyrznięty dłutem Lyzippa!

Ateny, stawszy się wspólnem ogniskiem oświaty Helleńskiej, pozyskały poniekąd prawo do przywłaszczenia sobie sławy wszelkiéj, otaczającéj i spływającéj na Grecyę. Wszystkie burze polityczne, wzruszenia sceniczne, filozofia *Stoi* i *Akademii*, nie zdołały jednak wyrugować z pamięci Ateńczyków, prostotę bajki Ezopowéj; w teatrze bawiła lud, gdy ją słyszała z ust *Philokleona* i *Pi-*

sthetera; po sądach, w zgromadzeniach ludu ożywiała mowy rzeczników i demagogów, w szkołach filozoficznych zwracała umysły, znużone spekulatywnością, do świata rzeczywistego i widzialnego. Tym sposobem Sokrates często wpajał w dusze uczniów najwznioślejsze prawdy. Przypominam tylko bajkę o *konikach polnych*, co ludźmi były i żyły, nim Muzy się narodziły, a którą mędrzec ten młodzieńcowi Fedrosowi opowiada. To też ostatniem Sokratesa zatrudnieniem było, składać bajki Ezopowe w miarowym, elegiackim wierszu. Późniéj zaczęto je zbierać. Zbiór Demetryusza Faleryjczyka pewnie nie był pierwszy; atoli myśl Sokratesa dopiero uskutecznił Babrios, i dla tego, bez trudności nad Demetryuszem odniósł zwycięztwo, wskazując jego prozą pisane bajki na wieczne zapomnienie.

Od Hezyoda zatem aż do Babriosa bajka, rozmaite przechodząc koleje, znacznych doznała przemian. Zrazu będąc prostym zwrotem albo odmianą mowy z podrzędnem wcale znaczeniem, przez Babriosa pozyskała właściwe sobie *metrum*, styl, poetów nawet rywalizujących z sobą i zwolenników licznych w publiczności. Avianus bowiem powiada o Babriosie, że: *graecis iambis fabulas Aesopicas repetens in duo volumina coartavit.* Sam zaś we wstępie do 2éj księgi mówi, że za nim poczęła hołota naśladowców pisać bajki, pełne zagadek. Chciał przez to powiedzieć, że czytając bajki tych jego naśladowców, nikt nie wie, czego chcą; że więc bajki onych podobne do złych obrazów, pod któremi kładzie się podpis, aby wiedzieć co mają przedstawiać. Ztąd się też wszczął obyczaj dołączania nauki moralnéj (ἐπιμύθιον) do bajek. Babriosa bajki mogą się obyć bez takiéj nauki; są bowiem dramatycznie założone i naukę moralną w nich zawartą częstokroć wypowiada jedna z występujących czyli działających istot. Te zaś nauki, które do nich przyczepiono, częścią prozą, częścią wierszem, tyl-

ko je szpecą, chybiając nierzadko myśli i celu bajek; nadto odbierają im przez opaczne tłumaczenie tę zaletę, którą posiadają i którą sam autor za główną ich cnotę uważał, że są jasne i nie potrzebują objaśnienia, jak zagadki.

Dla tych własności, tudzież dla stylu i języka czystego, prostego, a jednak nie prozaicznego doliczyć należy bajki Babriosa do utworów klasycznych. Już to styl jest tak prosty, że zdawałoby się, iż każdy bez dołożenia pracy tak pisać potrafi; próba dopiero przekonałaby go, jak dalece w tyle pozostał za prostotą Babriosową, a zabrnął albo w spowszedniałe i pospolite lub przesadne i szumne wysłowienie. Naśladując język starszych poetów greckich, umiał go szczęśliwie zespolić i zbratać z ówczesnym językiem ludowym; i ta zewnętrzna zaleta obok wyżéj wspomnianych wewnętrznych zapewne najwięcéj przyczyniła się do wziętości i sławy autora.

To też bajki Babriosowe doczekały się licznych wydań i redakcyi. Musiały być czytane po szkołach elementarnych, jak z tego wnosić można, że w jednem wydaniu alfabetycznie podług początkowéj ich głoski były uporządkowane. I przez pedagogów pewnie nieszczególnie bystrych, owe nauki moralne były dodawane do bajek.

Co dotycze ilości napisanych ksiąg, Swidas donosi o dziesięciu (*βιβλία ί*); wszakże nie ulega wątpliwości, że to pomyłka. Nas doszły wstępy tylko do dwóch książek, a we wstępie drugim powiedziano wyraźnie że jest przemową do drugiéj księgi. Miejsce z Avianusa powyżéj przytoczone popiera także to mniemanie. Ze wstępu do drugiéj książki dowiadujemy się nadto nakoniec, że o wiele późniéj od pierwszéj wydaną być musiała, kiedy poeta wspomina, że już wielu wystąpiło tym czasem niezręcznych naśladowców.

Aby lepiéj dać poznać czytelnikom Babriosa, o ile je oddać zdołałem w przekładzie, przytaczam kilka jeszcze bajek, które powszechnie za najlepsze uchodzą:

Wstęp do léj księgi.

Ród sprawiedliwych naprzód był na świecie.
zowią go złotym, Branchu, moje dziecię!
. . . .
Trzeci ród z śpiżu zaludnił tę ziemię,
a po nim wzrosło bohaterów plemię.
Piąte żelazne, gorsze pokolenie.
W złotym zaś wieku wszelakie stworzenie
roztropnie gada, głos ma zrozumiały,
a miejsca radne wśród lasów bywały.
Tam głaz przemawiał i igły jedliny,
do naw i majtków prawią mórz głębiny,
i wróble mądrze z wieśniakiem gaworzą.
I bez uprawy rola wszystko rodzi,
a z ludźmi bogów ród za pan brat chodzi.
Że tak tam było, jeśliś nieleniwy,
powie ci Ezop, nasz mędrzec sędziwy,
co Muzę starą włożył w bajki swoje.
Abyś z nich każdą wraził w pamięć sobie,
susz i patokę, mój kochanku, zrobię,
cierpkich jambów ostrość nią napoję.

---

16. Niańka rubaszna kwilącéj dziecince
grozi: „Nie becz mi! bo cię dam wilkowi!"
Wilk słysząc sądził, że staréj babince
na seryo z groźbą. Więc na żer gotowy

czeka; aż chłopczyk przed wieczorem zaśnie.
I wilk wilczego apetytu właśnie
z czatów doznawszy zawodu odchodzi.
W domu małżonka spyta go: „Dobrodziéj
„dla mnie nic nie ma? zwykł coś przynieść przecie!“
Mąż na to: „Ha! cóż! wierzyłem kobiecie!“

---

17. Kot stary dybiąc na swojskie kuraki,
zawisnął z haka, by z futra miech jaki.
Kogut, krzywodziób mędrała go widzi
i piejąc głośno tak zeń drwi i szydzi:
„Wielem-ci miechów widział już na świecie;
„kłów kotów żywych nie miewały przecie!

---

35. Małpa bliźniaków porodziła dwoje,
nierówno jednak kochała oboje.
Jednego, w onym głupio zaślepiona,
dławi w uścisku, gdy tuli do łona.
Drugi, okrutnie pozbyty, się kryje,
wypchnięty z domu, w lasach — i tam żyje.

---

39. Z wielorybami w ciągłéj zwadzie żyły foki.
Nos wtyka i narzuca się na pośrednika
rak morski. Wszakże foka przerwie mu bez zwłoki:
„Do szczętu się wytępić my wolimy, raczéj,
„niż takich, jak *ty* raku, w waśni mieć jednaczy!“

---

8. Arab włożywszy juki zapyta wielbłąda,
czy w górę piąć się woli lub pójść na dół żąda.
Wielbłąd nie bez słonego na to powie żartu:
„Niestety! prosta droga przed nami zapartą!“

---

96. Lwu, który w skalnych jarów zaniemógł zaciszy,
że słabe członki musiał na ziemię powalić,
lis sam, zostawszy przy nim, wiernie towarzyszy.
Więc doń się lew odezwie: „Chcesz-li mię ocalić?
„Pożądam ot jelenia, który w dzikim boru
„buja sobie pod wzniosłym szczytem sosen owych.
„Mnie gonić za jeleniem choremu nie sporo,
„lecz, skoro zechcesz, słodycz twoich słów miodowych
„zniewoli go i w moje napędzi pazury.“
Odszedł lis i zobaczył śród puszczy ponuréj
jelenia skaczącego po miękkiéj murawie.
Przyczołgał się na klęczkach, zapyta o zdrowie;
„Z dobrą nowiną“, potem, „przychodzę“, doń powie
i doda: „Lew, mój sąsiad, jak wiesz, kończy prawie—
„źle z biedakiem, niedługo kopytami trzaśnie.
„Więc rozważnie się nad tem zastanawiał właśnie,
„które z zwierząt być królem ma po nim. Wieprz głupi,
„niedźwiedź gnuśny, pantera dzika wszystko złupi,
„a tygrys i nieludzki wcale i chełpliwy.
„Sam jeleń godzien tronu, rzekł on, urodziwy,
„i długie żyjąc lata rogami groźnemi,
„które jak drzewa sterczą, nie liche jak wołów,
„straszny dla tworów, które pełzają po ziemi.
„Cóż mówić ci mam nadto? Co w głębi wądołów
„leśnych zwierząt, do rządów nad temi cię wzywa.
„Obyś wtenczas, mój panie, raczył wspomnieć sobie
„lisa, co pierwszy z wieścią tą do cię przybywa.
„A teraz cię szczęśliwie żegnam. O téj dobie

„z tęsknotą już powrotu mojego lew czeka,
„bo we wszystkiem do mojéj rady się ucieka;
„jak i ty, tuszę sobie, uczynisz mój królu,
„nuż staremu zaufasz. — Mógłbyś sam też ninie
„usiąść przy łożu władcy i ulżyć mu bólu.
„Pociesza i drobnostka w ostatniéj godzinie,
„a dusza konających w oku się wyraża.“
Tak rzekł chytrzec i zmysły jelenia omami
przez bajki wymyślone. Ten bieży jarami
do jamy lwiéj, nie wiedząc co mu tam zagraża.
Porwał się lew gwałtownie z swego legowiska
i rozdarł miękisz uszu silnemi pazury
ze zbytniéj porywczości. Ten biedny się ciska
przez otwór nory, w leśne uciekając góry.
Frant lis, że jego trudy płonne, łamie dłonie;
a lew zębami zgrzyta i żałośnie jęczy,
bo wespół głód i smutek szarpią trzewo w łonie.
Nareszcie lisa błaga i prośbami męczy,
by powtórnym podstępem jelenia ułowił.
Ten, gdy się w głębi duszy bacznie zastanowił.
rzekł: „Trudna sprawa, ale raz jeszcze pomogę“,
i w ślad jak pies roztropny, za zbiegiem pobieży —
i pyta się, gdy spotka po drodze pasterzy,
czy zakrwawiony jeleń nie przebiegł przez drogę.
Każdy, co widział zwierza na ślad go wprowadzał.
Wreszcie w cienistem miejscu, kędy się przechadzał,
po biegu, jeleń stoi. Więc się doń pomyka
bez sromu w oczach lis. Na widok bezwstydnika
po grzbiecie i goleniach przeszło zimne mrowie
jelenia, co spłonąwszy gniewem tak doń powie:
„Ścigasz mię, dokądkolwiek schronię się, lecz ninie,
„szkarado! noga tobie pewno się powinie.
„Przyjdź-no i niech się pysk twój przebaknąć odważy!
„Na fryczów, co nie znają ciebie, lisa zażyj —

„i wynoś innych, dumę łechtając, na trony!“
Tu przerwie mowę jemu, lis nie powarzony:
„Więc taki tchórz jest z ciebie? i tak się obawiasz,
„że szczerych twych przyjaciół o zdradę pomawiasz?
„Lew oto, aby rady do duszy ci wnikły,
„i chcąc cię nieco zbudzić z ospałości zwykłéj,
„wziął cię za ucho, niby przed zgonem ojcowie,
„bo sądził że ci lepiéj tak zdanie wypowie,
„jak państwo tak obszerne wziąwszy począć sobie.
„Tyś nie zniósł, gdy cię szarpnął ten, co prawie w grobie,
„i gwałtem się wyrwawszy powiększyłeś rany.
„Teraz on więcéj o to, niż ty, rozgniewany,
„ciebie o niestateczność i płochość pomawia
„i wilka, jak słyszałem, królem postanawia.
„Och! biada nam z tym władcą groźnym! Cóż uczynię?
„dla ciebie jedynego ród nasz cały zginie.
„Lecz chodź! odważniejszego ducha bądź, niż wprzódy,
„i nie uciekaj płocho, niby owca z trzody.
„Bo przysięgam na wszystkich drzew liście i zdroje,
„jak prawda, że sam pragnę uznać rządy twoje,
„że nic nie knuję złego, jeno z przywiązania
„do przekazania rządów tobie lew się skłania.“
Temi słowy rogacza zakołysze trwogę,
że po raz drugi po śmierć wybiera się w drogę.
A kiedy był schwytany w norze legowiska,
lew sam na sutą ucztę łapy chciwie ciska:
łyka trzewa, szpik z kości wysysa, pożera
mięso całe. Tymczasem z daleka spoziera
połowu sprawca głodny. Czaszkę tylko skrycie
schwytawszy, mózg wypija, lubiąc go nad życie;
i tyle za zabiegi swoje wziął zapłaty.
Połknąwszy wreszcie trzewa i pogryzłszy gnaty,
lew chciwie mózgu szuka w czaszce na uboczy
leżącéj; wszakże próżno puka, ciśnie, tłoczy —

a zdziwionego temi zdurzy lis wyrazy:
On nie miał mózgu wcale, szukasz nadaremnie;
jakiż bo mózg mieć mogło zwierzę, co dwa razy
do jamy lwiéj się dało sprowadzić przezemnie!

---

109. „Nie leż wspak! syna ofuknie rak żywo,
„po mokréj skale nie stawiaj nóg krzywo!“
Syn powie: „Niechaj przypatrzę się tobie,
„ojcze, leź przed się, a i ja to zrobię.“

---

110. Pan wyjść chciał z domu. Pies na boku czeka.
„Bądź gotów w drogę nie gap się“, pan rzecze.
Pies chwostem w górę zadartym powlecze,
„Jam gotów“, powie, „ale pan sam zwleka“.

---

126. Zeus Hermesowi, cokolwiek przewinią
ludzie, spisować na tablicach każe,
tablice potem pozamykać w skrzynią
i tę przy sobie postawić, by karze
słusznéj nie uszedł nikt, gdy winy zbada.
Lecz że tablice w wielkiem zamięszaniu
jedna z nich rychléj, druga później wpada
w ręce Zeusowi przy wyrokowaniu.
Więc niegodziwcom dziwić się nie trzeba,
gdy winy wczesne późno karzą nieba.

Z. Węclewski.

NAD WISŁA.

POWIEŚĆ.

I.

W naszem warszawskiem kółku młodzieży związanem przyjaźnią, datującą jeszcze od ławek szkolnych, które potem jedność dążeń i celów ściślej złączyła i spoiła, znajdował się Bronisław Łaski, nazywany zwykle Bronkiem albo Bronisiem. Należał on do najmłodszych w naszem gronie, i był ulubieńcem wszystkich, prawdziwym Benjaminem całego kółka.

Oprócz zdolności całkiem niepowszednich, a mianowicie talentu poetyckiego, który mógłby był z czasem dojrzeć i pięknie się rozwinąć, posiadał Bronisław w całej swej powierzchowności i układzie niezmiernie wiele powabu i wdzięku, które młodemu tak łatwo, serca ludzkie jednają i przyciągają. Dotychczas mi w uszach brzmi jego melodyjny dźwięk głosu i mam przytomne w pamięci szafirowe oczy długiemi ocienione rzęsami

z wyrazem tęsknym, rzewnym i trochę kobiecym. Nie tylko w saméj powierzchowności Bronisława, było coś przypominającego kobietę... ale i w całym organizmie duchowym i w samym rodzaju talentu który posiadał, znalazłyby się podobno wszystkie te cechy, jakie Jean Paul przypisuje umysłom i talentom nazwanym przez siebie *żeńskiemi*. Kochaliśmy też po części Bronisia, tak jak się często kocha kobiety, nietylko z wadami, ale i dla wad samych. Wady zresztą u niego płynęły, nie z natury która była czysta, bogata i szeroka ale z wychowania fałszywego jakie mu dano w dzieciństwie. Należał on do rodziny skoligaconéj z najpierwszemi i najarystokratyczniejszemi domami w Polsce; rodziców stracił bardzo wcześnie i dostał się w 5ym roku życia na wychowanie babce swéj pani kasztelanowéj. Ta pani kasztelanowa była z téj saméj sfery i kategoryi, co owa dama przez Niemcewicza wspomniana, błagająca na łożu śmiertelnem swego męża, aby jéj dziecko *comme il faut* wychował. Broniś pod okiem swéj babki wychowywał się na młodzieńca *comme il faut*, i oprócz guwernerów francuzów, miał sobie dodaną i guwernerkę szwajcarkę, któréj polecono specyalnie czuwać nad jego obyczajami, a mianowicie nad czystością akcentu francuzkiego. Późniéj gdy się już dostał w nasze grono, opowiadał nam jeszcze z oburzeniem i zgrozą różne szczegóły owego systemu edukacyjnego, a mianowicie jak go na noc ubierano w rękawiczki napuszczane oliwą, aby rękom jego nadać delikatną i dynstyngwowaną powierzchowność. W 14tym roku życia Broniś umiał naturalnie, doskonale po francuzku, nie źle po angielsku, tańczył prześlicznie, nie najgorzéj grał na fortepianie, a na w pół ukradkiem przeczytał jakie z pół kopy najgorszych francuzkich romansów; lecz gdy już był na tym wysokim szczeblu do zostania młodzieńcom *comme il faut*, pani kasztelanowa umarła. Stryj Bronisława mieszkający na

wsi wziął nad nim tą razą opiekę i system edukacyjny zmienił, francuzkich metrów odprawił, szwajcarkę umieścił przy swoich dzieciach, a Bronisława oddał pod dozór i opiekę niejakiego Stefana Skiby, ucznia kończącego właśnie gimnazyum ze zleceniem, aby mu synowca do szkół publicznych przygotował.

Ten Stefan Skiba, który późniéj nie mały wpływ wywarł na cały kierunek i charakter Bronisława, odkrył od razu w młodym chłopcu zdolności niepospolite i serce najlepsze, o kilka lat tylko starszy od swego ucznia, przywiązał się do niego szczerze, pracował nad nim sumiennie, nauczył go dobrze po polsku, przeszedł z nim gruntownie historyę, poduczył łaciny i w półtora roku Broniś przyjętym został do 5éj klasy gimnazyum, istniejącego wówczas na Lesznie.

Gdy się pojawił między nami w mundurku szkolnym rumieniący się i nieśmiały jak panienka, prześladowaliśmy go z początku, jak to zwykle bywa i dokuczali trochę. Ale niezadługo rozbroił nas swoją dobrocią i instynktowem poczuciem koleżeńskiego życia, które mianowicie rozwinęło się w nim z powodu następującego zdarzenia.

Był w naszéj klasie dzielny, choć trochę dokuczać lubiący chłopiec, Michał Moczerski, późniéj przezwaliśmy go *chłopem*, poczęści dla zasad jakie objawiał, poczęści dla rubaszności w słowach i formach, które niekiedy z umysłu przesadzał.

Chłop do którego uszu doszła wieść o owéj guwernantce szwajcarskiéj, niemógł Bronisiowi tego faktu darować, i często biednemu chłopcu wyrzucał jego przeszłość, splamioną od francuzczyzny; drobna okoliczność podała sposobność do nowych prześladowań. Świętéj pamięci kasztelanowa sprawiła była swemu wnukowi tuzin chustek batystowych, na rogu każdéj wyhaftowaną była cyfra Bronisia z ogromną koroną hrabiowską. Je-

dna z tych kompromitujących chustek dostała się przypadkiem w rękę Michałowi; obnosił ją naprzód na długim kiju po klasie dla wywołania powszechnéj zgrozy, potem zawiesił jakby pod pręgierzem na tablicy szkolnéj, wreszcie publicznie w piec wrzucił i spalił. Zawstydzony a nawet zapłakany trochę chłopiec ocierając tą razą oczy rękawem mundurka, przyrzekł najuroczyściéj cały tuzin inkryminowanych chustek dostawić nazajutrz i oddać zniszczeniu.

Jakoż obietnicy święcie dotrzymał: na drugi dzień rano przed zaczęciem godzin szkolnych, jedynaście koronowanych chustek od nosa wrzucone zostały w piec ręką *Chłopa* w obliczu całéj klasy. W parę minut po dokonaniu tego faktu, wszedł do sali profesor niemieckiego języka, który miał pierwszą ranną godzinę, lecz zaledwie usiadł i przemówił, począł się krztusić od swędu i dymu; który czuć było w klasie coraz mocniéj, nie przewidzieliśmy bowiem rzucając w piec owe nieszczęśliwe chustki, że rura otwierająca się z sieni była właśnie zasuniętą. Profesor niemieckiego języka, który lubiał śledzić przyczyny każdego faktu zdarzającego się w klasie, nie poprzestał na otworzeniu okien i odemknięciu rury, ale rozpoczął formalne śledztwo. Znaleziono w piecu chustki nie całkiem jeszcze dotlałe, na jednéj odkryto cyfrę Bronisława z kompromitującą koroną i naturalnie domyślono się właściciela. Broniś postawiony został między dwoma ostatecznościami, albo zdradzenia swych kolegów, na których ściągnąłby tym sposobem najsurowsze kary, albo poddania się surowéj karze samemu. W tak drażliwem położeniu postąpił sobie heroicznie, odmówił całkiem dać tłómaczenie z owego faktu, który dla władzy szkolnéj wieczną został tajemnicą Przez względy nadzwyczajne, kara zredukowaną mu została na trzy dni kozy o chlebie i wodzie, co go nie ustraszyło bynajmniéj. Od owego pamiętnego zdarzenia·

Bronisław urósł wielce w naszéj opinii, stał się bardzo popularnym w klasie i prawie wszyscy przywiązaliśmy się do niego szczerze.

Upłynęło lat wiele od owego szkolnego zdarzenia.

Po skończeniu szkół jak to zwykle bywa rozbiegliśmy się na różne strony, biedniejsi poszli na aplikantów do biór, inni na kursa prawne istniejące wówczas w Warszawie, wielka część została na wsi, aby w bezczynnem życiu kształcić się na przyszłych gospodarzy i dóbr właścicieli. Ale grono z kilku złożone, do którego i Broniś należał, zostało w Warszawie i związało się jeszcze ściślejszymi węzłami. Schodziliśmy się najczęściéj do Stefana Skiby, z którym Bronisław serdeczny zachowywał stosunek. Stefan najstarszy z nas wiekiem, najwięcéj mający powagi i rozsądku przezwany ztąd *starym*, był niejako Tomaszem Zanem naszego koleżeńskiego kółka. Nic się między nami nie działo bez jego woli i zatwierdzenia; zwykle naradzaliśmy się wspólnie jaką kto drogę i zawód obierze w życiu, aby jak najprędzéj zostać porządnym i pożytecznym dla ogółu człowiekiem. Raz na takiéj radzie wspólnéj zadecydowanem zostało, że Bronisław jako mający zupełną niezależność, uda się na który z zagranicznych uniwersytetów, że tam wykształciwszy się przez lat kilka do kraju wróci, aby spełnić nadzieje jakeśmy sobie na nim zakładali; w rzędzie tych nadziei na pierwszem miejscu było założenie pisma literackiego, którego przeznaczeniem być miało, aby różne zbawienne wpływy na kraj wywierać; wówczas wierzyliśmy jeszcze w takie rzeczy, późniéj, nie jeden z nas stracił naiwną wiarę we wpływy jakie można u nas osiągnąć pismami. Tymczasem śród różnych marzeń i rojeń, debatowaliśmy już jaki ma być tytuł i format owego pisma, a ci co między nami hołdowali muzom, lub uprawiali zwyczajną tylko prozę, gotowali zawczasu swe artykuły. Jeden

tylko *Chłop* objawiał niekiedy podejrzenia czy duch i kierunek tego pisma odpowie dobrym zasadom, zwłaszcza jeśli Bronisław obejmie redakcyę.

Stefan z drugim jeszcze naszym kolegą mieszkali u Bazylianów na Miodowéj ulicy i do nich chodziliśmy parę razy w tydzień wszyscy, a mieliśmy w klasztorze oprócz tego znajomego dobrze księdza Makarego, który sam młody jeszcze lubiał się młodzieżą otaczać i był od nas wszystkich bardzo kochany i szanowany. Tam czytywaliśmy książki poważniejszéj treści, czasem przynosili własne rozprawki. Broniś deklamował niekiedy swoje wiersze, a jedną z jego pieśni śpiewaliśmy zwykle chórem. Na zebraniach Stefan umiał nadać zgromadzeniom naszym kierunek i utrzymać w nich ciepło i życie.

Pod jesień 184. . roku Bronisław, który nareszcie uzyskał paszport do wyjazdu, zaczął nas coraz rzadziéj odwiedzać, a w rzadkich odstępach w których się pojawiał, zdawał się być bardzo zmienionym i roztargnionym. Raz przychodził w usposobieniu dziwnie i nienaturalnie wesołem, to znowu bywał tak melancholiczny, że słówka od niego nie można było wydobyć. Mówił zawsze o swym wyjeździe na uniwersytet, lecz termin wyjazdu wciąż odraczał, rzadsze wizyty swe u nas tłómaczył przyjazdem stryjostwa do Warszawy, wreszcie jakby chciał uniknąć naszych zapytań przestał się całkiem pokazywać u nas. Chociaż przestaliśmy go widywać, wspominaliśmy go przecie często i serdecznie; *Chłop* tylko nie przestawał twierdzić, że żyłka arystokratyczna prędzéj czy późniéj musiała się odezwać, że natura ciągnie wilka do lasa a panicza do salonów, że trzeba Bronisława uważać za zgubionego i nie troszczyć się o to więcéj jak warto.

W parę miesięcy po zniknieniu Bronisia, którego i w mieszkaniu trudno było zastać; zaszedłem jednego zimowego wieczora do wielkiego teatru na włoską

operę. Między jednym aktem a drugim, gdym odwrócony do sali, przeglądał znajdującą się w teatrze publiczność, ujrzałem w jednéj z lóż pierwszo piętrowych uderzającéj piękności kobietę, na którą wszystkie oczy prawie i lornetki były zwrócone, obok niéj siedział Broniś cały roztopiony w rozmowie z piękną swą towarzyszką. Piękna owa pani miała postać wyniosłą, kibić wysmukłą, włosy krucze, w całym układzie i postawie coś efektowego, co zwracało i zatrzymywało oczy. Wieku trudno było odgadnąć, a choć czoło było gładkie i białe jak marmur, sądziłem przecie, że musiała już wyjść z wiosny życia, a zbliżać się raczéj „pod lat niewieścich południe". Pamiętam że miała wieniec z czerwonych kamelij na głowie, przezroczysta jakaś gaza zasłaniała, nie zasłaniając alabastry gorsu, a z ramion opadał karmazynowy aksamitny płaszczyk sobolami obszyty. Lecz więcéj niż to wszystko zostały mi w pamięci jéj czarne błyszczące oczy, które wciąż to przymróżała, to otwierała nagle; a ten manewr z przyzwyczajenia, czy też wyrachowania pochodzący nie małe robił na patrzącym wrażenie. Za ową panią w czerwonych kameliach siedziała w głębi jakaś nie młoda kobieta, wyglądająca na duennę. Zaraz w początku między-aktu otworzyły się drzwi loży, i weszło do niéj dwóch mężczyzn, których znałem z widzenia i wiedziałem, że należą do arystokratycznego a nawet oficyalnego warszawskiego świata. Piękna pani podała im rękę z wdziękiem i uśmiechem, a Broniś nie kontent jak się zdaje z téj wizyty, ustąpił miejsca przez grzeczność starszemu z przybyłych. Widziałem jak owi panowie przysunęli się do uroczéj pani i jak z nią zaczęli ożywioną rozmowę, śród któréj czarodziejka igrała wachlarzem z właściwym sobie artyzmem, przymrużając wciąż i otwierając nagle swoje piękne błyszczące oczy. Broniś dla nadania sobie kontenansu, przemówił coś do damy ukry-

téj w kącie, ale okiem i duszą zdawał się być przy rozmowie prowadzonéj na przodzie loży.

Gdy podniesiono zasłonę; jeden z panów opuścił lożę, drugi został i prowadził daléj na wpółgłośną rozmowę; widziałem wtedy jak biedny Bronisław szarpał wciąż swe rękawiczki i przygryzał młodociany wąsik, co było u niego symptomatem wewnętrznych utrapień. Po drugim akcie gdym się odwrócił do loży, która mnie zaczęła więcej aniżeli opera zajmować, dostrzegłem nowych gości: dwaj pierwsi ustąpili miejsca trzem nowo przybyłym. Ci nowo przybyli, z których jeden był w mundurze, zostali przyjęci z równą ujmującą grzecznością, ze wszystkiemi prześlicznemi kokieteryami spojrzeń, ruchów i uśmiechów. Ta wizyta druga, nie trwała tak długo jak pierwsza, i jeszcze przed podniesieniem zasłony, Broniś mógł wrócić na stanowisko, z którego inwazya barbarzyńców go wyparła; zrobiono mu miejsce, z wdziękiem usuwając rączką fałdy szerokiéj sukni i zaczęto z nim rozmowę, która wnet radością opromieniła lice strapionemu.

Po skończonéj operze widziałem piękną panię jak odziana karmazynowym płaszczykiem schodziła ze schodów wsparta na ramieniu swego towarzysza, śród podziwu i pochlebnego szmeru tych co jéj niepospolitą piękność podziwiali.

— Kto jest ta kobieta? pytał jakiś jegomość obok mnie stojący młodego dandysa, który właśnie ukłonił się był schodzącéj.

— Jak to? odpowiedział z zadziwieniem tamten, nie znasz najpowabniejszéj ze lwic warszawskich, i nachylając się do zapytującego, poszepnął mu do ucha: Hrabina Laura.... nazwiska nie mogłem dosłyszeć.

Bronisław, który wcale mnie nie spostrzegł, sprowadził swą towarzyszkę do powozu: piękna pani wsiadła

do karety z drugą damą, podała mu na pożegnanie rękę przez okno powozu i doleciały mych uszu dwa jéj słowa wyrzeczone dźwięcznym głosem:

— *A revoir, à bientôt.*

Bronisław szedł jakby machinalnie za odjeżdżającą karetą, a gdy ją z oczu stracił, zmienił kierunek i wolno idąc zatrzymywał się raz po raz jakby chciał powrócić w stronę, którą odjechała hrabina Laura.

Nie byłem wtedy zbyt wielkim znawcą serc ludzkich, ale symptomata były zanadto wyraźne, abym sobie nie powiedział w duszy, że nasz przyjaciel straszliwie być musi zakochany. Szedłem za nim o kilka kroków, wahając się czy mam zaczepić rozmarzonego kochanka, gdy ten nagle zwrócił się z Bielańskiéj ulicy na ktoréj mieszkał, i za nim usunąć się mogłem, wpadł na mnie i prawie potrącił.

— Ach mój drogi, jedyny! zawołał poznając mnie i biorąc za rękę; jakże rad jestem że cię widzę, tak dawno was wszystkich nie widziałem! moja w tem wina, i wielka wina!... co wy sobie o mnie myślicie? a Stefan... a inni ach! mój drogi, żebyś ty wiedział co się ze mną dzieje!... i mówiąc to przytulał się do mnie i ciągnął za sobą.

Wszak pójdziesz ze mną przez chwilę, odprowadzę cię potem do domu, dodał, a ty chodź ze mną na Krakowskie przedmieście dokąd pójść muszę.

— Mój kochany Bronisiu, odpowiedziałem, pójdę z tobą gdzie zechcesz, ponieważ tak trudno widzieć się z tobą, będę korzystał przynajmniéj z tego spotkania na ulicy. Zachodziliśmy do ciebie parę razy ze Stefanem i nie zastawali nigdy.

— Wiem, wiem mój drogi; ach! przez com ja przeszedł, czego nie doznał w tych ostatnich kilku miesiącach! żebyś ty wiedział wszystko.

— Wszystkiego nie wiem i wiedzieć nie mogę, ale domyślam się trochę... byłem dziś w teatrze... widziałem cię w loży.

— Byłeś w teatrze? więc widziałeś *ją*.

Przechodziliśmy właśnie pod latarnią, to mi pozwoliło dojrzeć twarz mego towarzysza całą oblaną rumieńcem.

— Widziałem *ją*, odrzekłem Bronisiowi, zachwycałem się pięknością i pojmuję to, o czem mi sam zapewnie powiedzieć nie możesz.

— Pojmujesz? nieprawda? czyś widział kiedykolwiek piękniejszą istotę? czy można sobie piękniejszą wyobrazić? a gdybyś ją znał dopiero! jaka wyższość umysłu! ile poezyi! jaka anielska natura!

— Ta anielska natura, wszelako nie musi li zawsze dawać spokój anielski, miałem tego dowody patrząc na ciebie w loży podczas pewnych wizyt.

— Ty bo nie wiesz, rzekł Broniś, przez jakie piekła przechodzić trzeba, aby się dostać do tego nieba, co się zowie miłością! nie wiesz, co to jest kochać się w takiéj jak ona istocie.

— Nie wiem mój drogi, a sama myśl o tem, daje mi zawrot głowy, ale i ty mój biedny nie mocniejszą masz głowę odemnie, dodałem, widząc jak mój przyjaciel cały w poruszeniu, to kładł, to zdejmował kapelusz jakby chciał chłodzić rozpalone czoło.

— Ach! ona nie wie co ja cierpię, mówił jakby do siebie, gdyby się domyślała, tobym tak nie cierpiał.... ale ona temu nie winna... ja sam mąk sobie przysparzam... najnierozsądniejszemi przypuszczeniami.

Wchodziliśmy na Krakowskie przedmieście, Broniś przyspieszał wciąż kroku.

— Mój drogi, powiedział do mnie po chwili, nie mów nic Stefanowi o tem wszystkiem, nie wspominaj nawet żeśmy się spotkali, ja sam pójdę do niego, będę z nim szczery tak jakem to winien uczuciu, które mam dla

niego. Co dzień się na to zbieram, ale od pół roku innym stałem się człowiekiem. Wszystko co nie jest nią... tu urwał nagle i nie kończył daléj swych zwierzeń.

— A twój wyjazd na uniwersytet, zapytałem po chwili, czy odłożony tylko, czy też nie myślisz już o tem wcale.

— Wyjadę, o wyjadę z pewnością, odpowiedział, ale w téj chwili nie mogę jeszcze wyjechać.

— Więc tymczasem podróżujesz po kraju nieznanym wprawdzie dla mnie, ale mam przeczucie, że powrócisz z téj podróży już *nie naszym:* będzie to wielka boleść i dla nas którzy cię kochamy, i dla ciebie co masz serce szlachetne, takie węzły jakie nas łączą, nie zrywają się bezkarnie, dodałem.

Ale Broniś nie zwracał jak się zdaje uwagi na moje słowa, bo właśnie zatrzymał się przed pałacem, którego pierwsze piętro było oświecone; w oknach jak się zdaje salonu firankami zakrytych przesuwały się raz po raz cienie zdradzające dość liczne towarzystwo. Powóz jakiś stojący przed bramą zwrócił na siebie całą uwagę mego towarzysza, ścisnął on mnie konwulsyjnie za ramię, potem puścił i ku bramie biegnął.

— Opuszczasz mnie jak widzę, zawołałem za odchodzącym, dobranoc... do widzenia...

Broniś powrócił do mnie i ściskając za rękę:

— Przebaczysz, mówił, że cię opuszczam, zobaczemy się nie długo, jutro do was przyjdę, bądź zdrów.... muszę iść na górę, bo nie rozumiem dla czego tam są goście, skoro mi przyrzeczono... ale bądź zdrów, dodał nie kończąc, i przepadł w bramie.

Lubo mi Broniś z takim zapałem mówił o anielskiéj naturze owéj pięknéj pani, wracając do domu i rozbierając wrażenia wieczorne, nabierałem przekonania, że anielstwo to, musi być wątpliwego rodzaju.

II.

Na drugi dzień napróżno wyglądałem Bronisia: nie pojawił się on u żadnego z nas, ani nazajutrz jak to obiecał ani dni następnych. Stefanowi, który smutnie potrząsał głową gdy o Bronisławie była mowa, nie wspomniałem nic o spotkaniu w teatrze, dotrzymując tego, o co mnie proszono.

Chłop, który chwytał za każdą sposobność, gdzie można było przeciw arystokratom wystąpić, dowodził nam tą razą, że trzeba Łaskiego z kółka naszego wykreślić i żadnych z nim więcéj nie mieć stosunków.

— Darmo, mówił *Chłop* z zapałem, nie przekonacie mnie nigdy, aby ktoś co wziął w siebie z dzieciństwa owe pańskie i francuzkie trucizny, mógł kiedykolwiek wyjść na człowieka. W ich sferze można stać się albo złym i szkodliwym, albo lalką bez serca i mózgu, ludźmi nie stają się oni nigdy. Zresztą kto należy do towarzystwa gdzie Polacy między sobą po francuzku mówią, ten jest, dla mnie przynajmniéj, człowiekiem zgubionym i tylko złego po nim spodziewać się mogę.

Chłop był nie wyczerpany, gdy wpadał na ten przedmiot, nie zbijaliśmy go z toru ile razy się zapałem unosił, bo przy zwykłéj młodzieńcom przesadzie, miewał on słuszność niekiedy, a że był to w gruncie najszlachetniejszy i najlepszy chłopiec, że własną pracą utrzymywał matkę i młodszego brata, (o czem zresztą nie mówił nigdy), wiedzieliśmy co trzeba sądzić o jego zemstą nieraz tchnących teoryach.

Stefan starał się bronić nieprzytomnego, mówiąc że obecność stryja w Warszawie który z żoną na zimę do stolicy przyjechał, że wreszcie karnawałowe zabawy

absorbują Bronisia, że po téj hulance wiekowi jego właściwéj, wróci do nas w poście na rekolekcye; ale i popielec minął, a Łaski nie pojawił się u nas.

Jednego razu gdym Nowym Światem szedł ku Alejom, ujrzałem hrabinę Laurę jadącą w odkrytym powozie, leżała w nim niżeli siedziała z nóżkami opartemi na przedniem siedzeniu i otulonemi białym niedźwiedziem. Zdawała mi się jeszcze piękniejszą, a jéj błyszczące oczy przytwierały się jak zwykle i otwierały nagle na zatrzymujących się na jéj widok przechodniów. Obok powozu jechało trzech czy czterech mężczyzn konno, poznałem między niemi Bronisława Łaskiego, który mi się wydał bardzo zmienionym i wybladłym.

W pierwszych dniach kwietnia, siedzieliśmy raz o zmierzchu ze Stefanem w jego mieszkaniu, i jak się to nam często zdarzało rozmowa zeszła na Bronisława, którego zniknienie z naszego grona więcéj bolało Stefana aniżeli to pokazywał po sobie. Sądziłem, że nie mam powodu taić przed nim dłużéj mojego spotkania w teatrze, i wyjawiłem Stefanowi że nasz przyjaciel podobno popadł w sidła jednéj z najpowabniejszych i najniebezpieczniejszych syren, jakie się ślizgają po salonach warszawskich.

— Wiem o tem wszystkiem od roku, odpowiedział Stefan, gdym mu zdał sprawę z moich domysłów.

— Wiesz? od kogo? od samego Bronisława?

— Nie, ale od roku go śledzę i znam całą historyę, jak by mi ją sam opowiedział.

— Jak to, wiedziałeś od początku i nie starałeś się temu zapobiedz, przez przyjaźń którą ma dla ciebie. Nie starałeś się wpłynąć na niego?

— Wszelkie wpływy przyjaźni ustają tutaj mój drogi, powiedział Stefan, kiedy młody człowiek z taką wyobraźnią żywą i sercem jakie posiada Bronisław, zakocha się w takiéj jak hrabina Laura syrenie, i kiedy

syrena potrafi wyobraźnię i serce namiętnością rozognić, to niema ani wpływów ani przyjaźni, coby pożarowi zapobiedz mogły. Przedstawienia wszelkie są daremne, bo namiętność nie słucha przedstawień, dla téj prostéj przyczyny, że jest namiętnością. Broniś pewnie by na rady moje nie zważał, a gdybym mu powiedział, co wiem i myślę o hrabinie Laurze, nie tylko by nie uwierzył, ale znienawidziłby mnie może: odjąłbym sobie tym sposobem możność pocieszenia go i podniesienia na duchu, gdy zbolały i upadły do mnie powróci.

Mówiłem zresztą, ciągnął daléj Stefan, ze stryjem Bronisława, którego żona jest niby w przyjaźni z hrabiną Laurą; a raczéj stryj jego pierwszy ze mną w téj mierze mówić zaczął. Cóż chcesz, ten człowiek zdaje się cieszyć, że jego synowiec jest *dobrze widziany* przez najmodniejszą i najpowabniejszą z dam warszawskich; *ça pose bien un jeune homme*, a wedle niego, nic tak niedopełnia edukacyi, jak podobna na wstępie w życie znajomość. Stryj Bronisława, jak wiesz, jest porządny i honorowy człowiek, uchodzi nawet za bardzo religijnego: jak oni tam umieją godzić religijność i honor z wyrafinowaną galanteryą, to już stanowi ich sekret, ale ja się w te rzeczy mięszać nie mogę, i czekam teraz póki Bronisław sam do mnie nie przyjdzie.

— Znasz więc także i hrabinę Laurę? spytałem Stefana.

— Dawałem, jak ci wiadomo, przeszłéj zimy lekcye dzieciom jenerałowstwa M. i zmuszony byłem pojawiać się tam czasem wieczorem. Na jednym z wieczorów zobaczyłem po raz pierwszy hrabinę Laurę, która blisko żyje z jenerałową; ukazała się tylko na chwilę w prześlicznéj toalecie i odjechała gdzieś na drugą wizytę.

Po wyjściu pięknéj pani, stryjenka Bronisia znajdująca się tam także, zaczęła rozmawiać z jenerałową o nieobecnéj.

Z niskąd i nigdy nie dowiesz się więcej pouczających szczegółów o jakiejś kobiecie jak z rozmowy dwóch jéj przyjaciołek, zwłaszcza gdy ta co jest przedmiotem rozmowy ma jakąkolwiek wyższość czy to pozycyi czy też urody nad mówiącemi o niéj. Z półsłówek, uśmiechów i szeptów, z frazesów przeplatanych francuzczyzną, jakie te dwie panie wymieniły między sobą, dowiedziałem się o hrabinie Laurze wiele, więcéj nawet zapewnie, jak się miało w istocie.

Późniéj i z innych źródeł, słyszałem w tym przedmiocie dużo, bo hrabina Laura, należy do tych kobiet, o których się mówi wiele w naszéj Warszawie. Wszystkim legendom i powieściom jakie kłamcy tworzą, a amatorowie skandalów roznoszą, naturalnie nie wierzę, ale z niektórych a pewnych danych wnoszę, że nasz biedny Broniś popadł w rączki, które go być może jak rękawiczkę, zbrudzą podrą i na śmiecie wyrzucą.

I Stefan zasępił się i zamilkł.

— Mój Stefanie, rzekłem po chwili, może przesadzasz sobie niebezpieczeństwo, wszak mówią, że wszystkie kobiety są kokietkami, więc by już każda i każdego z nas o zgubę przyprawić mogła, a przecież wielu wychodzi cało.

— Piękna pani, o któréj mówimy rzekl Stefan, nie jest ani pospolitą ani naiwną kokietką, kokietuje ona na zimno z mistrzostwem rozumnéj i doświadczonéj w swéj sztuce aktorki, potrafi przybrać wszystkie role i wszystkie postacie, a jak się domyślasz wybiera sobie tylko najszlachetniejsze i najbardziéj effektowe: umie ona niecnotę oprawiać w diamenty cnót i świętości, a takie fałszywe kamienie im misterniéj oprawne tem oszukują lepiéj i rujnują straszniéj szczególniéj młodych zapaleńców co się na owe cacka łapią. Do takich natur jaką ma Bronisław, zepsucie w swojéj szacie pospolitéj i odstręczającéj albo jéj nie szkodzi, ale odziane

w królewski płaszcz poezyi, otoczone aureolą wyższych i najświętszych zasad, zaprowadzi go gdzie zechce, będzie się czołgał za udaną boginią i skraj jéj szaty całował patrząc się w diadem z fałszywych kamieni co jéj skroń otacza, jakby w swoje gwiazdy przewodnie..... O to też tylko i chodzi, takim hrabinom Laurom.....

— Cóż się z nim dzieje teraz, zapytałem Stefana.

— Teraz jak sądzę biedny Broniś jest w najboleśniejszéj, ale stanowczéj fazie, od tego co pocznie teraz zależeć będzie cała jego przyszłość. Miał on sposobność nareszcie dotykalnie i naocznie się przekonać, że jego ideał ulepiony z fałszu, i nie zupełnie czystego kruszcu. Hrabina Laura wyjechała z Warszawy, a jak kronika głosi wyjechała nie sama, odegrawszy przed odjazdem straszliwą z Bronisławem komedyę, na któréj po raz pierwszy się poznał. Cierpieć on musi dzisiaj męki okropne, potrzebuje pociechy i podniesienia, — o ile go znam, to sądzę, że lada chwila przyjdzie do mnie, jeśli mnie nadzieja omyli, to sam pójdę do niego może nawet jutro.

Zaledwie Stefan tych słów domawiał, otworzyły się drzwi od pierwszego pokoju i wszedł Bronisław Łaski, blady i zmieniony do niepoznania, a raczéj upadł na sofę zakrywając sobie twarz rękoma.

— Stefan wzruszony głęboko chcąc ułatwić powitanie przybyłemu, szedł pierwszy do niego i do piersi przycisnął.

— Nie przychodziłeś do mnie kochany Bronisiu, mówił mu łagodnie, gdy cię pojono rozkoszą, dziś przychodzisz skosztowawszy jak widzę pierwszych goryczy, to dowodzi, że we mnie zawsze widzisz przyjaciela i brata — dziękuję ci za to.

Bronisław milczał.

— Nie potrzebujesz, ciągnął daléj Stefan, mówić mi nic o sobie. Wiem więcéj, aniżeli się domyślasz.

Łaski patrzał w Stefana łzawemi oczami.

— A czy wiesz, także wyrzekł wreszcie głosem przytłumionym, żem ja złamany na nic, zgubiony na zawsze, że duszę we mnie zatruto....

— Wiem, powiedział Stefan, że takie jest w téj chwili twoje przekonanie, ale otrząśniesz się z tego, zobaczysz, zostań tylko z nami przez parę tygodni, a potem co prędzéj wyjeżdżaj na uniwersytet. Przy pracy i łasce Bożéj przekonasz się mój biedny poeto, że ci tylko kilka piórek wyskubano, ale skrzydła twoje, ani złamane ani zwichnięte uniosą cię jeszcze wysoko, tam gdziebyśmy cię widzieć chcieli, a wtedy ukoisz się i zapomnisz.

— Zapomnieć! odezwał się Bronisław, ty nie wiesz, nie wiesz wszystkiego....

— Wszystkiego nie wiem i wiedzieć nie chcę, odrzekł mu Stefan, nie mała to ulga opowiadać przyjacielowi swoje cierpienia serdeczne, ale ci szukać téj ulgi nie radzę, to odejmuje siłę do walki ze sobą.

Nie zwierzaj się ani mnie, ani nikomu, chyba księdzu Makaremu, jeśli pójść do niego zechcesz, a teraz walcz ze sobą i rób przygotowania do wyjazdu.

— Mówisz do mnie, rzekł wstając i chodząc po pokoju Bronisław, jak gdybym był zdolny cośkolwiek postanowić, lub zrobić, jak gdyby rany, które mnie zadano uleczyć się mogły.

— Najboleśniejsze rany, mówił Stefan, jakie miłość kobieca nam zadaje, uleczyć można, byle nasza miłość własna nie dolewała w nie codzień trucizny, jeźli świeże jeszcze blizny jątrzyć będziesz bez walki ze sobą, jeśli się zapatrzysz w nie z chorobliwą rozkoszą, słabość zrobi się chroniczną i do uleczenia trudną.

Wyjedź na uniwersytet, to najpierwsze, a potem pracuj i nie oglądaj się na przeszłość, taka jest moja rada, potwierdzi ją twoje sumienie i twój rozsądek, byleś

chciał na chwilę zwyciężyć ból, któremu się jeszcze bez oporu i siły poddajesz.

— Słyszę twe słowa, bo mam uszy, powiedział Broniś, ale obijają się one i nie wchodzą do umysłu..... serce mam w piersiach umarłe, mój drogi Stefanie.

— Daj Boże, rzekł na to Stefan, aby już umarło i zmartwiało w tobie nie serce, ale ta jego cząstka co się dziś świeżemi ranami jątrzy; przyjdzie to przyjdzie zobaczysz; wtedy co prędzéj spraw twym wspomnieniom pogrzeb, wybuduj marmurowy sarkofag, wyryj na nim najpiękniejszy napis, ale nie odczytuj go często i idź mężnie drogą, którą obowiązek iść każe, gdzie towarzyszyć i wspierać cię będą nasze przyjazne serca.

Broniś usiadł w najciemniejszym kącie pokoju i milczał, Stefan z delikatnością i instynktem matki wynajdywał wszystko czem by go wywieść z tego letargu bolesnego w jaki pogrąża człowieka, dotkliwe a świeże jeszcze cierpienie. Znając Bronisława do głębi, umiał odzywać się do tych wszystkich stron szlachetnych, jakie sam kiedyś w duszy jego zaszczepił i obudził; zręcznie potrącił także w jego poetycki talent i miłość własną autora, bo rozpytywać się począł o zaczęty przed rokiem dramat i o tłómaczenie Szekspira, do którego niegdyś z zapałem zabrał się był młody poeta.

Do późnéj nocy trwała rozmowa, gdyśmy dobrze po dwunastéj, odprowadzali Bronisia do domu, przyrzekł on najuroczyściéj Stefanowi sprowadzić się do niego na mieszkanie i cokolwiek podniesiony na duchu uścisnął nam ręce i powiedział: dobranoc do jutra.

Jakoż, tą razą dotrzymał słowa. We dwa dni zainstalował go Stefan u Bazylianów w jednéj z cel, które ksiądz Makary odstępował często wspólnym naszym znajomym. Broniś dawał dowody większego hartu, jakem się nawet po nim spodziewał; rzadkośmy się wprawdzie widzieli, bo najczęściéj siedział zamknięty u sie-

bie, ale wiedziałem przez Stefana i przez księdza Makarego, że czyta dużo, pracuje, że o przeszłości nie wspomina, a mocna wola nie oglądania się w przeszłość, dawała mu siłę znoszenia teraźniejszości.

W miesiąc po pobycie w swéj celi przeczytał nam ustęp ze swego dramatu, który obiecywał wiele i zapewnił nas, że tłómaczenie Hamleta już ma na ukończeniu. Tymczasem trudności paszportowe jakie mu robiono, ułatwionemi zostały, i jednego dnia oznajmił nam swój rychły wyjazd na uniwersytet do Bonn. Stryj Bronisława, któremu o swem postanowieniu doniósł, zapraszał go do przyjazdu na wieś, aby się z nim pożegnać; na to zaproszenie Bronisław naturalnie przystał i obiecał stryjostwu na parę tygodni, do nich w Sandomirskie przyjechać.

W dzień wyjazdu na wieś odprowadziliśmy go ze Stefanem do dyliżansu.

— Bywajcie zdrowi, rzekł na odjezdnem rzucając nam się na szyję, wieś dopełni kuracyi którąś ty Stefanie rozpoczął, jeśli odzyskam zdrowie duszy, tobie je zawdzięczać będę, jak już zawdzięczam wszystko co we mnie jest lepszego.

— Skoro wierzysz w moje recepty, rzekł Stefan, to zastosuj się jeszcze do jednéj, i pisuj do mnie obszernie i często, będzie to z pożytkiem dla nas obu.

— Przyrzekam ci, mój drogi, codzień pisywać, mówił Broniś siadając do powozu, bywajcie zdrowi, do widzenia za parę tygodni.

Trąbka pocztowa zabrzmiała, nas jakiś nieopisany smutek ogarnął. Stefan długo patrzał za odjeżdżającym, wreszcie rzekł do mnie:

— W jego wieku jeszcze się zapomina, Broniś ocalony, jeśli się z hrabiną Laurą nie spotka, ale w Bogu nadzieja że to nie nastąpi.

III.

W tydzień po wyjeździe Bronisława, Stefan odebrał od niego list następujący:

5 czerwca Wiernica 184.. r.

Zanim ci zdam sprawę z wrażeń mojéj podróży, donoszę ci drogi Stefanie, żem dość rzeżwy i swobodny na duchu.

Dyliżans wysadził mnie w Białobrzegach, z których wziąłem extrapocztę do małéj mieściny, gdzie jak sądziłem czekają na mnie konie mego stryja. O téj mieścinie nic innego powiedzieć ci nie mogę jak to, że położoną jest w sąsiedztwie owego Ryczywoła, któremu ś. p. Biskup Warmiński na wieczne czasy w Polsce popsuł reputacyą. Oczekiwanych koni nie zastałem, wyszły one naprzeciw mnie do Białobrzeg, a ja pokazuje się, źle zrozumiawszy list stryja, tutaj przyjechałem i z niemi minąłem się w drodze. Ten zawód bynajmniéj mnie nie dotknął, wiedziałem, że do Wiernicy nie może być daleko, koni ofiarowanych mi przez miejscowego pocztmistrza nie przyjąłem, zwłaszcza, że miały nie zbyt obiecującą powierzchowność i postanowiłem odbyć drogę piechotą. Gdym zostawiwszy rzeczy na poczcie, rozpytywał się właśnie o drogę do Wiernicy, przed dom pocztowy zajechał nie wielki jednokonny wózek, z koniem w hołobli. Na wózku siedział już nie młody mężczyzna w prostym słomianym kapeluszu sam się powożąc. Poczmistrz grzecznie się ukłonił przybyłemu, który nie zsiadając z wózka, zapytał czy są dla niego jakie listy i gazety. Poczmistrz wszedł do mieszkania, aby mu przynieść takowe. Miałem już udać się wskazaną mi do

Wiernicy drogą, lecz nie wiem sam czemu zatrzymała mnie postać człowieka siedzącego na wózku. Nieznajomy, który mógł liczyć lat koło 50, miał twarz ogorzałą jak człowiek przywykły żyć na wolnem powietrzu, a gdy zdjął słomiany kapelusz odkrył białe wysokie i piękne czoło z krótko strzyżonemi siwemi włosami, które przy oczach i wąsach czarnych dawały jego fizyonomii wyrazisty i szlachetny charakter. Poczmistrz wyszedł z paczką gazet, a przyjezdny nie zważając na mnie, zabrał się do ich czytania. Spojrzałem się na zegarek była godzina 2ga, do Wiernicy wedle słów poczmistrza było dwie mile, mogłem łatwo tam stanąć przed wieczorem, więc zabrawszy jak to mówią nogi za pas i opatrzywszy się w grubą laskę podróżną, puściłem się wskazaną mi stroną. Okolica, którą szedłem nie odznaczała się zbytnią malowiczością, trochę dzika i bardzo zaniedbana, ale dla mnie, co tak dawno wsi nie widziałem, dziwny urok miały owe pola samotne, miedze zielskiem i cierniem porosłe, kopce złożone ze stosów kamieni i karłowate sosny rosnące z rzadka śród ugorów z żółtą dziewanną.

O ćwierć mili za mieściną, las z początku rzadki, gęstnić zaczął coraz bardziéj, już szedłem nim blisko godzinę, a droga która z początku nie rozchodziła się na boki, nagle wyprowadziła mnie na rozdroże. Ujrzałem przed sobą trzy drogi w różne prowadzące strony, a jak to zwykle u nas bywa, zamiast drogoskazu, krzyż stary i nadpruchniały stał tylko na rozdrożu; usiadłem pod nim namyślając się jaki obrać kierunek, bo choć mi dano w miasteczku instrukcye, to przecież wszystkie owe „na lewo“ i „na prawo“ pomięszały mi się w pamięci zupełnie. Z lasu wychyliła się jakaś czarna postać, zapewnie smolarza:

— Człowieku, którędy droga do Wiernicy

— A prosto.

— Czy daleko jeszcze?
— Bogać tam daleko.
— Ale przecież?
— Będzie małe ćwierć milki.
— Czy dalėj już nie ma mylnėj drogi?
— Jać tam nie wiem, bo gościńcem nigdy nie chodzę, tylko lasem, bo bliżėj, — i czarna postać schowała się między sosny. Zostałem pod krzyżem wsłuchując się w ciszę leśną. Jakieś wspomnienia dziecinne obwiały mi duszę, zamglona pamięć rodziców, ostatnie lata tak marnie stracone i rany świeże, które raz po raz przypominają się bólem — wszystko to ściskało mi duszę nie wysłowionym żalem i tęsknotą; a gdyby nie pamięć na zakaz twój drogi Stefanie, nie roztkliwienia się nad sobą nigdy, to bym może rozmyślania moje w owym lesie, rzewnym zakończył był płaczem. Nie wiem jak długo siedziałem pod owym krzyżem, gdy turkot na drodze wyrwał mnie z zamyślenia. Obejrzawszy się poznałem wózek jednokonny i nieznajomego spotkanego na poczcie.

Wózek zwolniał nieco zbliżając się do miejsca gdziem siedział, podróżny patrzył się na mnie swemi oczami przenikliwemi i pełnemi wyrazu, ale zatrzymywać się nie myślał. Ukłoniłem się pierwszy, nieznajomy który sądząc z ekwipażu i ubioru wyglądał na ekonoma, odkłonił mi się dość grzecznie i przejechał.

— Proszę pana, zawołałem za odjeżdżającym, — wózek się zatrzymał — idę do Wiernicy, stron tych nie znam, czy ta droga dobrze mnie wyprowadzi.

— Idź pan wciąż prosto, odrzekł mi z wózka podróżny, nie schodź z gościńca na boczne drożyny — z resztą omylić się trudno i znów mi się ukłonił, zaciął swego konia jadąc drogą, którą mi sam wskazał. Po chwili jednak wstrzymał swój wózek i odwróciwszy się do mnie:

— Czy pan jesteś zmęczony? zawołał.

Nie wiedziałem czy w tem zapytaniu leżała intencya zaproszenia mnie na wózek, lecz po godzinnéj przechadzce mój zapał do pieszéj wędrówki znacznie był ostygł, a postać właściciela wózka dziwny jakiś miała dla mnie pociąg: więc odpowiedziałem, że wprawdzie bardzo zmęczony nie jestem, ale że noc przepędziłem w podróży i wolałbym może jechać jak iść piechotą. Tu zacząłem się namyślać czyby podróżnemu nie można zaproponować wynagrodzenia w razie gdyby mnie chciał przyjąć na swój ekwipaż.

Nieznajomy niedał mi czasu myśli téj objawić i robiąc mi miejsce koło siebie, gestem zaprosił na wózek.

— Jak daleko jeszcze do Wiernicy, rzekłem sadowiąc się koło mego towarzysza i zaczynając rozmowę.

— Porządna mila.

— Chłop, którego przed chwilą pytałem mówił mi tylko o ćwierci.

— Bah! odrzekł nieznajomy, oni mają swoją rachubę, a po tem nie chcą martwić podróżnego, któremu zawsze lepiéj ukrywać trud jaki go czeka.

Przestałem brać mego towarzysza za ekonoma. Ekonom byłby się zresztą już pytał, kto jestem, co tu robię i t. p.

— Przed godziną widziałem już pana na poczcie, rzekłem, chcąc ciągnąc rozmowę, któréj nieznajomy nie myślał podnosić, — chciałem tam brać konie do Wiernicy, ale zobaczywszy je wolałem iść piechotą.

— Konie pocztowe, odrzekł mój towarzysz, nie dowiozłyby pana prędzéj, jak donieść mogą młode i zdrowe nogi.

— To też wcale tego nie żałuję, tem bardziéj teraz, dodałem, gdy szczęśliwy przypadek pozwala mi zabrać tak miłą znajomość.

Sądziłem, że ten banalny ale grzeczny, frazes wywoła ze strony nieznajomego podobną grzeczność, i że mi powie kto jest i jak się nazywa, lecz omyliłem się srodze. Spojrzał się on na mnie surowo:

— Mój młody paniczu bez tych frazesów i grzeczności, — przypadek który dwóch ludzi zbliża do siebie nie zawsze bywa szczęśliwym przypadkiem, a ten co nas chwilowo zbliżył, może być wcale nieszczęśliwym; co się tyczy znajomości, to przez to, że obok siebie pół godziny siedzieć będziemy, znać się nie będziemy lepiéj, a w każdym razie znajomość moja miłą dla pana być nie może.

Podróżny którego brałem za ekonoma wydał mi się tylko oryginałem, ale pozycyi jego towarzyskiéj odgadnąć było trudno.

Rozmowa się urwała, — mój towarzysz zdawał się nie zważać na mnie — patrzałem z boku jak jego twarz powoli przybierała ten wyraz surowy i smętny jaki przychodzi na twarz myślącego człowieka, gdy nic go nie rozrywa na zewnątrz.

Jechaliśmy wciąż okolicą leśną, gdzie niegdzie śród boru na świeżo wykarczowanéj nowinie wznosiło się parę chat ubogich o zapadłych słomianych dachach; albo śród gęstwi przeglądała szopa do wypalania smoły, któréj woń ostra, ale nie zupełnie przykra uderzała powonienie: niekiedy na małéj łączce między sosnami widać było pacholę szarą płachtą okryte, pasące krowę trzymaną na powrozie, albo kobiety pielące zagon, które podnosiły głowę od ziemi, na turkot naszego wózka.

— Lud tu zdaje się być bardzo ubogi, odezwałem się do mego towarzysza, przerywając milczenie.

Na tę moją uwagę, zwrócił on na mnie swe oczy, które powoli traciły wyraz surowy i zamyślony.

— Ubogi bardzo, powiedział, a do tego w całéj części powiśla panują po wsiach miejscowe choroby, po

części z nędzy, po części z nieochędóstwa pochodzące; jak wszędzie tak i tutaj wiele a raczéj wszystko zostaje do zrobienia, jak wszędzie tak i tutaj nikt nic nie robi, aby złemu zaradzić. Dla czego się pan o to pytasz czy dla zaczęcia rozmowy, którą moja dzikość przerwała, czy dla tego, że cię istotnie ta rzecz obchodzi? Może sam jesteś, albo będziesz właścicielem wiejskim?

— Dola ludu naszego obchodzi mnie tak jak może i powinna obchodzić człowieka, co ten lud kocha — zresztą mam istotnie kiedyś widoki objęcia majątku i dobre zamiary zajęcia się szczerze memi chłopami.

Mój towarzysz wziął mnie z uśmiechem za rękę:

— Założyłbym się, rzekł że już masz ułożone w głowie różne piękne teorye, wedle których myślisz twoich chłopów prowadzić.

Domyślasz się mój Stefanie, że na to zagadnięcie człowieka, który jak sądziłem był w stanie mnie pojmować, nie wahałem się szczerze i obszernie mu mówić o wspólnych z tobą w téj mierze zasadach, a nawet marzeniach. Nieznajomy słuchał mnie z wielką uwagą.

— Mój drogi panie, rzekł do mnie, gdym mówić przestał — jak widzę, jesteś naprzód poetą, to jest młodym i szlachetnie nie powiem myślącym, ale marzącym człowiekiem, powtóre naczytałeś się i nasłuchałeś tych zdań, które obiegają dziś po świecie, choć więcéj są w modzie, aniżeli w przekonaniu u ludzi. Kochasz dziś lud trochę jak artysta, trochę jak nieznający życia i książkowy reformator — daj Boże abyś kiedy dojrzałość przyjdzie potrafił go kochać jak rozsądny surowy ale wyrozumiały ojciec, abyś jak ojciec nie zrażał się i wytrwał, choć dziecko nieraz złe, krnąbrne i niepojętne; a takowej miłości ludu jak nazywacie, uczy lepiéj katechizm, niż teorye naszych reformatorów, którzy unoszą się ku górze, zakrywając mglistym obłokiem, jak Mojżesz na Synaju, ale żaden jeszcze nie zszedł z tablicami praw

dostępnych dla tłumu jak zakonodawca izraelski; dla tego też co do mnie, to wolę się trzymać w téj mierze *dziesięciorga* i panu to samo radzę.

Rozumiesz dobrze mój Stefanie jak po téj rozmowie zacząłem sobie wyrzucać, żem wziął mego towarzysza za prostego ekonoma.

Wyjeżdżaliśmy właśnie z lasu, pejzaż całkiem się zmienił, zaczęły się ukazywać szerokie łany porządnie uprawne zieleniejące oziminą: za niemi ciągnęła się długim sznurem wieś z murowanym kościołem i rząd wysokich nadwiślańskich topoli, przez które gdzie niegdzie przeglądały białe szmaty szerokiéj rzeki — zbliżaliśmy się nad Wisłę.

— Ot i Wiernica, odezwał się mój towarzysz, tam na wzgórzu, nad rzeką, śród topoli, to dwór wiernicki, a raczéj pałac jak tu nazywają.

— Czy znasz pan właściciela Wiernicy, spytałem nieznajomego, jest on moim stryjem, nazywam się Bronisław Łaski, dodałem, sądząc że tą razą przynajmniéj dowiem się z kim jechałem.

— Stryja pańskiego, nie znam wcale, tylko z widzenia; przy sposobności powiedz pan swemu stryjowi, dodał nieznajomy po chwili, aby zważał w jaki sposób jego oficyaliści obchodzą się z chłopami, bo dzieją się w téj mierze różne nadużycia, o których stryj pański zapewne nie wie, — a teraz bywaj mi pan zdrów, ja zjeżdżam w dół ku rzece, aby się przewieść promem na drugą stronę, pan idź aleją lipową do pałacu.

— Chciéj pan wierzyć, rzekłem, zsiadając z wózka, że byłbym bardzo szczęśliwy spotkać się jeszcze z panem kiedykolwiek, nietylko miłą ale pożyteczną mogłaby być dla mnie pańska znajomość, — a temu czy pan wierzysz, dodałem patrząc w pełne wyrazu oczy nieznajomego.

Machnął on ręką przez powietrze.

— Wierzę... nie wierzę... Wierzę mój piękny paniczu, że młodość jest najcudniejszym darem bożym, darem, który psujemy wszyscy i marnujemy zawsze, i ty tak zrobisz jak inni, albo ten dar zmarnujesz całkiem, albo użyjesz źle i wykrzywisz. Przyjdzie czas że będziesz oszukiwany i że będziesz oszukiwał i kłamał jak drudzy... jak wszyscy — bywaj mi zdrów, rzekł, zacinając swego konia.

Wózek spuścił się ku rzece, a ja poszedłem aleją lipową do wiernickiego dworu.

W parę godzin po rozstaniu się z moim towarzyszem podróży, siedziałem już pod gankiem, a raczéj kolumnadą pałacu ze stryjostwem, którzy jak się domyślasz radzi mi bardzo i serdeczni.

Stryjenka znalazła żem się bardzo zmienił i zmizerniał, — bałem się jakich wspomnień lub aluzyi, lecz miała ona dość taktu i delikatności, aby o hrabinie Laurze nie wspominać.

Opowiedziałem stryjowi moje spotkanie w miasteczku, i w jaki sposób dostałem się na wózek nieznajomego. Gdym mu mego towarzysza podróży opisywał; stryj mój rzekł z lekka brwi marszcząc.

— Nie winszuję ci znajomości, to był pan Jelnicki.

— Któż to taki ten Jelnicki? spytałem.

— Mieszka on na małym folwarczku zwanym Zieloną kępą, na Wiśle; ta mała posiadłość jest rodzajem półwyspu ciągnącego się długim klinem nad rzeką, a nawet przy wyższéj wodzie zamienia się na wyspę, bo wyschnięte koryto staréj Wisły napełnia się wtedy i małe państwo Jelnickiego od stałego lądu oddziela. Ta Zielona kępa dotyka do dóbr moich na tamtéj stronie Wisły, a nawet kiedyś do nich należała, proponowałem ją od Jelnickiego odkupić pod bardzo korzystnemi warunkami, ale odmówił. Mógłbym drogą procesu

wysadzić go z folwarczku, kupił go bowiem dziesięć lat temu od mego rządzcy, który nie miał legalnego upoważnienia do sprzedaży, ale wiesz że procesów nie lubię, przecież Jelnicki nie poznaje się na mojéj delikatności. Kilka tygodni temu mój ekonom co gospodaruje na wsiach zawiślańskich, złapał w szkodzie chłopów ogranicznych i jednego podobno wychłostał, drugim zabrał siekiery. Jelnicki ujął się za pokrzywdzonymi, wyłajał ekonoma, dowodząc że chłopi mają słuszność, że gaj w którym drzewo rąbali do nich należy, bo widział na to i papiery. Ekonom przyszedł do mnie na skargę zapewniając, że Jelnicki chłopów podburza i do procesu namawia. Zleciłem ekonomowi prosić owego trybuna ludu aby się do mnie pofatygował. Jelnicki, jak mnie zapewnia ekonom, kazał odpowiedzieć, że jeźli mam do niego interes to mogę sam się potrudzić.

— Mój stryju, wtrąciłem, ekonom mógł to wszystko przesadzić i wystawić inaczéj jak było, tem bardziéj to przypuszczam, że Jelnicki wydał mi się rozsądnym i wyktszałconym człowiekiem.

— A bah! rozsądek i wykształcenie na folwarku w Zielonéj kępie! masz młodociane illuzye. Wprawdzie p. Jelnickiego nie znam, bo go spotykam tylko w kościele gdzie mi się nota bene nigdy nie kłania, ale sądzę że musi on być jednym z tych wiejskich a nieznośnych procesowiczów, którzy się chętnie podejmują spraw chłopskich. Będzie miał proces kiedy go pragnie, bom właśnie kazał chłopów zapozwać, wrócę im koszta jeśli mieć będą jakie, ale to nauczy p. Jelnickiego, aby się nie wdawał w cudze sprawy.

To com się z rozmowy ze stryjem o Jelnickim dowiedział nie umniejszyło bynajmniéj moich dla niego sympatyj.

Zmęczony trochę drogą rychło pożegnałem stryjostwo, odprowadzono mnie do ładnego pokoju z oknem na

ogród i Wisłę, zkąd też do ciebie piszę, a że zaczynam być bardzo senny więc ci mówię dobranoc.

Nazajutrz.

Dzisiaj obudziłem się bardzo rano i gdym stanął w oknie, — nad Wisłą wiosenny poranek spływał właśnie z całym urokiem zieloności i woni, ze śpiewem ptasząt i klekotem bociana, z tysiącem barw i dźwięków, które jak jedna cudna harmonia śpiewają duszy, że to wiosna i że świat boży piękny. Dawno już dawno, nie czułem się tak rzeźwy i swobodny; serce gwałtem wydzierało mi się do tego pięknego świata co się budził i kąpał w rosie. Wybiegłem do ogrodu, a z ogrodu w dół ku rzece; Wisła jeszcze drzemała pod białą osłoną lekkiéj mgły, tylko białe rybitwy budziły ją muskając wązkiemi skrzydłami. Po mojéj stronie miałem wieś całą z chatami chowającemi się między wierzby złote i topole, po drugiéj stronie chat nie widać tylko jakby kępy zielonością zarosłe otoczone wieńcami białymi z kwiecia czeremchy, co się kąpie w rzece, tak że jej oko od mgły rozróżnić nie może. A za kępami piętrzą się lasy i giną.

U brzegu między krzewami, przywiązane było czółno nie wielkie i wiosło leżało w niem porzucone. Wskoczyłem w czółno wziąłem za wiosło i popłynąłem z biegiem wody, nie wiedząc gdzie płynę. Więcéj z przypadku niż własnéj woli dobiłem do przeciwnego brzegu; przywiązałem czółno, a odsuwając gałęzie czeremchy, co mnie puchem swego kwiecia jak śniegiem obsypywała, przedzierałem się przez gąszcz zieloną, — krzewy rzedniały powoli, już tylko samotne olsze rosły tu i owdzie śród łąki i ujrzałem przed sobą jakby obrus świeżéj nietkniętéj zieloności; bliżéj dopiero podszedłszy można było

rozpoznać, że pod tą zielonością ukrył się jakby staw szeroki albo małe jezioro, pokryte od brzegów szerokiemi liściami grzybieniu, ustrojone w lilie wodne białe i blado żółte. Nie wiem czyś kiedy widział jeden z owych zarośniętych zielonych stawów jakie się spotykają po starych lasach naszych, dla mnie mają one urok tajemniczy. W ich to nieprzeniknionéj głębi, mieszkają jak wiesz i topielce, w noc księżycową pląsają tam nad ich powierzchnią wodnice, a cichym wieczorem wydobywają się z ich toni bezdennéj dźwięki tajemnicze, w których starzy ludzie głos dzwonów kościelnych dosłuchują. Więc siedząc na powalonym pniu staréj wierzby, przypominałem sobie owe dziwy wszystkie, których się w dzieciństwie mojem nasłuchałem nieraz, aż i słowik jakby umyślnie zaczął w krzewinie próbować różnych piosnek, żadnéj niedokończył, wreszcie wybrał jedną najpiękniejszą, kwilił ją, śpiewał, szczebiotał, niepytając się czy go kto słucha. Chwilę tak siedziałem patrząc jak na środku stawu wyrosła jedna lilia biała samotna, niby dziewczyna wiejska czysta i wstydliwa co ucieka od ludzi — w tem lekkie pluśnięcie niby rybki, niby ptaka wyrwało mnie z zamyślenia. Odwróciłem oczy od mojéj lilii białéj ku stronie gdziem usłyszał pluśnięcie i w tem o cudo! ujrzałem przysięgam ci, ujrzałem prawdziwą rusałkę. O kilkadziesiąt kroków odemnie młodziutka dziewczyna, jedną ręką trzymając się za gałąź złotéj wierzby stojącéj nad stawem, pochylała się nad wodę, aby zerwać niezapominki i lilie wodne rosnące u brzegów. Siedmnastoletnia może, dziewczynka owa, miała na sobie gorsecik i spodniczkę podobną do tych jakie noszą dziewczęta wiejskie, lecz rękawy od koszuli były tak cienkie i białe, a rączki tak małe, że niemożna było przypuścić, aby nimfa urodziła się pod słomianą strzechą. Na głowie miała ona prosty kapelusz słomiany z szerokiemi skrzy-

dłami, jakie po wsiach nadwiślańskich splatają ze słomy pszenicznéj; kapelusz ten zakrywał mi twarzyczkę, gdy była schyloną, lecz gdy narwawszy duży pęk niezapominek podniosła główkę, ujrzałem prześliczne szafirowe oczy, nad niemi brew ciemną i dość gęstą, płeć nietylko białą, ale jakby przezroczystą; mogłem się mojéj nimfie jeszcze lepiéj przypatrzeć, gdyż po chwili, zaczęła się zbliżać z narwanem kwieciem ku miejscu gdzie byłem ukryty, i gdzie dech w sobie zatrzymawszy stałem cicho, bojąc się by urocze zjawisko nie rozwiało się w powietrzu. Śliczna Rusałka szła nad stawem o kilkanaście kroków odemnie, składając i przeplatając w ręku swe kwiatki, nucąc naprzód z cicha potem głośniéj znaną na powiślu piosnkę:

Stanę się stanę, gwiazdką na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie,
A twoją nigdy nie będę.....

Jakiż to był głos uroczy; jakie słowicze intonacye; świeże pierwotne, które chyba u ptasząt leśnych podsłuchać można.

Wyszedłem z ukrycia za moją Rusałką, która kończyła piosnkę przeplatając w ręku kwiaty. Wązka drożyna na którą weszła, prowadziła śród krzewów i zarośli, powoje i chmiel dziki plątały się nad nią w festony. Parę razy traciłem z oczu dziewczynę zbliżyć się nie śmiejąc. Drożyna wywiodła mnie wreszcie na dość szeroką drogę wysadzaną młodemi lipami; na końcu téj alei lipowéj widać było wrota brzozowe i podwórko i dworek niewielki drewniany, cały wyłożony brzozowemi berwionami, płoty i mostek przed wrotami były także brzozowe. Na podwórzu stało parę lip rozrosłych i świerków, na samym środku gołębnik, a było tam tak spokojnie, wiejsko, zaciszno na tem podworku! Rusał-

ka nie weszła wrotami, które były zamknięte, lecz stanęła lekko na przełazie przy wrotach, a skacząc na drugą stronę płotu, spłoszyła całe stado gołębi białych, które się wzbiły nad nią wieńcem i znów do nóg upadły — wbiegła szybko na ganek dworku, tam stanęła zwracając się jeszcze raz ku mojéj stronie, a potem w sieniach znikła.....

Stałem jeszcze długo, patrzałem, czekałem czegoś, wreszcie wróciłem się drożyną do brzegu gdziem zostawił czółno i przewiozłem się do Wiernicy.

IV.

Wiernica 7 czerwca.

Domyślasz się mój drogi Stefanie, żem dziś rano pojechał znowu na kępę. Gdy moje czółno przybiło do brzegu z biciem serca zbliżałem się do zielonego stawu na miejsce gdzie mi się wczoraj ukazała Rusałka. Usiadłem nad wodą, patrzałem na wszystkie strony, czekałem, ale zjawisko nie chciało się powtórzyć. Wszedłem na drożynę, którą wczoraj poszła dziewczyna, a gdym nią doszedł do lipowéj drogi ujrzałem na kilka kroków przed sobą Jelnickiego.

Był on plecami do mnie obrócony i zajęty około jednéj z młodych lip, którą podnosił z ziemi i przymocowywał do pala służącego za podporę młodemu drzewu. Zbliżyłem się do niego i powitałem. Zwrócił on na mnie swoje surowe, trochę zadziwione oczy.

— A pan co tu porabiasz w mojem państwie.

— Nie wiedziałem wcale, że się znajduję u pana, i rad jestem szczęśliwemu przypadkowi, który mnie w takie śliczne miejsce sprowadził i pozwala spotkać się z panem.

— Znowu szczęśliwy przypadek, rzekł trochę łagodniéj Jelnicki, przed chwilą myślałem o tobie i o naszéj onegdajszéj rozmowie, patrząc na to nadłamane drzewo przez jakiegoś wiejskiego szkodnika. Co będziesz robił w takim przypadku szanowny reformatorze i miłośniku ludu, kiedy ci każde drzewko jakie posadzisz złamią albo popsują.

— Za granicą, odrzekłem, drzew nie łamią, bo chłopi sami są właścicielami, a kto sam ma własność ten szanuje własność u drugich.

— Tutaj zupełną masz słuszność i spierać się z tobą nie będę. Dodaj do tego, że za granicą są szkoły dla dzieci wiejskich, które pod dozorem będąc, nie mają czasu się wałęsać i szkód robić. Ja u siebie na dorosłych skarżyć się nie mogę, ale z dziećmi — trudniejsza sprawa.

Jelnicki skończywszy około drzewa wszedł na drogę prowadzącą do brzozowego dworu. Szedłem obok niego, szczęśliwy bardzo z tego spotkania.

— Czy długo pan zabawisz w naszych stronach zapytał się po chwili.

— Przyjechałem do stryjostwa na parę tygodni aby się z niemi pożegnać, — wyjeżdżam bowiem na uniwersytet do Niemiec.

— Na uniwersytet? aby się uczyć niemieckiéj filozofii, która teraz w modzie?

— Nie, do niemieckiéj filozofii, nie mam ani pociągu, ani usposobienia, rozpatrzę się dopiero na miejscu, a w każdym razie mam szczere postanowienie kształcić się, uczyć i czytać wiele.

— Bardzo to piękne postanowienie,' rzekł Jelnicki, ale czytaj i ucz się głównie jak żyć, a nie żyj aby czytać, bo to na nic się nie zdało. Już i tak za wiele niepotrzebnych rzeczy czytacie, a życia uczycie się z książek i jakich książek!! Literatura którą się karmicie, mężczyzn zkobieca, kobiety psuje, a jednym i drugim w głowie przewraca; bo nawet te książki wasze, kiedy chcą być moralne i odzywać się do szlachetnych uczuć, to tak umieją najprostsze cnoty przetworzyć, przerobić i z jakąś ckliwą rafineryą przedstawić, że w téj maskaradzie człowiek nie umie złego od dobrego rozróżnić, i ta wątpliwość, zostaje mu potem w życiu.

— Czyż pan potępiasz wszelkie czytanie?

— Nie, ale potępiam tych co się uczą z książek i to z najgorszych, bo te książki wyrabiają z was jakieś pokolenie, szermujące słowami, pełne miłości własnéj i spaczonych idei, pokolenie które za młodu lata w obłokach, w wieku dojrzałym za to pełza..... nieraz w błocie, a chodzić nie umie nigdy.

— Prawda, że nie z książek życia uczyć się trzeba, rzekłem, to też nie zawsze i nie do wszystkich książek chodzi się po naukę — nasza wyobraźnia ma także swoje potrzeby....

— Wyobraźnia! przerwał mi Jelnicki, patrz w historyę, a przekonasz się, że wyobraźnia ludzka i fantazya kiedy mają istotną siłę, życie i ogień, to się wylewają w czynach rycerskich, awanturniczych nieraz, ale męzkich i zdrowych — wy dzisiaj macie tylko tyle wyobraźni i fantazyi ile wam go da ostatni przeczytany romans albo poezya!

Tak rozmawiając zbliżaliśmy się do wrot brzozowych wiodących do dworku, serce mi biło gwałtownie, tem bardziéj gdym spostrzegł uchylającą się firankę, a przez

kwiaty stojące w oknie dojrzałem szafirowe oczy wczorajszéj Rusałki.

Jelnicki zawiódł wszakże moje oczekiwanie, bo od wrót nagle zwrócił.

— A klasyków czy znasz, rzekł do mnie, po łacinie czy umiesz?

Myśl moja w téj chwili bynajmniéj nie była w klasycznym świecie, spojrzałem się jeszcze raz w okno z kwiatami i zawróciłem wraz z Jelnickim na drogę którąśmy przyszli.

— Klasyków znam nie wiele, ale po łacinie czytam i myślę obznajmić się lepiéj ze starożytną literaturą.

— Nie uczą was tych rzeczy, rzekł Jelnicki, i wy je zaniedbujecie, wolicie brać w siebie teraźniejsze niestrawne pokarmy niż tam pójść po zdrowe. Historyi także nie znacie, a jak się z niéj uczycie sami czegoś, to tylko jednego faktu; t. j. rewolucyi francuzkiéj? nieprawda, dodał, patrząc się na mnie z uśmiechem.

Tu czułem się w obowiązku wystąpić w obronie rewolucyi francuzkiéj, a że ją istotnie znam, byłem dosyć wymowny, mianowicie gdym z goryczą o niesłusznościach i wadach społeczeństwa mówił, przeciw którym powstała rewolucya francuzka, i z któremi dziś jeszcze walczyć potrzeba.

— Ot widzisz, rzekł Jelnicki, masz zaledwie dwadzieścia parę lat, życia znasz mało, ludzi i społeczeństwa prawie nic, i już powstajesz z goryczą przeciw ludziom i społeczeństwom. Pobudki twoje szlachetne bo młode, ale jeśli się zastanawiać z dobrą wiarą i uczyć życia nie będziesz, powiększysz tylko liczbę tych ludzi, co trawieni gorączką zmiany, chcą budować jakiś gmach nowy, lecz do zbudowania go mają tylko ułamki dawnych gmachów, które sami zburzyli.

Będziesz czując słabość własną, narzekał nad stanem naszym, nad zawodem tak trudnym, zwalając całe winy

na społeczeństwo i jego instytucye, a nie wpłyniesz ani na te instytucye, ani społeczeństwu pożytku nie przyniesiesz.

Gdybyście się umieli uczyć historyi i świat starożytny rozumieli lepiéj, tobyście się przekonali, że Etyka i mądrość starożytnych miała głównie na celu pojedynczego człowieka, że na ukształceniu indywiduów polegało ukształcenie mas. *Znaj siebie* uczył Sokrates, *panuj nad sobą* mówił Epiktet. A początek chrześciańskiego świata czy badacie? Czy zdajecie sobie sprawę, że tryumf nauki Chrystusa leżał głównie w tem, że się ona zwracała bezpośrednio do serc ludzkich nie zajmując się wadami społeczeństwa. Wy dziś za wszystko od towarzystwa żądacie odpowiedzialności. Wierzaj mi mój drogi, że egoizm, zepsucie tego towarzystwa złamać się tylko mogą o siłę dusz, co są zdolne do zaparcia *siebie* i poświęcenia *siebie*:

Bądźmy tylko *my* lepszemi
Lepiéj będzie wnet na ziemi.

Cytując ten wiersz nieznanego mi autora, Jelnicki podał mi rękę na pożegnanie.

— Bądź mi pan zdrów, rzekł, ja idę w pole do roboty.

— Czy mi pan pozwolisz odwiedzić cię czasem? spytałem.

— Nie zapraszam cię wcale, bo towarzystwo moje nie będzie ci przyjemnem, — ale jeśli znów szczęśliwy przypadek w który zdajesz się wierzyć, nas spotka, to ci rad będę.

— Dopomogę przypadkowi, rzekłem, byleś pan nie wziął za złe.

Jelnicki machnął ręką, i poszedł między zarośla, ja wsiadłem do czółna i wróciłem do Wiernicy.

V.

11 czerwca.

Zaproszenie Jelnickiego nie mogło mi dać zupełnéj śmiałości odwiedzenia go w brzozowym dworku, to też nazajutrz wstrzymałem się od wycieczki, zwłaszcza, że cały dzień deszcz padał. Ale następnego dnia zaraz po śniadaniu, nie mówiąc nic stryjostwu, którzy mi najzupełniejszą zostawiają swobodę, pojechałem na Zieloną kępę.

Z niecierpliwem wzruszeniem zbliżałem się do miejsca, gdziem poraz pierwszy ujrzał Rusałkę. Na małéj łączce ciągnącéj się nad zielonym stawem, tą razą pasło się bydło i kilka koni chłopskich. Białe i graniaste krówki brodziły w trawie zasianej żółtym jaskrem, pod płotem z wierzbiny parę koni założywszy głowę jeden na drugim spokojnie coś dumało, opędzając się od much ogonami; swywolne źrebięta goniły za ciołkami, które z niemałym strachem chowały się za matki patrząc się przerażonym i nie zbyt mądrym wzrokiem.

Pod drzewem na powalonym pniu staréj wierzby, siedziała moja rusałka, troje wiejskich dziewcząt ją otaczało, dwie już dorosłe siedziały na ziemi, a trzecia najmłodsza opartą była o jéj kolano — na trawie leżała porzucona jakaś książka otwarta. Rusałka opowiadała coś dziewczynom, bo wszystkie trzy miały w nią oczy wlepione z uwagą.

Przedzierałem się między zarośla ostrożnie, aby dziewcząt nie spłoszyć. Gdym się zbliżył na kilkanaście kroków, zaczęły dolatywać mych uszu wyrazy jakiéjś opowiadanéj bajki, ale w tem czarny kundys podniósł się z trawy i wybiegł ku mnie warcząc przed krzakiem, w którym byłem ukryty. Nie można było chować się dłużéj — wyszedłem z ukrycia. Dziewczęta spojrzały na mnie wzrokiem przestraszonym.

— Marysiu, odegnaj Obala, zawołała na jednę z dziewcząt Rusałka, widząc że pies traktuje mnie po nieprzyjacielsku. Obal odegnany umilkł i położył się na trawie przy dziewczętach. Zbliżyłem się pod drzewo — ach! jak cudną była moja nadwiślańska dziewczyna — jak czysto i pięknie patrzały ku mnie jéj śliczne trochę zdziwione oczy, jakby się pytać chciała po com tu przyszedł i przerwał ten spokój sielski.

— Dzień dobry, wyrzekłem wreszcie, sam trochę zmięszany.

Odpowiedziano mi dzień dobry.

— Może mi panienka powiesz, rzekłem zwracając się do Rusałki, czy jest w domu p. Jelnicki, którego chciałem odwiedzić.

— Nie, mego ojca nie ma dziś w domu.

— Czy wyjechał?

— Wyjechał na cały dzień, bo przyszli po niego chłopi z rządowéj wsi prosić o radę, w jakiéjś sprawie, którą mają z p. Łaskim z Wiernicy.

Rozmowa się urwała, podniosłem z ziemi porzuconą książkę, spojrzałem, był to elementarz. Dziewczyna wyciągła do mnie rękę po książkę trochę zapłoniona.

— Przerwałem podobno naukę, rzekłem, wręczając książkę.

— Tak jest, uczę czytać te dziewczynki.

Te dwie już dobrze umieją, rzekła wskazując na

starsze, ale Jagusia dopiero zaczyna, i gładziła po jasnowłoséj główce najmłodszą.

— Więc zachęcasz je panienka do nauki opowiadaniem im bajek.

Rusałka znowu się zapłoniła.

— O! bez bajek, toby żadną do czytania nie można było namówić.

— Gdybyś panienka, rzekłem, chciała daléj opowiadać bajkę, to i ja bym chętnie posłuchał. Mówiąc to usiadłem na ziemi u jéj nóg w postawie człowieka zabierającego się do słuchania.

— Gdzieżbyś pan słuchał naszych bajek, mówiła dziewczyna, ja zresztą tylko dzieciom opowiadać potrafię.

— Doprawdy że ja lubię niezmiernie bajki i nasłuchałem się ich w dzieciństwie nie mało, pamiętam do dziś dnia nie jednę i umiem sam opowiadać, naprzykład tę, dodałem chcąc wzbudzić zaufanie, o królewiczu zaklętym w węża.

— O tę znam, powiedziała Rusałka.

— A o sierocie, którą wróżki w skrzypki lipowe schowały?

— I tę znam.

— A o królewiczu, co w lesie zabłądził i natrafił na śpiewającą brzozę?

— Tę także.

— Widzę, że panienka znasz wszystkie, ale ja pewnie nie znam tych, które umiesz.

— Bo ja też umiem bardzo wiele, nie tylko tutejsze, ale ruskie, których mnie nauczyła piastunka z Wołynia; a ruskie bajki jeszcze są piękniejsze od naszych.

— To mi panienka opowiedz choć jedną, albo najlepiéj kończ tę, którą zaczęłaś, kiedym tu przyszedł.

— Ta, co zaczęłam, to nie bajka, ale prawda, rzekła z na wpółsmutnym uśmiechem — to powieść którą opowiadają o miejscu, na którem siedziemy.

— Tem chętniéj posłucham.

— A czyś pan słyszał początek?

Odrzekłem że nie, i że proszę, aby zaczęła od początku. Dziewczyna nie dała się prosić dłużéj.

Ach gdybym ci mógł potwórzyć, kochany Stefanie tę bajkę, tak jak ją tam słyszałem nad zielonym stawem z ust prześlicznéj Rusałki mojéj, ale posyłam ci ją bladą, popsutą przez moje literackie pióro, odartą z uroku jaki jéj nadawał sam głos i sposób opowiadania nadwiślańskiéj dziewczyny.

Bajka o Topielcach.

Powiadają ludzie, zaczęła Rusałka, że tu jak się ciągnie gaj ku rzece, miała być wieś przed laty, bo też jeszcze parę chat zostało, a w miejscu gdzie teraz ten staw zielony, stał kościół w środku owéj wsi. We wsi mieszkała przy matce, Kasia najładniejsza ze wszystkich dziewcząt wiejskich, do piosnek, do tańca jedyna. — Choć w chacie było ubogo, bo rodzic wcześnie odumarł, nie jeden z chłopaków byłby rad wziąść Kasię za żonę: ale dziewczyna wybrała już jednego — Jasia z téj saméj wsi. Jasio był nie bogaty, ale bardzo urodny i śmiały. Jak też tylko wysłał swatów do Kasinéj chaty, to ich matka przyjęła z błogosławieństwem i łzami a dziewucha z radością i zaraz też nazajutrz były zrękowiny: wesele miało się odprawić dopiero za kilka niedziel, bo Jasio zwyczajnie z wiosną płynął z tratwami, więc i teraz w drogę mu było pilno. Obiecywał on wrócić prędko z gościńcem — dziewczynie okrutnie było smutno, gdy go odprowadzała ku rzece, a kiedy już

odbił z orylami od brzegu, to usiadła na piasku żółtym nad wodą i długo rzewnie płakała.

Minęło już kilka niedziel i Śty Jakób się zbliżał, na który flisy zwykle wracają do domów — dziewczyna z utęsknieniem wyglądała miłego. Raz pod wieczór siedzi na progu chałupy rozmyślając o Jasiu swoim, aż głos jakiś zawołał z ulicy.

— Wracają nasi, wracają. —

Zerwała się dziewczyna co tchu pobiegła ku flisom, którzy całą gromadą zatrzymali się właśnie przed kościołem, podziękować Bógu za szczęśliwy powrót.

— A Jasio mój gdzie? zawołała, nie widząc go między niemi.

— Jasio?... powiedział Kuba smutnie, nie ujrzą go już oczy twoje dziewczyno — utonął nam nieboże pod Gdańskiem.

— O! Matko przenajświętsza, jęknęła Kasia i upadła na ziemię.

Każdy spojrzał smutnie na biedną, pożałował i powoli rozeszła się gromada do domu, witana z radością i krzykiem od swoich.

Kasia została sama przy kościele klęcząc na murawie, chciała się modlić za duszę utopionego, ale w żalu wielkim, prosiła tylko Matki Boskiéj, aby ją także coprędzéj ze świata zabrała. Długi czas tak się biedziła we łzach przerywanych modlitwą, aż i noc też nadeszła — dziewczyna ani się spostrzegła, ani czuła wiatru co wiał chłodem; w tem słyszy kroki czyjeś tuż za sobą — obraca się i widzi starą Petrynę wspartą na kiju wracającą z pękiem ziół polnych do swéj samotnéj chaty co niedaleko za kościołem przy cmentarzu stała. Stara Petryna znaną była na całą okolicę, czy w słabości lekarstwo naraić, czy urok zdjąć z kogo i zażegnać, czy ziół przygotować — wszystko umiała i chodzili jéj się radzić ludzie zdaleka.

Stara zatrzymała się przy płaczącéj Kasi.

— Płaczesz, narzekasz, niebogo, mówiła potrząsając głową.

— Jak nie płakać, jak nie narzekać, kiedy mój Jasio utonął.

— Wypłacz się, wyżałuj dziewucho, przyjdzie czas to i zapomnisz téj biedy — szkodać chłopaka twego bo był niczego, ale jestci takich więcéj.

— O nie zapomnę nigdy mego Jasia, mego drogiego, chyba prędzéj pójdę za nim sama na dno wiślane.

— Jeśli naprawdę miłujesz go tak serdecznie, że chcesz za nim iść do wody, to wiem ci ja taki sposób, że jeszcze byś mogła się z nim zobaczyć, a może i żyć na tym świecie.

— O matko moja, zawołała Kasia, chyląc się do kolan staréj kumie — Bóg widzi wszystko zrobię, byle go widzić i uratować — mówcie tylko jaki to sposób?

— Żeby to zrobić, co ci poradzę, trzeba mieć wiela odwagi, bo inaczéj i sama zginiesz i jego na wieki zagubisz.

— Ino tylko powiedźcie, mówiła dziewczyna, ja wszystko zrobię co przyrzekacie.

— Skoro będzie nów miesiąca, powiedziała stara Petryna, pójdziesz na brzeg wiślany, kole północy wybierzesz miejsce samotne daleko odewsi, kędy głosu ludzkiego nie słychać, rozpalisz ogień nad brzegiem i będziesz czekać. Jak północ nadejdzie to zaczną z wody wychodzić topielcy, ty czekaj i nie rusz się z miejsca, cokolwiek zobaczysz, cokolwiek usłyszysz, to serca nietrać i nie ulęknij się. — Może który z topielców przyjdzie do ciebie, zacznie mówić, to odpowiadaj śmiało, nie daj poznać, że masz strach w duszy bo zginiesz — jeśli ci powie chodź ze mną, to idź — a jak się dostaniesz do miejsca gdzie będzie twój jedyny, to już własny rozum poradzi ci co masz uczynić. Widzisz dziew-

czyno, że to rzecz nie łatwa — rozmyśl się, a jeśli ci się zdaje, że nie będziesz miała tyle mocy, to daj pokój, bo się zgubisz.

— Będę miała i moc i odwagę, mówiła dziewczyna i zrobię wszystko, jak mówicie.

— Kiedy w sobie taką siłę czujesz, to dam ci tu jeszcze dwojakie ziele, od jednego człowiek utopiony ożyje, a za jednem dotknięciem dusza jego znów się w ciało ubierze — a przed tem drugiem zielem to się woda ustępuje sama, tak że można się z głębiny suchą nogą wydostać. I Petryna wyjęła z pęku dwojakie ziele, schowała je do piersi dziewczyna, a gdy dziękować za nie chciała, już staréj kumy pod kościołem nie było. Kasia otarła łzy i trochę spokojniejsza wróciła do domu.

Za parę dni właśnie przypadł nów miesiąca — jak tylko już posnęli wszyscy w całéj wsi — Kasia cicho wyszła z izby, wpadła między sady w pole aż na brzeg wiślany. Szła ciągle nad wodą dodając sobie odwagi, aż wieś już daleko za nią została — naokół cicho było i głucho — miesiąc jasno oświecał żółty nad rzeczny piasek — a rzeka przy jego świetle zdawało się kipi srebrem i złotem.

Zatrzymała się dziewczyna, uzbierała suchych gałęzi i nanieciwszy spory ogień usiadła i cicho nucić zaczęła, dla dodania sobie odwagi. Aż po chwili z głębi rzeki, gdzie woda jakby w kręgi się kołowała, wypłynął do brzegu w wieńcu z tataraku i ziół wodnych z długiemi konopiastemi włosami — Topielec. Cały był siny i trząsł się jak człowiek we febrze. Gdy wypłynął to usiadł na piasku nad brzegiem i oczy wielkie jak szkło przezroczyste zwrócił na księżyc. Nie zadługo wypłynął drugi, za nim trzeci i czwarty i więcéj jeszcze. Wszyscy wychodzili na brzeg i siadali skuleni otaczając kołem tego co najpierwéj wypłynął. W biednéj Kasi serce zastygło,

przyczaiła się biedna z przerażeniem do ogniska umierając nie ledwie od strachu.

Aż ów topielec co pierwszy wypłynął zapytał drugiego:

— Co tam bracie słychać u ciebie?

— A nic, odrzekł spytany, tylko znów jedna nam dusza przybyła. Chłop z nadrzecznéj wsi. Bieda i choroba weszły do chaty — zabrali mu ostatnią krowę za nieodrobioną pańszczyznę — naprzykrzyły mu się płacz żony i dzieci, co wołały chleba, tak też nie wiele myślący zawędrował do nas.

— A u ciebie co słychać pytał drugiego?

— A nic, tylko pod wieczór nowa nam dusza przybyła. Jakaś dziewczyna skoczyła w wodę z kamieniem u szyi.

I tak się pytał wszystkich z kolei, a wszyscy z kolei mu odpowiadali, kto się i gdzie utopił — gdy się rozpytał już wszystkich, to jeden po drugim zaczęli znikać w wodzie i został tylko ten, co najpierw wypłynął. Kasia nie ruszając się z miejsca czekała przy ogniu. Topielec podniósł głowę, obejrzał się w koło, a zobaczywszy dziewczynę, cały trzęsący zaczął się zbliżać ku ogniowi. Nowy okropniejszy przestrach ogarnął dziewczynę, kiedy ujrzała topielca tuż naprzeciw siebie skulonego przy ogniu; zdawało się wtedy biednéj, że mróz ziębił jéj całe ciało. — Topielec wlepił w Kasię swoje zielone przezroczyste jak szkło oczy, których samo spojrzenie jakby lodem mroziło.

— Czy pozwolisz mi się ugrzać dziewczyno? zapytał się trzęsąc i dzwoniąc zębami.

— O czemu nie, odpowiedziała Kasia dobywając całéj odwagi.

I topielec wyciągnął do ognia sine swe ręce z długiemi paznogciami, patrzał wciąż w dziewczynę i nic

nie mówił, jakby się chciał przekonać czy ma dosyć odwagi.

— A nie chciałabyś ty iść w służbę dziewczyno? zapytał po chwili.

— Czemu nie — byle miejsce było dobre, powiedziała Kasia.

— A to chodź do mnie na służbę; roboty nie będziesz miała wiela, a żyć sobie będziesz jak pani, w pałacu moim korali, pereł, sukien i wszystkiego co tylko zechcesz dostaniesz.

— Jeślić doprawdy takie tam dobre u was miejsce to i przystanę na tę służbę.

— I pójdziesz ze mną? spytał wstając Topielec.

— Pójdę.

— Zaraz?

— A zaraz.

Topielec wtedy chwycił Kasię za rękę, a ręka jego była zimna jak trupia i chłód mrożny wiał od niego. Nie była już pora lękać się i opierać, dziewczyna rada nie rada poszła z Topielcem. Gdy się zbliżyli do rzeki, fala rozstąpiła się przed niemi i Kasia czuła, że zstępuje coraz głębiéj i głębiej.— Wtem zatrzymał się Topielec — nagła jasność uderzyła w oczy dziewczynę. Ujrzała przed sobą, przecudny, wielki pałac cały kryształowy, z koralowemi drzwiami, błyszczący światłem jasnem, jakby niebo iskrzące gwiazdami w mrożną noc grudniową.

— To jest mieszkanie moje powiedział Topielec, wprowadzając do pałacu dziewczynę, a odrzwie koralowe same się przed niemi otworzyły. — W pałacu moim, mówił daléj, jest siedm pokoi, w sześciu będziesz codzień oprzątać, do siódmego wchodzić ci, ani zaglądnąć nie wolno bo byś sobie samochcąc największe sprowadziła nieszczęście, więcéj do roboty mieć nie będziesz, a wszystko co tu jest, do ciebie należy, jak się prze-

konam, żeś wierna i posłuszna, to cię bardziéj jeszcze wynagrodzę.

I zostawił dziewczynę samą, a w izbie stały krosna, w krosnach igła złota i srebrne nici. Kasia siadła do roboty smutna i niespokojna. Minęła jedna i druga niedziela, a jéj smutniéj a straszniéj i w rzewnym płaczu przy krosnach mówi sobie: już mnie nie oglądać domu i mateńki mojéj, ani miłego mego nie wyratować!

Razu jednego została jak zwykle sama w kryształowym dworze. — Topielec wyszedł na swoje zasadzki i nocne wyprawy. Kasia zaczęła zamiatać szklanne pokoje jeden po drugim, do szóstego wchodzi, a w szóstym pokoju były owe wielkie drzwi koralowe do których jéj Topielec zabronił się zbliżać. Już dawno ciekawość zdejmowała dziewczynę zajrzeć w zakazane miejsce, — tą razą podeszła ku drzwiom bliżéj; gdy nadstawiła ucha, zdało jéj się, że słyszy niby lekki szmer wiatru lub fali, albo taki jaki słychać w rojącym się pszczelnym ulu. Nie wiedzieć czemu serce jéj mocniéj bić zaczęło, i nagle coś ją tknęło, żeby drzwi otworzyć; zaledwie je ręką ruszyła, otworzyły się jakby same na oścież. Zalękniona dziewczyna ujrzała przed sobą otchłań przezroczystą, w którą z niskąd światło nie wchodziło — szum cichy wychodził z téj otchłani, jakby szmer ludzi cicho się skarżących. Bo też to były dusze biednych utopionych ludzi, które Topielec więził na samem dnie rzeki. Gdy się dziewczyna bardziéj w ten szum wsłuchała, to rozeznała wyraźnie słowa ludzkiéj skargi, które tak brzmiały:

Oj biedne duszyczki my na dnie,
Zimno nam, tęskno i łzawo,
Pod świętą, nie możem spać ziemią,
Krzyża nad sobą nie mamy,
Drżymy od zimna i płaczem,

Oj! gdyby rodzice, krewni
Wiedzieli kędy jesteśmy,
To by choć krzyżyk w powietrzu,
Zrobili ręką przyjazną,
Oj zimno nam, tęskno i łzawo,
Oj biedne duszyczki my na dnie.

Dziewczynie w strachu i zadziwieniu zdało się jakby w tych wszystkich, a przeróżnych głosach słyszała także i jęk swego Jasia, więc dłużéj wytrzymać nie mogąc zawołała wielkim głosem — Jasiu mój drogi! jedyny! Na takie serdeczne wołanie zaszumiało coś głośniéj w przezroczystéj otchłani i wyraźny choć stłumiony jęk Jasia doszedł do uszu dziewczyny. Nie wiedziała co począć sobie nieboga, aż przyszło jéj na myśl owe ziele dwojakie, co je miała od staréj Petryny.

Co tchu dobyła dwie zeschnięte gałązki i poszła w stronę, skąd ów jęk Jasia wychodził. Stały tam rzędem niby banie szklane przykryte perłowemi muszlami,— co się któréj bani dotknie zielem, to dusza uwięziona wydobywa się na wierzch i serdecznemi słowy dziękuje dziewczynie; aż z pod jednéj nie długo wychodzi i staje przed nią miły Jasio blady, drżący i ściska ją do piersi, a od wielkiéj radości ledwie mówić może. Nie można było czasu na te radowania się tracić — trza było duchem myśleć, aby się na świat boży z téj głębiny wydostać.

Wszystkie uwolnione duszyczki otoczyły Jasia i Kasię i jeszcze trzęsąc się od zimna wielkiego, pytają niebożęta, czy im Pan Bóg pozwoli powrócić do swoich.

Nie miejcie o to obawy powiedziała im Kasia, mam ja takie ziele, przed którem woda się rozstępuje sama. Poszła naprzód trzymając za rękę Jasia swego, za niemi dusze wszystkie długim orszakiem wyszły ze szklannego pałacu.— Kasia przeżegnała zielem na dwie strony fale

i zaczęli się wszyscy ku górze unosić; aż powoli niebo z jasnemi chmurami ukazywać im się zaczęło przez fale, i słonko błysnęło i brzeg nadrzeczny zajaśniał żółtym piaskiem, stare topole zaszumiały nad nimi jak zawsze. — Dym siwy z chat się podnosił — ludzie do pracy wychodzili na pole, a dzwonek kościelny na jutrznią dzwonił. Jaś z Kasią uklękli na świętéj ziemi dziękując Najświętszéj Pannie za takie cudowne zmiłowanie; potem trzymając się za ręce szli do wsi — a ludzie im się dziwowali witając i oczom własnym nie wierząc.

Za kilka dni ślub Kasi miał być w kościele; zeszli się ludzie z dalekich stron, aby zobaczyć młodych, i w dzień ślubu kościół był pełen. Już ksiądz stułą miał im wiązać ręce, aż dają znać, że woda na rzece nagle strasznie przybiera, jaki taki, pcha się do drzwi kościelnych, ale woda już pod samemi drzwiami. Ludzie krzyczą, ręce łamią i wołają ratunku, a woda rośnie, rośnie, wchodzi do kościoła drzwiami, oknami, podchodzi do ołtarza gdzie Jaś z Kasią klęczeli trzymając się za ręce, zalewa i ich oboje i wszystkich ludzi co w kościele byli.

Tak na dziewczynie zemścili się topielcy. Woda całą wieś zalała, znaku dziś niema gdzie stał kościół, tylko czasem w zielonym stawie słychać dzwony — a kiedy głos tych dzwonów posłyszą starzy ludzie, to mówią, że woda na Wiśle przybiera i że trzeba się lękać powodzi.

Dziewczyna skończyła swą powieść i powstawszy z siedzenia, zabierała się do odejścia. Chciałbym był ją zatrzymać i słuchać jeszcze i patrzeć dłużéj w tę postać prześliczną, która w chwili owéj, poetyczniejszą mi się wydała daleko od Szekspirowskiéj Mirandy.

— Czy na miejscu Kasi rzekłem do odchodzącéj poszłabyś była na dno wiślane do Topielców, aby utopionego wyratować.

Zamyśliła się trochę:

— Teraz Topielców nie ma: odpowiedziała mi z uśmiechem, wzięła za rękę małą Jagusię i lekko mi się skłoniwszy weszła na drożynę wiodącą do Brzozowego Dworku.

Nie śmiałem pójść za nią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Leon Kapliński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

KLASYCZNA TRAJEDYA.

Rasyn w przekładzie Wincentego Kopystyńskiego.

Lwów 1859 roku.

Może więcéj jak od trzydziestu lat nazwisko Rasyna zostające pod klątwą rzuconą przez romantyków, nigdzie się u nas po pismach nieśmiało pokazać. Jeżeli je czasem wspomniano, to nawiasowo, kiedy było doniesienie o jakim tryumfie teatralnym panny Rachel; jeżeli mu pozwalano ożyć w pamięci, to jak Piotrowinowi, o którymby niewiedziano bez cudu Świętego Biskupa.— Cud talentu Racheli wskrzesił Rasyna — przynajmniéj we Francyi, gdzie się ujęto za tą sponiewieraną wielkością, i postawiono znowu na piedestale z którego ją były zepchnęły szumne przedmowy kromweliczne.

Pokazało się że gwałtowne reakcye tak w polityce jak w literaturze bywają stanem przechodnym — że

zbytnie parcie w jeden punkt lub w jedną stronę, zużywa się i nuży, z czego ta korzyść, że w umysłach powstaje spokojna, głęboka refleksya, oparta na trwalszéj podstawie niż namiętność i szał; ona to zaprowadza porządek i osadza każdą rzecz na właściwem sobie miejscu.

Należało też pomyśleć i o nieszczęśliwym Rasynie ze wszystkiego wyzutym, żeby choć na pożytek żyjących, ale nie — na korzyść angielskiego traika! Że bożyszcza dzienne doznają podobnych względów lub gniewów opinii — łatwo się tłómaczy; lecz za cóż wielkości spoczywające w grobach od kilku wieków wywłóczyć i ucinać im głowy? Nielepiéj-że zmierzyć je i z ważyć, a tem samem rozwiązać pytanie: Co im dało ten wpływ, co ich robiło wielkiemi przez tyle set lat, wreszcie czy wartość ich była względną do czasu w którym żyli, czy też zostanie po wszystkie czasy wartością?

Kiedy w nowszych czasach zaczęto uważać literaturę w ścisłym stosunku z historyą — znalazła się sprawiedliwość i dla Rasyna. Wytłómaczono ówczesny stan wyobrażeń, stosunek poety do dworu Ludwika XIV, pokazano przymioty i piękności, które mu pozostaną, toż strony ujemne od których byłby się zapewne uwolnił nieżyjąc w okolicznościach, w których żył. Dzisiaj razi nas forma jego, zbyt sztuczna; razi brak akcyi, nudzi wielość słów choć pięknie powiedzianych — ale dla tego postawiony śród swoich ludzi i w swoim czasie, nieprzestaje być tak wielkim, jak wielkim był Ludwik XIV.

Mimo uszanowania jakie mam dla niepospolitych ludzi każdego narodu i epoki — niewiem zaprawdę czy kiedy budziła się we mnie żądza skruszenia kopii na cześć francuzkiéj trajedyi i jéj reprezentanta Rasyna.— Walczyć pod jego godłem nie było dziś przyczyny; nasza literatura przestała od dawna szukać w nim wzoru — i nie myślę o to robić jéj procesu; jak znowu niemiałbym za co przyklaskiwać że w pewnych momentach

krążyła koło niego jak ziemia około słońca. Literatura polska pragnąca dziś trzymać się o własnych siłach — zobojętniała dla Rasyna. Jednakowoż nie idzie zatem abyśmy przy danéj sposobności, niemieli potrzeby zastanowić się bliżéj nad przymiotami i naturą pisarza entuzyazmującego ojców naszych, mającego w świecie moralnym przyczynę bytu; zasługującego wreszcie zawsze być czytanym, choćby dla zrozumienia czem się różnimy od przeszłości, w czemeśmy postąpili, a w czem spadli.

Sposobność tę znalazłem w świeżo wydanym przekładzie *Celniejszych trajedyi Rasyna* przez Wincentego Kopystyńskiego.

Nazwisko tłómacza zmarłego od lat kilkunastu lubo nieznane w świecie piśmiennym, od razu zdobywa sobie wcale zaszczytne miejsce obok Morsztynów, Dmóchowskich, Osińskich, Mierów, Kruszyńskich — a nawet, więcéj powiem: tamci tłómaczyli po jednéj lub dwie trajedyi, kiedy Kopystyński przetłómaczył wszystkie, ma się rozumieć zasługujące na przekład; gdyż o *Tebaidę, Alexandra, Esterę* niemamy się co upominać. Krótko mówiąc literatura nasza wzbogaciła się jednym dobrym przekładem obcego autora.

Kto był Kopystyński? dowiadujemy się z przedmowy napisanéj z rzadką trafnością; z niéj to podaję szczegóły jego żywota.

Wincenty Kopystyński herbu Leliwa, urodził się we wsi Topolnicy pod Samborem r. 1763.— Uczył się pod Jezuitami, potem w szkołach zaprowadzonych przez rząd Austryacki; które skończywszy wstąpił do służby publicznéj w urzędzie komornika granicznego. Jedyny to był urząd obywatelski. Przez lat 8 do roku 1804 zostając w tym obowiązku, złożył go, szukając dla siebie pomyślniejszych widoków w gospodarstwie rolnem.

Zaszczycany przyjaźnią i względami możnych obywateli, którzy w nim cenili charakter i naukę, znalazł środki wzięcia obszernych dóbr w dzierżawę. Szczęście sprzyjało mu, a majątek szybko wrzastał przez wzorowo i spekulacyjnie prowadzone gospodarstwo na wielki rozmiar. Ożenił się najpierw z panną Trzcińską, a gdy ta zmarła, pojął powtórnie Annę hrabiankę Karśnicką. Z nabytkiem majątku rozszerzyło się koło interesów. Kopystyński sam kierował wszystkiem w rozległych dobrach będących jego własnością; znajomi dziwili się bystrości jego umysłu, i pojąć niemogli jak temu wystarczał. Gdy się dziwiono téj nadzwyczajnéj czynności, miał zwyczaj odpowiadać wierszem z Mitrydata:

„Razem wzsędzie potrzebna jest moja przytomność“.

Śród tych zajęć oddawał się literaturze w czasach kiedy jéj stan w Galicyi był najsmutniejszym. Wychodziło parę zapomnianych dziś pisemek peryodycznych, a książka wydana we Lwowie liczyła się do osobliwości. Była to epoka przedmickiewiczowska, żywiono się samemi tłómaczeniami. Dość było jedną trajedyą Kornela, Rasyna, Crebilona, lub Woltera przełożyć, aby osiąść na Parnasie. Kopystyński jak się pokazuje więcéj miał woli i energii niż jego współcześni, kiedy postanowił dokonać przekładu całego Rasyna — i dokonał go. W r. 1818 wygotował Andromakę, Atalię, Berenikę i Brytanika, późniéj Ifigenię, Fedrę i Mitrydata. Praca ta wymagająca starannéj pilności i mozolnéj ogłady, stoi daleko wyżéj niż te na pytel robione tłómaczenia jakiemi księgarze Warszawscy częstować zwykli publiczność. Jest to rodzaj spekulacyi, kiedy tu była miłość artysty, rozkochanie się w ulubionym Rasynie. Zaprzyjaźniony z Janem Nep. Kamieńskim, tłómaczem Szyllera, zasięgał rady jego w trudnościach. Obydwa musieli

się zagrzewać do tłómaczeń, utrzymywać w tem powołaniu sponiewieranem może przez jaką wątpliwą oryginalność. Wiersz Kamieńskiego zdaje się na tę myśl naprowadzać, gdy mówi:

Jeżeli wieszcze są narodu sławą,
Pierwsze zaszczytów zabierają stopnie;
Tłómacze równe do nich mają prawo
Że obce skarby niosą w dom pochopnie...

Bardzo słuszna uwaga; trzeba tylko żeby *skarby* te nie były sfuszerowane; inaczéj bowiem na liche tłómaczenia szkoda czasu i atłasu.

Autor wiadomości tej o Kopystyńskim wylicza następnie szereg tłómaczów Rasyna; z tych znaczniejsi: Stanisław Morsztyn, Trembecki, Węgierski, Wojciech Turski, Adam Rzyszczewski, Kruszyński, Wojciech Mier i Stanisław Jaszowski. W téj liczbie jednak niewidzimy dwóch najlepszych tłómaczów: jenerała Morawskiego i Fr. Salezego Dmochowskiego.

Przekłady Kopystyńskiego bywały przedstawiane na teatrze i tak: Fedrę grano w Warszawie roku 1822 — w tymże roku i następnym Fedra i Mitrydat pokazały się na scenie Lwowskiéj — lecz jedna tylko Fedra wyszła drukiem za życia tłómacza w r. 1825. Można przypuszczać że wtenczas miał zamiar cały przekład ogłosić — alić zdemoralizowany groźnem wystąpieniem romantyków, schował rękopis, przekazując go więcéj wyrozumiałéj przyszłości. Namowy i nalegania przyjaciół, aby wydawał przekład niezachwiały go w postanowieniu. Rozumiał ducha czasu i jako ojciec dbały o swą dziatwę, drżał o szorstkie przyjęcie w świecie opinii literackiéj, albo co gorsza obawiał się aby praca jego nieprzeszła bez zwrócenia na siebie niczyjéj uwagi.

Dodaje biograf, iż Kopystyński zostawał w ciągłych stosunkach z ludźmi uprawiającymi literaturę, należąc do różnych towarzystw naukowych jak krakowskie i warszawskie — czy je zasilał swemi pracami? niewiadomo. Wszakże przy fundowaniu zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie, złożył i on swoją ofiarę na ołtarzu dobra publicznego, zapisując 500 dukatów na powiększenie funduszu bibliotecznego, z tem zastrzeżeniem, że gdyby rząd krajowy miał fundusze biblioteki na inny użytek przeznaczyć, lub pod swoją administracyę odebrać — wówczas zapis jego zupełnie upada i przestaje obowiązywać sukcesorów i t d.

„Zacny ten mąż przez całe życie oddany pracy, nauce i cichym cnotom obywatelskim, godzien pozostać w pamięci ziomków“ — tak kończy biograf — podając datę jego śmierci zaszłéj we Lwowie d. 3go październik 1839 r.

Porównywając przekład Kopystyńskiego z tandetnemi tłómaczeniami klasyków zagranicznych w Niemczech, gdzie się pysznią tem że wszystkie lepsze płody literatur całego świata mają po niemiecku naszemu tłumaczowi każden przyzna wyższość sumiennéj pracy i talentu. Rzadkie znajdą się wiersze w którychby niebyło precyzyi, rzadkie zaniedbanie rymu, i wysłowienia—wszędzie widać że tłómacz usiłował tak przepolszczyć oryginał, aby nieznać było że to tłómaczenie. Czyta się też płynnie, czystością mowy wprawdzie niezawsze zwięzłéj i obrazującéj, lecz zawsze gładkiéj i przyzwoitéj pociągając ku sobie. Niesądźmy jednak żeby tłómaczyć Rasyna było tak łatwem zadaniem, jak się niejednemu zdaje; są tam cieniowania myśli, delikatności uczuć niezmiernie subtelne, w których oddaniu niemożna ani na włos przesadzić, bo się zrobi szum nadętości — ani na włos niedosadzić, co naraża na płaską prozę.

Trzeba mieć niezmiernie czułe ucho na takt przyzwoitości, aby nie powiedzieć czegoś, coby raziło, — jedno słowo psuje tu efekt najpatetyczniejszéj sceny. Smiano się z Rasyna że on nie tem błyszczy co mówi, tylko tem, że wie czego mówić nietrzeba. Jest w tem wiele prawdy; poezya z uniesieniem słuchana na wykwintnym dworze, niemogła być inną. Nieprzeszkadza to jednak żeby niebyło w Rasynowskich trajedyach scen pełnych namiętnego ognia — lecz w tych, jakaż powściągliwość słowa, jaki ton zachowany! Owe gromy teatralne, owe krzyki serca, bez których trajedya byłaby niemożebną, tak są u niego przygotowane z daleka, tak w chwili stanowczéj kontrastujące z tem co je otacza, że robią nierównie większe wrażenie na widzu, niżeli w nowszych sztukach mogą zrobić tortury, morderstwa, bitwy, otrucia i inne fizyczne gwałty. — Rasyn działa tylko na moralną stronę — kiedy romantycy chcą działać na nerwy i zmysły. Otóż w patetycznych zwykle bardzo trudnych scenach, jak mogłem tu i owdzie zauważać przekład Kopystyńskiego szczęśliwie pokonywa wszystkie trudności — i chyba zbytkiem wierności grzeszy — bo często mógłby sobie pozwolić silniejszych kolorów i treściwszéj mowy. Weźmy między innemi tę scenę gdzie Fedra płomienistemi rysami malując niepohamowaną szaloną miłość dla Hipolita zapomina w szale namiętnym o obowiązkach, dobréj sławie, a nawet o godności niewieściéj — Hipolit słucha wyznania, i ognistych wyrażeń nie bierze do siebie, ale je stósuje do swego ojca Tezeusza małżonka Fedry. Podaję ten ustęp jako próbę przekładu:

Fedra do Hipolita.

Książę! *pałam czułością!* Kocham Tezeusza!
Zajął mię.... o! nie taki, jaki w piekła wchodził,
Co lekkomyślny tylu łatwowiernych zwodził,

Co nawet boga zmarłych chciał znieważyć łoże...
Ale wierny, stateczny, nawet *dziki może*,
Wdzięczny, młody, co serca pociąga do siebie!
Jak nam malują bogów... lub jak widzę ciebie!
Miał twój głos, twoje oczy, twoją postać całą!
To szlachetne spłonienie w twarzy mu jaśniało,
Gdy przez morze do naszéj przeprawiał się Krety!
Godzien rozczulić córki Minosa... niestety!
Coś czynił wówczas? jaki powód mu przeszkadzał
Wziąść cię z sobą, gdy wybór rycerzy zgromadzał?
Czemużeś wtedy jeszcze niewszedł razem z niemi
W okręt, którym do naszéj przypłynęli ziemi?
Ty byłbyś zgubił tego kreteńskiego smoka,
Chociaż go okrywała jaskinia głęboka!
Od zbłądzenia w niéj byłbyś dla pewnéj obrony,
Nieszczęsną mojéj siostry nicią uzbrojony...
Lecz nie... jabym ci pierwéj w obronie stanęła!
Mnie to, mnie taką myślą miłośćby natchnęła!
Jabym to, ja o twoje życie pełna trwogi,
Przywiodła cię z obłędnéj labiryntu drogi!
Dla ciebie czułość jakich środków się niechwyci!
Mogłażby twa kochanka ufać jednéj nici?...
Abyś niebezpieczeństwa twoje dzielił zemną,
Byłabym nawet poszła w tę przepaść podziemną!
Fedra w niéj zasłaniając ciebie sama sobą
Lub byłaby zginęła, lub z niéj wyszła z tobą!

Hipolit.

O Bogi! co ja słyszę?... Fedra zapomina,
Że Tezeusz w niéj żonę, a we mnie ma syna...

Fedra.

Książę! zkądże ten wniosek o téj niepamięci?
Czyliż Fedra tak łatwo swą *chwałę poświęci?*

Hipolit.

Pani! daruj mi.... widzisz ile się rumienię,
Że śmiałem z tak niewinnych słów mieć podejrzenie...
Wstydzę się... wzroku twego znieść nie będę umiał...
Odchodzę...

Fedra.

Ach! okrutny! nadtoś mię zrozumiał!
Dość wyrzekłam, ażebyś niezostawał w błędzie...
Poznaj Fedrę! Szaleństwo jéj niech jawnem będzie!
Kocham!... niesądź że mimo takie zaślepienie,
Zdolnam sumieniu memu nakazać milczenie,
Że tę, która do straty zmysłów mię przywiodła,
Szaloną miłość, we mnie roznieca chęć podła....
Mściwości niebios przedmiot nieszczęśliwy widzisz!
Więcéj ja siebie, niżli ty mnie nienawidzisz!
Wzywam świadectwa bogów, *za których natchnieniem*
Cały ród mój tem samem goreje płomieniem!
Tych bogów co się chełpią okrutną ztąd chwałą,
Że się słabéj kobiety serce uwieść dało!
Ty sam wiesz... jest ci w świeżéj pamięci rzecz cała...
Niedość było unikać, — z krajum cię wygnała!
Chcąc zmyśloną ku tobie niechęcią się łudzić,
I aby ci się oprzeć — twą nienawiść wzbudzić.
Jakiżem owoc starań daremnych odniosła?
Mój płomień się niezmniejszył — twa nienawiść wzrosła
Twoje nieszczęścia *nowych wdzięków* ci przydały...
Mnie ogień trawił, oczy z łez nieosychały!
Byłbyś poznał i uczuł moje udręczenie,
Gdybyś mógł zwrócić we mnie choć jedno wejrzenie.
Co mówię!... to wyznanie, wyznanie niegodne!
Maszże za dobrowolne, z chęcią moją zgodne?

Drżąca nad losem syna, przyszłam błagać o to
Ażebyś raczył słuszny wzgląd mieć nad sierotą!
Próżnom tyle miłości chciała stłumić w sobie;
Z tobą mówić niemogłam jak tylko o tobie...
Mścij się!... tak podła miłość niech karę odbiera!
Ukarz mię słusznie godny synu bohatera!
Oczyść świat z tėj poczwary która gniew twój wzrusza...
Hipolita śmié kochać wdowa Tezeusza!
Ta poczwara niech twojėj zemsty nieuchodzi!
Tu serce!... ręka twoja niechaj tu ugodzi! i t. d.

Porównywając tę scenę z oryginałem popodkreślałem miejsca słabsze, czyli takie gdzie tłómacz wziął o parę tonów niżėj niż Rasyn: jak np. wiersz: *Szaloną miłość we mnie roznieca chęć podła*, niższa jest od francuzkiego: *Ma lâche complaisance ait nourri le poison* (de l'amour), albo: *I aby ci się oprzeć twą nienawiść wzbudzić* — o ileż dosadniėj w Rasynie: *Pour mieux te résister j'ai recherché ta haine.* Na tym języku tak wytwornym, tak wypracowanym, bo zastępującym akcyę, stoi cała trajedya francuzka. Dla tego przekład Rasyna zawsze będzie należał do wielkich trudności; Kopystyński umiał je pokonać, lecz w tak mozolnėj pracy niejedno lżėj puścił. — W tłómaczeniach autorów mniėj konwencyonalnych, nieuważałoby się na podobne usterki a więcėj pytałbym czy duch oryginału, jego koloryt, dykcya, jego odrębne cechy i charakter schwycony; dla tėj to przyczyny niemożna tak bardzo powstawać i na krytyków Księstwa Warszawskiego, że w utworach ówczesnych ścigali tylko źle ulane wiersze, niefortunne rymy, lub wyrażenia nieszlachetne. Właśnie na tem stała połowa poetyki francuzkiego klasycyzmu. Jeżeli taki Wolter co był wyrocznią Parnasu w przypisach swoich do Kornela śmiał skazać przynajmniėj dwie trzecie części wyrazów używanych w potocznėj mowie na wygnanie — za to że

nieszlachetne, cóż się dziwić późniejszym krytykom co za przykładem Woltera zastósowywali poetykę Rasyna w praktyce?

Dziwny, sprzeczny z prawdą życia ludzkiego system, podzielił to życie na dwie połowy: w jedną połowę zamknął heroizmy, katastrofy, zbrodnie — w drugą ułomności, śmieszności, dziwactwa, występki — i pierwsza dostała się w podziale trajedyi, druga komedyi. — Jak w etykiecie dworskiéj, była reguła ściśle przestrzegana w trajedyi żeby każdy człowiek był koniecznie poważnym i patetycznym — nigdy w niéj niewidziano ani głupca, ani skąpca, ani tchórza, ani żarłoka. Do téj powagi stósował się język — jeżeli na pokojach wersalskich cedzono i dobierano słówka — tem więcéj musiano je dobierać w trajedyi, w któréj największym grzechem było nazywać rzeczy po ich nazwisku. Zasada ta rozciągała się i daléj, bo nawet do wymowy kaznodziejskiéj. Bossuetowi wypadało powiedzieć mowę pogrzebową na śmierć Anny Gonzagi. Prowadziła ona żywot rozwiązły i bezbożny, gdy senne widzenie nawróciło ją na drogę cnoty. Otóż opowiedzenie tego snu nabawiło Bossueta niezmiernego kłopotu, bo do snu wchodziła kura z kurczętami; a nazwać kurę w obec dworu — to nieprzebaczona śmiałość! Kaznodzieja rad nierad musi wykrztusić zabijający wyraz — cóż więc robi? Z daleka, ostrożnie przygotowuje się, obchodzi, winę zwala na Pana Boga „który prawdy swoje ogłasza w taki sposób i pod taką figurą jaka mu się podoba", poczem dopiero zaczyna sen opowiadać: „W tem pokazuje się jéj.....!" tu znowu uciął — Pan Bóg, to jeszcze niedostateczna dlań powaga; gdy szczęściem przypomina sobie że w Ewanielii Chrystus porównał się do kury... Wzywa więc tego argumentu i mówi: „W tem pokazuje się jéj to, czem Jezus Chrystus niewzgardził chcąc nam dać obraz swojéj czułości — pokazuje się jéj *kura*..."

Przytoczyłem umyślnie tę anegdotę, bo ona maluj pod jakiem jarzmem dworskiéj etykiety stali wszyscy, stał i Rasyn poeta obdarzony talentem. Powie kto, czemuż pchał się do dworu? czemu niepisał wolny od tych wpływów? — Zapewne, ale wielkie pytanie, czy dzieła jego zyskałyby jakąkolwiek wziętość; czy kiedykolwiek dostałyby się na deski teatrów? Utwory jego możeby potomność oceniła godnie — ale współczesność przenikniona na wskróś wyobrażeniami dworu, niepoznałaby się na nich — a któryż poeta mógłby wytrwać bez współudziału żyjących? Obojętność zabiłaby w nim wiarę w samego siebie.

Z dworu tylko, ze stopni tronu wychodził wszelki ruch umysłowy; z tego też miejsca patrzeć trzeba na Rasyna aby niepopełnić niesprawiedliwości w sądzie o nim. Człowiek który wyrzekł: *L' Etat c' est moi*, mógł również powiedzieć: literatura, sztuki piękne, zgoła myśl mojéj epoki — to ja jestem. Niemyślmy wszakże żeby oświata i kultura ówczesna zupełnie się wyzuła ze swojéj samodzielności na karb smaku i osobistych opinij panującego; o tak oryentalny despotyzm niemożna obwiniać ani Francuzów ani Ludwika XIV; pojmować tylko trzeba w ten sposób, że w owym królu, w jego świetnéj osobie, najwybitniéj skupiały się opinie, gusta, pragnienia i dążności owego czasu. Była to w pewnym względzie uzurpacya, ale taka, jaka się wyższości należy. Ludwik dusza dworu, umié natchnąć urokiem i dowcipem kobiety, męztwem i grzecznością ludzi rycerskich, emulacyą, a prawie jeniuszem artystów. Dworacy żyją i umierają w promieniach jego spojrzenia.

Pod takim panem jakaż mogła być literatura?

Przyznawszy że utwory ówczesnego piśmiennictwa są tylko odblaskiem wykwintnych obyczajów wersalskiego dworu, gdybyśmy nic nadto przyznać nie chcieli — natenczas byłby to przedmiot godny ciekawości historyka

i nic więcéj; podobnie jak owa poezya trubadurów zatrudniająca dziś filologów i archeologów — a najmniéj poetów, bo ci nieznajdą żadnego dla siebie pożywienia w tych oklepanych myślach dzierzganych najdzikszemi kombinacyami i igraszkami rymów. — Myliłby się ktoby do tego poziomu chciał sprowadzić literaturę wieku Ludwika czternastego. Przeciwnicy rzucając na nią pioruny, zapomnieli, że dwa potężne wpływy wykołysały ją na olbrzyma, który przez parę wieków dawał ton całemu światu. Pierwszym z tych wpływów było chrześciaństwo, które wsiąknąwszy w naród w wiekach średnich, pozostawiło w umysłach skłonności, nawyknienia, zgoła całą sferę wyobrażeń. Człowiek zaczynał żyć nie samem zewnętrznem, ale głównie wewnętrznem życiem — badał się, roztrząsał, dochodził przyczyn namiętnych porywów; słowem, czując nad sobą oko sprawiedliwości Bożéj, robił ścisły ze sobą rachunek.

Ztąd to widzimy, szczególniéj w Rasynie, ogromną znajomość poruszeń namiętnych, subtelną i głęboką analizę serca; ową uczuciowość i tkliwość ciągle tłumione, a właśnie dla tego tak potężnie, tak burzliwie wyrywające się. Proszę mi w nowszych płodach czy w dramatach czy w romansach pokazać choćby jedno nowe motywum szczególniéj z rubryki miłości, któreby się nieznalazło w Rasynie, ujęte i wydane w tych delikatnych sytuacyach zamkniętych u niego w niedostrzeżonym geście, w podniesionym lub stłumionym głosie? Dziś nic więcéj niezrobiono, mimo hałaśliwych przechwałek, tylko że co u Rasyna więziło się w słowie, w pompatycznie utrefionym aleksandrynie — teraz wyraża się przez akcyę, częstokroć tak nędzną, że mimo pretensyi do Szekspiryzmu, nieobstoi za parę pięknych wierszy klasycznéj trajedyi...

Drugi rodzaj wpływu szedł od starożytności grecko-rzymskiéj. — Mylnie obwiniano wiek Ludwika XIV, że

starożytnych niewolniczo naśladował — przeciwnie był to grzech szesnastego, a nie siedmnastego wieku — ostatni ten wziął tylko ze starożytności co mu potrzeba było do wejścia na tor wielkich tradycyj; trzeba mu było parnaskiego kodeksu i wziął: zdrowy rozsądek, czysty smak, harmonię i jedność w całości. Zastanowiwszy się spokojnym umysłem nad całą tą literaturą, znajdziesz tam naturalność, trafność i dobór cząstek składowych szczelnie spojonych — jest to spuścizna po Grekach i Rzymianach. Prąd religijny, wonny, rozgrzewający, tchnie z tych utworów, a poznasz że w sercu poety ma źródło, i nie jest skutkiem refleksyi. — Jedną jeszcze pozwolę sobie uwagę dla tych, co pomiatali Rasynem. Kto go czyta z uwagą choć może uczuje dziś nudę, bośmy do innéj strawy przywykli — przekona się że tak Kornel jak on, zarówno szukają źródła swéj potęgi natchnień w naturze moralnéj. Uważajmy jak ich mało obchodzi widok zewnętrznego świata, ruch materyalny na scenie, i ten koloryt jakiego dostarcza historya. Ich obrazy nie są portretami, lecz typami; są to pomysły co z ich rąk dostały ciało i rysy. Trajedya Rasynowska niewciąga w siebie żywiołów szorstkiéj rzeczywistości aby je przerobić na ideał; lecz przeciwnie chwyta myśl w zarodku i rozgrzewa ją dopóty pod sercem, dopóki niezadrga życiem. Zapewne z téj zasady wyrodziła się forma dla naszych czasów za nudna, wyrodziły się niepodobieństwa sceniczne — ale sama treść, jądro rzeczy, godne poszanowania — zwłaszcza w epoce jak nasza co tak się zżyma na materyalizm, a pozwoliła materyalizmowi wygodnie rozpierać się w literaturze.

Lucyan Siemieński.

WOJNY LOKALIZOWANE.

Pokój zawarty w Villafranca zakończył wojnę prowadzoną we Włoszech z wielkiem natężeniem i niezwykłą zaciętością. Nadspodziewanie wojna trwała tylko dwa miesiące; pokój stanął nagle i w chwili gdy największe były obawy, że walka nierównie rozleglejsze przybierze rozmiary.

Europa niechciała wojny. Pierwszą jéj oznakę wyszłą z pałacu tuileryjskiego w dzień Nowego Roku przyjęła z wielkiem nieukontentowaniem, które wkrótce przemieniło się w obawę na widok sporu wojną zagrażającego, a nakoniec w trwogę gdy wojna stawała się nieuchronną.

Niechęć owa i wstręt od wojny zdawały się rokować, że koniec jéj wywoła w Europie powszechne zadowolnienie. Pokój zaskoczył Europę nagle i niespodziewanie, to pewna, ale czyż mogą być życzenia zaspokojone zbyt nagle? Niespodzianka odpowiadająca życzeniom podwaja zwykle ukontentowanie i zamienia je w radość.

Tymczasem inaczéj się stało. Pokój zawarty w Villafranca nietylko nie obudził radości, ale ta sama Europa co przed parą miesiącami tak stanowczo nie chciała wojny i uważała ją za klęskę społeczną, przyjmuje dzisiaj pokój z obojętnością bliższą nierównie nieukontentowania aniżeli zadowolenia.

I nie mówi się tu tylko o samych rządach. W sferach rządowych sprzeczność ta łatwiéj pogodzić się daje. Tłómaczyć ją mogą różne polityczne względy. Zawarty pokój może nieodpowiadać w zupełności polityce żadnego państwa. Zawierano nieraz pokój aby większego uniknąć złego. Brak udziału w ciągu wojny, brak wpływu podczas zawarcia pokoju, mogą być także źródłem nieukontentowania gabinetów. Kombinacye polityczne, nowe sprawy i kwestye, wreszcie bliższe lub dalsze przymierza, które każdy pokój przynieść może z sobą w zawiązku, wystarczają, aby pojąć, czemu rządy przeciwne wojnie, niezadowolnione są pokojem który ją ukończył.

Ależ opinia powszechna, która jak niedawno popierała gabinety w usiłowaniach aby powstrzymać zbliżającą się wojnę, tak dziś znów wtóruje im w nieukontentowaniu na widok zawartego pokoju. Oświadczała się wręcz przeciw dwom monarchom z których jednego obwiniała o wywołanie wojny, drugiego o jéj wydanie, a teraz znów wyraźną objawia niechęć przeciw tym samym monarchom za to że zawarli pokój. Zwłaszcza też we Francyi szczególny ten zwrot w opinii publicznéj wydatnie się przedstawia. Cesarz Francuzów znajdował się w walce z opinią gdy się starał ją nakłonić a przynajmniéj przygotować do wojny; dziś znajduje się znowu w walce równie uporczywéj, skoro wojnę ukończył i pokój zawarł.

Zdając sprawę z téj *walki z opinią* na tem miejscu w miesiącu lutym, a zatem dwa miesiące przed rozpo-

częciem kroków nieprzyjacielskich, podanem zostało za konkluzyę, że „walka się ciągnie i nie zakończy się „podobno z żadnéj strony zwycięztwem. Cesarz Napo- „leon nie ulegnie przed opinią, ale też nie podbije owéj „*szóstéj potęgi*; uspokoi ją może w końcu, ale jéj nie „zaspokoi. Wypowiedzieć myśli swojéj aż do dna nie „może. Inicyatywa tego co na dnie myśli napoleońskiéj „spoczywa, nie może wyjść od Bonapartego“....

Wypadki usprawiedliwiły po wielkiéj części to zdanie. Okoliczności posłużyły bardzo Cesarzowi Francuzów. Wojna nie przez niego wydaną została. Honor Francyi nie pozwalał opuszczać sprzymierzeńca i opinia publiczna uległa niejako przed koniecznością wojny. Stawiała ona głównie opozycyę dlatego, iż rzeczywisty przedmiot wojny, jako i cel ofiary któréj wojna wymagała, nie był wyraźnie wskazany. Opinia publiczna we Francyi nie wiedziała o co chodzi. Zaradził temu Napoleon III rzucając w proklamacyi swojéj jakoby programat stanowczy a przecież elastyczny, wyraźny i śmiały, a przecież od kierunku polityki obcego państwa zawisły, dostępny dla wszystkich umysłów i zrozumiały dla opinii publicznéj, a przecież różnie tłómaczyć się dający, programat będący w kolei którą zawsze Francya po każdéj rewolucyi iść chciała, a który przecież wykluczał rewolucyjnego ducha, słowem programat którego bezinteresowność i niezwykłą w polityce wspaniałomyślność ograniczał w myśli cesarskiéj: interes Francyi i skierowanie do dalszych zamiarów. Takie to cechy nosi ów znany ustęp z proklamacyi Cesarza Francuzów z d. 3go maja: „Piemont przyjął warunki mające zapewnić pokój, jakiż więc pytają się wszyscy może być „powód tego nagłego wtargnięcia? Oto, że Austrya do- „prowadza rzeczy do téj ostateczności, iż albo panować „musi po Alpy, albo Włochy wolnymi być muszą po „Adryatyk; każda bowiem niepodległa piędź ziemi w tym

„kraju zagraża jéj władzy“. Opinia niezważała bynajmniéj na ciąg rozumowania w tym okresie; nie zważała na to że jeżeli wyrażenia te służyć mają za programat, to programat postawiony jest przez politykę austryacką w tem znaczeniu jakie wojnie téj przez Austryę zaczętéj daje Cesarz Francuzów; że zatem skoroby polityka Austryi się zmieniła, skoroby „nie podległa piędź ziemi we Włoszech przestała zagrażać jéj władzy“, zmieniłby się także programat polityką tą zdaniem Napoleona IIIgo wytknięty — słowem, opinia we Francyi pochwyciła tylko wyrazy „Włochy muszą być wolne po Adryatyk“, i w tem widząc programat wojny, któréj zresztą już wiedziała że uniknąć nie może, przypomniała sobie, że po każdéj rewolucyi marzyła o niepodległości innych narodów, i pożegnała Cesarza okrzykami wróżącemi powodzenie i zwycięztwo.....

Tak się skończyła walka z opinią przed wojną. Cesarz Francuzów dopiął swego celu; lubo nie było z żadnéj strony zupełnego zwycięztwa. Nie podbił *szóstej potęgi* ale też jéj nie uległ. Korzystając po mistrzowsku z okoliczności na których sprowadzenie wpływał nielada jako polityk, przekonał wreszcie opinię, że honor Francyi wymaga podjęcia wojny, a zostawiając jéj programat wspaniały i olbrzymi, łechcący chełpliwość charakteru narodowego, który sobie ona sama postawiła raczéj aniżeli on go ogłosił, uspokoił ją w końcu jeżeli nie zaspokoił. Francya nie cieszyła się z wojny we Włoszech, ale z szlachetną rezygnacyą na nią przystała.

Skądże więc to powszechne nieukontentowanie dziś gdy się wojna skończyła? Czemu pokój zawarty w Villafranca wywołuje niezadowolenie opinii we Francyi z którem znów walczyć musi Napoleon III? Cesarz przyrzekł że wojna będzie krótką i słowa dotrzymał. Wszak nie brakło na zwycięztwach, wojsko okryło się sławą, jeniusz wojenny Francyi nowe do dawnych dorzucił

wawrzyny. Pomoc Francyi przyniosła Włochom bardzo wyraźne korzyści: Piemont powiększył swoje terytoryum a nowa organizacya zapowiedziana na całym półwyspie. Zdawaćby się mogło, że nic nie brakowało w krótkiéj téj a świetnéj wyprawie, co tylko schlebiać może duchowi rycerskiego narodu i głaskać jego dumę. A jednakowoż opinia publiczna nie jest zaspokojona, bo nie widzi zupełnego wykonania programatu. Nie ma ona bynajmniéj na to względu, że programat ten był raczéj jéj własnym niż cesarskim, że za taki uważała go Europa skoro w żadnym parlamencie, w żadnym gabinecie nie wystąpiono ani za nim ani przeciw. Nie brano więc wyrażenia Cesarza Francuzów w tem absolutnem znaczeniu w jakiem je brała opinia publicza. Nie zmuszono nigdzie Napoleona IIIgo do wypowiedzenia swéj myśli. Posłużyło mu to do skłonienia opinii ku wojnie, ale milczenia tego tłómaczyć już dziś nie wypada. To też przyznaje się do ustąpienia części programatu, dodając na usprawiedliwienie swoje że wymagał tego interes Francyi. Lecz opinia widziała tylko, że honor Francyi wymagał wojny, interesu Francyi nie upatrywała w niéj nigdy. Na nic się nie przyda przedstawiać, że zwycięzca pod Solferino, jako Cesarz Francuzów pilnie baczył, aby nie zwichnąć polityki tradycyonalnéj francuzkiéj tak w Niemczech jak we Włoszech, że jak z jednéj srony nie mógł obojętnie patrzeć na tworzącą się jedność Niemiec, tak z drugiéj strony nie mógł przykładać ręki do tworzenia we Włoszech północnych jednego ogromnego państwa, rozciągającego się od morza Środziemnego do Adryatyku, zagarniającego przewagą swą cały prawie półwysep, a konstytucyjnego, przeciwnego więc raczéj wpływowi rządu cesarskiego aniżeli przychylnego. Na nic się nie przyda dowodzić, że temi niebezpieczeństwy zagrażała koalicya i rewolucya, nieodstępne towarzyszki dalszéj wojny we Włoszech, że

aby rewolucya nie wystąpiła z koryta w jakie ją wprowadził Cesarz Francuzów, wypadało koniecznie zmienić kolej którą postępowała wraz z wojną, trzeba było więc wojnę zaprzestać; że papieztwa nie można było narażać daléj na szwank, na jaki ją wystawiała polityka wojenna, bez wywołania oburzenia we Francyi, bez obrażenia uczucia jéj katolickiego z którem każdy panujący w tym kraju rachować się musi. Na nic wreszcie nie przydałoby się przypominać, że Cesarz Francuzów jako Bonaparte, nie znajdował za stosowne wystawiać Francyę na te wszystkie niebezpieczeństwa, poświęcić sto tysięcy dzielnych żołnierzy i sto milionów ze skarbu swych poddanych, aby poprawiać stryja swego w traktacie Campo Formio, tem więcéj, iż mu się zdawać mogło że warunkami jakie w Villafranca otrzymał zaspokoi programat tak jak on go rozumiał.

Inaczéj bowiem rozumiała go opinia publiczna. Kieruje się ona uczuciem a nie rozumowaniem. Głęboka i przebiegła polityka mało na niéj sprawia wrażenia. Interes Francyi upatrywała ona w zadośćuczynieniu godności która wymagała wojny i w dopięciu celu który jéj zamierzyła. Cel według niéj nie dopięty, przeto interes niezaspokojony. Cesarzowi szło o zasadę, opinii o rzecz. Zmienić to przekonanie opinii publicznéj nie łatwo; bo nie łatwo rzucić słowo jak przed wojną któreby przychylny nadało kierunek. Była może myśl w postępowaniu Cesarza Francuzów, którą gdyby opinia znała, przyjęłaby przychylnie zawarty pokój. Ale to co na dnie myśli napoleońskiéj spoczywa, w tajemnicy zachowa Bonaparte, chociażby niewiedzieć jak długo z opinią walczyć przyszło.

Wszakże przyczyny nieukontentowania z jakiem przyjęto pokój z Villafranca, muszą być ogólne, bo symptomata niezadowolnienia widoczne były nietylko we Francyi ale i w całéj Europie. Opinia publiczna we Francyi

utrzymuje że doznała zawodu w wykonaniu programatu, ależ opinia europejska nie stawiała takowego? A przecież niezadowolniona Anglia, która najgoręcéj wojnie się sprzeciwiała, nieukontentowane Niemcy, których pokój o ile się zdaje od ciężkich ofiar uwolnił... Czemuż to przypisać, jeżeli nie zawiedzionéj owéj nadziei jaką cała Europa się żywiła, że skoro już wojna wybuchła, ukończy się stanowczo sprawa, która ją niepokoiła, zakłócała pokój od czasu do czasu i przeszkadzała w używaniu spokojnem i trwałem korzyści, jakie sobie zawsze obiecuje po *statu quo* w którem zostaje.

Dawniéj o co szło w każdéj wojnie? Oto aby rozstrzygnąć spór, rozwiązać sprawę, która się innym sposobem ukończyć nie dała. Gdy się zgodzić nie można było, odwoływano się do siły oręża. Był to sąd Boży średnich wieków, *ultima ratio regum* późniéj.

Teraz, i to od bardzo niedawnego czasu, skoro tylko spór wywoła wojnę, wszelkie usiłowania zwracają się ku temu aby ją w pewnych określić granicach. Celem jéj aby ich nie przeszła. Spór który ją wywołał staje się niejako celem podrzędnym. Sprawa, o którą chodzi ukończy się lub nie; posunie się w rozwiązaniu o tyle, o ile na to pozwolą granice w jakich wojna utrzymać się musi. Wszelkie polityczne zabiegi a nawet strategiczne ruchy skierowane są do tego aby zakreślonych rozmiarów nie przekroczyła. Trwa, dopóki w owem czarodziejskim kole utrzymać się zdoła; skoro to staje się niepodobnem, zamyka ją pokój. Pokój musi więc być niespodzianką dla tych co sprawę jedynie mają na oku co w niéj upatrują cel wojny, a nie zaś w zakreślonych jéj naprzód granicach.

Jest to wojna lokalizowana. Takiéj wojny w przeciągu lat pięciu dwa Europa miała przykłady: wojnę krymską i wojnę włoską.

W pierwszéj zależało Rosyi wiele na lokalizacyi wojny, a zdaje się po części i Austryi. Zajęciem Księstw Naddunajskich zmusiła Austrya wojska sprzymierzone do zlokalizowania wojny w Krymie. Oblężenie Sebastopola nie było oblężeniem tylko, nie było nawet kampanią, było wojną zakreśloną w granicach naprzód wytkniętych. Po upadku Sebastopola, wojna rozszerzyć się musiała. Kwestya wschodnia nie została rozwiązaną zdobyciem południowéj strony Sebastopola, ale wojna naturalnym trybem rzeczy przenosiła się na inne pole—przestawała być lokalizowaną. Austrya przesłała wtedy *ultimatum* do Petersburga; Rosya przyjęła warunki — stanął pokój.

W drugiéj wojnie to jest włoskiéj, Francya lokalizowała wojnę. Granicą z góry wytkniętą było terytoryum niemieckie związkowe. Zdaje się jakoby od samego początku rzekł był Cesarz do wojny: daléj nie pójdziesz. Bitwa pod Solferino nie rozwiązywała bynajmniéj sporu który się stał powodem do wojny, ale stawiała Francyę w niemożności prowadzenia daléj wojny w zakreślonych granicach. Wojna przestawała być lokalizowaną. Francya zażądała zawieszenia broni — stanął pokój w Villafranca.

Lokalizacya ma niezawodnie wielką w tem zaletę że niedozwala wojnie przybrać wielkich rozmiarów, i jak w obecnem położeniu Europy przemienić się w wojnę powszechną. Ale z drugiéj strony wielka z niéj wypływa niekorzyść, bo zamiast ukończenia sprawy dla któréj wojna przedsięwzięta, wyradza nowe a dawne zostawia w zawieszeniu. Łatwo się przekonać o tem w obu powyższych przypadkach.

Przed wojną krymską tłem sprawy wschodniéj była przewaga Rosyi, jéj protektorat nad Księstwami który rozszerzyć chciała nad wszystkiemi poddanymi W. Porty wyznania greckiego. Na to niechciała i niemogła zezwolić Europa. Ztąd wojna. Po wojnie krymskiéj istnieje

zawsze obawa przewagi rosyjskiéj, i spać nie pozwala mężom stanu angielskim, a nadto w sprawie wschodniéj męczy się Europa z kwestyami Księstw Naddunajskich, żeglugi na Dunaju, *hattihumajonu* czyli chrześcian tureckich która jak miecz Damoklesa, dziś na nierównie cieńszym jeszcze włosku niż dawniéj zawieszoną jest nad głową dyplomacyi enropejskiéj.

Któż nie widzi, że po wojnie włoskiéj trudniejszem jest nierównie do rozwiązania zadanie niż przedtem? Dosyć okiem rzucić na punkta przedugodne w Villafranca podpisane. Ileż to zawikłań w pierwszym zaraz punkcie, w owéj konfederacyi włoskiéj pod przewodnictwem honorowem Ojca Śgo?.....

Jeżeli wojna nie rozstrzygnie sprawy o którą się toczy, utrudnić musi jéj rozwiązanie, bo niweczy ostatni sposób w ręku ludzi będący. Rzuca na szalę negocyacyi mnóstwo ofiar, poświęceń które żądają aby niepozostały bezowocnemi. Wojny więc lokalizowane tak jak się dotąd przedstawiają, są prawdziwem niebezpieczeństwem społecznem, bo tylko wojennym a zatem morderczym i kosztownym sposobem utrzymania *statu quo*.

Niebezpieczeństwo to powiększa się jeszcze, jeżeli się zwróci uwagę na następstwa takowych wojen. Zostawiają one za sobą dostateczny materyał do zapalenia nowéj wojny, co większa nawet, powiedziećby można, że nową wojnę gotują, wojnę lokalizowaną, ale zawsze wojnę. Czy zaprzeczy kto dzisiaj, że wojna krymska przygotowała wojnę włoską? czy zapewni kto śmiało, że wojna włoska nieprzygotowała znów innéj? Ileż to już wojennych kombinacyj czytać można było od dwóch tygodni jak stanął pokój w Villafranca!... Jeżeliby tak cała Europa przejść miała przez wojny zlokalizowane, bez żadnéj w końcu dla społeczeństwa korzyści, niebyłożby to prawdziwą klęską? Zresztą czyby taki szereg zlokalizowanych wojen mniejszem był dla Europy nie-

szczęściem niż wojna powszechna?.... Wojny lokalizowane pochłaniają wiele ludzi i pieniędzy. Gdyby zebrać cyfry, obrachować ile kosztowały same tylko dwie te wojny lokalizowane, krymska i włoska, możeby się już okazało, że wojna nielokalizowana, choćby nawet jak ją nazywają powszechna, nie przyniosłaby większych klęsk dla ludzkości.

Nie idzie za tem, aby ta ostatnia lepsze dla spółeczeństwa przynieść miała rezultaty. Uwagi powyższe miały jedynie na celu wskazać, że cywilizacya nie ma przyczyny chełpienia się, jak to czyni, lokalizacyą wojny. Każda wojna jest złem, lecz skoro już być musi, byłoby do życzenia aby przyczyna złego usuniętą została i nie mogła się odradzać w następstwach. Skoro się zawiąże węzeł gordyjski w ten sposób, że go tylko żelazo rozciąć może, lepiéj przeciąć go od razu, aniżeli w połowie rozciętym a w połowie zawiązanym zostawić. Jeżeli ma być wojna, życzeniem ogólnem być musi aby była skuteczną.

Tego zdania jest widocznie opinia publiczna w Europie, skoro z taką obojętnością przyjęła wiadomość o skończeniu wojen krymskiéj i włoskiéj. Opinia europejska, ta w któréj ruch giełdowy tak wielką odgrywa rolę, uważa niektóre kwestye jakby bóle reumatyczne w dość dobrze utrzymanym zresztą organizmie. Nie znajduje ona potrzeby na nie się leczyć, i nie rozpoczęłaby nigdy osobnéj kuracyi. Lecz jeżeli już koniecznie leczyć się przyjdzie, pragnie aby kuracya była skuteczna, i bóle więcéj się nie wracały. Wojny lokalizowane o ile dotąd sądzić można nie są taką radykalną kuracyą. Może być obawa, aby ich często powtarzać nie przyszło jak podróży do kąpiel.

Prawdziwy cywilizacyjny postęp nie zależy na tem, aby pożarowi jak to mówią niedać się rozwinąć i w najciaśniejszym utrzymać go zakresie, ale na tem aby po-

żar był jak najrzadszym, aby usunąć przyczyny z jakich się wszczyna. Wojny lokalizowane nie są bynajmniéj krokiem do wieczystego pokoju. Wojny były i będą — bo ludzie są i będą ludźmi. Cywilizacya prawdziwa nie zależy na tem aby wojnę ograniczać, lecz aby wojny nie dopuścić, aby spółeczność tak była uorganizowaną żeby do wojny coraz mniéj znachodziła powodów. Nie o to idzie ludzkości, aby wojny nigdy nie było, ale o to, aby gdy wojny niema, rzeczywiście był pokój. Do tego nieprowadzi wojna lokalizowana. Skoro już jest wojna, niechże będzie wojną po prostu, wojną kończącą sprawę, dającą pokój bez owych obaw, niespokojności i niepewności, które towarzyszyły pokojowi z wojny lokalizowanéj w r. 1856 wynikłemu.

Kończąc dodać należy, że mówi się tu tylko o wrażeniach w opinii europejskiéj odbijających się, a nie o samym pokoju w Villafranca zawartym. O tym nic jeszcze powiedzieć nie można: znane są bowiem tylko przedugodne punkta. Sam traktat zaspokoi może Europę, i zapewni jéj na długo ów pokój trwały i szczery, za którym od lat tylu na próżno wzdycha.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lipcu.

Ile razy zabieram się do pisania Kroniki krakowskiéj, tylekroć zadaję sobie pytanie: o czem tu pisać? I zaiste, nie łatwa na to odpowiedź, skoro ściśle trzymać się należy przedmiotów i spraw krakowskich, niewybiegając ani w zakres życia publicznego, ani nie wchodząc w głąb domowych stosunków. Co do życia publicznego, rzadko znaleśćby można miasto a nawet miasteczko najlichsze, gdzieby tak słabo to życie się przedstawiało. Miasto nasze jest zbiorem jednostek, atomów, ale nie jest jak być powinno społeczeństwem. Ani instytucyj ani ducha publicznego. W każdym też danym razie skoro wypadnie dać znać o sobie jakimkolwiek aktem, niemasz najmniejszéj spojności, żadnego węzła między mieszkańcami jego, bądź to korporacyjnego bądź sympatycznego. Każdy więc o własnéj stać musi sile i w miarę téj siły opiera się natarczywości wichrów lub miotany bywa nawet za najsłabszym powiewem, podobny do chorągiewki na wieży. W każdem niemal mieście znajdzie jednego lub dwóch ludzi, którychby można poczytać za jego wyobrazicieli. W nich łączą się i szacunek powszechny i zaufanie i główne cechy charakteru miejscowego mie-

szkańców; w Krakowie nikomu jeszcze na myśl nie przyszło sięgać po taki honorowy urząd obywatelski, a to nie dla tego, iżby u nas miało być mniéj ludzi uczciwych niż gdzieindziéj, a nawet mniéj ludzi rozumnych, lecz że z taką godnością wiążą się obowiązki i ciężary, a przed niemi, każdy się chroni jak może, chroni się i taki nawet, którego stanowisko i środki nie wymagają po nim, aby obowiązki i ciężary dostąpić musiały wysokości poświęcenia.

To co się mówi o pojedynczem mieście, stosować się może i do całego kraju w rozciąglejszem znaczeniu i sferze. Gdyby nas przeto zaskoczyły instytucye czy to gminne czy krajowe pewną autonomię nadające, bylibyśmy za prawdę w niemałym kłopocie co do osób na które zaufanie nasze zlać by się miało.

Nie wypływa ztąd bynajmniéj, abyśmy się sprawami publicznemi zajmować nie lubili. Owszem, każdy z nas jest jakoby urodzonym politykiem, co więcéj, dyplomatą. Lecz politykę tę na wielką prowadzić tylko umiemy skalę — po europejsku. Takiemi drobnostkami jak sprawy miejskie, powiatowe, lub nawet krajowe, zajmujem się niechętnie: ministrem radby z nas być każdy, wójtem lub ławnikiem nikt prawie.

Skoro się też zejdzie dwóch ludzi umyślnie czy przypadkiem i zacznie rozmawiać z sobą czy o pogodzie czy o własnych kłopotach, zawsze skończyć muszą na wysokiéj polityce: tu zawrą pokój, tam wypowiedzą wojnę, owdzie wykryją tajniki gabinetowe, ułożą nawet całe odmienne od istniejących stosunki polityczne — a obok tego wszystkiego nie pytają o rzeczywisty stan rzeczy, nieopierają planów i projektów swoich na okolicznościach wiadomych lub dostępnych, lecz dopełniają fantazyą to co z rzeczywistością w rażącéj zostaje sprzeczności. I niedziw! tyle niespodziewanych wypadków przesunęło się przed ich oczyma, tyle zmian zaszło na świecie w ciągu ich życia, tyle nienaturalnych skutków wypłynęło z naturalnych przyczyn, że trzeba być chyba dyplomatą z rzemiosła, aby można na zimno rozumować. Są ludzie którzy nigdy nie wezmą do ręki gazety, raz że czytanie zdaje im się być pracą nieprodukcyjną, powtóre, że niewierzą niczemu co w kraju drukowane, nie przypuszczając, aby można w kraju pisać i druko-

wać w innym celu jak dla zakrycia prawdy. Miewają oni zwykle wiadomości jakąś nieznaną im samym dochodzące ich drogą, a chociaż raz poraz przekonają się, że to zmyślenie, nie przestają im jednak dawać ślepéj wiary. Stracili oni wszelki zmysł krytyczny dozwalający rozróżniać prawdę od fałszu, wniosek od faktu, życzenie od ziszczenia. Póki jeszcze wypadki szły po sobie tak spieszonym krokiem, że wyprzedzały najśmielsze przypuszczenia, zgadzali się na nie — skoro jednak zeszły one na zwykły tor i zaczęły się rozdrabniać w przewlekłe formy dyplomatyczne, niecierpliwy czytelnik, któremu sam telegraf nie zawsze zdołał wyrównać prądowi wyobraźni, zamknął się sam w sobie, i znów jak dawniéj zaczyna budować wspaniały gmach marzeń od samego fundamentu, a to z taką pewnością, jak gdyby go nigdy jeszcze w życiu własna rachuba nie zawiodła. A przecież całe życie jego ze samych składa się zawodów!

Miasto nasze opustoszało na letnie miesiące bardziéj jeszcze niż w zimie; w zimie zaś bywa ono pustem, nie dla braku ludzi, lecz dla braku wszelkiéj między niemi spójni. Przedmiotu tego tyle razy dotykaliśmy na tem samem miejscu, że pisząc raz jeszcze o nim dopuścilibyśmy się plagiatu na nas samych. Na rozpalonym bruku miejskim spotykać teraz tylko tych można, których obowiązki w mieście trzymają. Kogo nie wzywa wieś i gospodarstwo, ten rzuca miasto, żeby jeździć po świecie, szukać w kąpielach zdrowia lub rozrywki, albo zabić czas nie na ten sposób, w jakim go zabija przez rok cały.

Między ostatniemi ogłoszeniami drukarskiemi znaleźliśmy następujące, którego tytuł nas uderzył: „Co mówi Galicya o nowéj mappie pod titułem (sic): Europa w roku 1860. Lipsku (sic) nakładem księgarni Michelsena.“

Co mówi Galicya o nowéj mapie? Zadziwiony czytelnik zapyta: o jakiéj mapie? żadnéj bowiem takiéj mapy w naszym kraju nie ogłaszano, nie sprzedawano, zkądże więc Galicya ma o niéj wiedzieć, a cóż dopiero mówić? a jeśli ma mówić, to któż jest tym jéj organem lipskim? Nie wiemy co mówi Galicya o rzeczy któréj nieznana, bo mapa z r. 1860 nie jest jéj znaną, a przeto Galicya nie miała sposobności powiedzenia coś

o niéj, moglibyśmy tylko powiedzieć o autorze broszurki „Co mówi Galicya“, że nie umie po polsku. Jeśli Galicya któréj on chce być organem podobnie jak on mówi, to smutne byłoby to zaiste świadectwo jéj umysłowego ubóstwa. Nie wchodzimy tu w polityczną stronę broszury, którą przytaczamy, ale jéj historyczne cytaty i dowody i jéj język, prawdziwie tak zwany galicyjski, kładą ją w szeregu ciekawych płodów pióra.

Zbyt to atoli ważny przedmiot, który autor broszurki traktuje, by go tak lekko zbywać i rozbierać jedynie z językowéj jego nieudolności, lub zestawienia dat i dowodów historycznych. Zasługiwałaby ona zawsze na dokładny a bezstronny rozbiór ze względem na polityczne motywa, które autora jéj spowodowały do wystąpienia teraz — może nieco już zapóźno — lecz nie nam brać się do tego. Jeżeliby ci którzy najbardziéj w téj broszurze są zaczepieni odpowiedzieć na nią chcieli, byłby to zaprawdę ciekawy dokument wzajemnych zaskarżeń. Jakim atoli sposobem przyszła Galicya do honoru zabierania głosu publicznie przez upersonifikowanie jéj w osobie autora, to przypisać można téj właśnie przyczynie, iż kto zawsze milczy, ten dozwolić wreszcie musi, aby ktoś nie powołany głos za niego i w jego imieniu zabierał. Tytuł téj broszury wielkim jéj jest grzechem, bo jeżeli każde zdanie indywidualne ma prawo jako takie stawać w szranki na arenie publicznej, to głos zbiorowy jeśli się nie wykaże mandatem swoich mocodawców, traci nietylko to znaczenie swoje jakiego chciał nabyć przez spotężnienie się wszystkiemi wotami gdyby mu takowe dane były, ale nadto traci nawet tę osobistą siłę jaką daje własne przekonanie.

Od lipca powstało w Galicyi nowe czasopismo, na jakiem dotąd krajowi naszemu zbywało. Jest to pismo dla ludu pod tytułem: „Dzwonek“, wychodzące we Lwowie pod redakcyą Bielawskiego trzy razy na miesiąc. Z trzech numerów znanych dotąd niemożna jeszcze dla tego dokładnego o niem dać zdania, iż po części ciągną się przez nie jedne i te same powiastki, a nadto, że nie wyrobił o sobie właściwego zakresu; wszelako już w pierwszych numerach tego pisma przebija duch i kierunek poczciwy i uczucie religijne. Należałoby w niem jeszcze część kościelną podnieść więcéj, by się stało zarazem

skazówką obrzędów i obyczajów tam gdzie jak u nas ścisły między niemi zachodził zawsze związek. Cieszymy się nadzieją, że „Dzwonek“ będzie mógł zastąpić godnie ten brak którego „Gwiazdka Cieszyńska“ mimo licznych przyjaciół i popleczników swoich zapełnić sobą nieumiała. Oby tylko „Dzwonek“ nie popadł jak „Gwiazdka“ w pretensyonalne bawienie się literaturą i krytyką, do czego ją wciągnęła ambicya widzenia drukowanemi ćwiczeń swoich szkolnych.

Berlin w lipcu.

Zycie publiczne stolicy pruskiéj stało po większéj części i w bieżącym miesiącu pod wpływem wypadków politycznych. Literatura, prasa, przedstawienia teatralne, koncerta i muzyki ogrodowe, szenekatarynki, sklepy księgarskie i artystyczne, magazyny lalek i zabawek dziecinnych, korso i promenady w Thiergarten, gra giełdowa i spekulacye kupieckie, stosunki familijne i rozmowy towarzyskie, zewnętrzne nawet oblicze miasta, poruszone inkwaterunkami i przechodami wojska, wszystko to ulegało górującemu ponad wszelkiemi innemi wpływowi wojennych zapasów i politycznych czynów, dokonywających się na ziemi włoskiéj.

Literatura wydawała na świat same tylko polityczne i patryotyczne br szury. Z dzieł poważniejszych takie tylko miały niejaki odbyt, które odnosiły się pod jakimkolwiek względem do toczącéj się wojny, lub przedstawiały polityczne i towarzyskie stosunki włoskiego kraju, jak np. dzieło Teodora Mundta „Rzym i Pius IX“, powstałe z podróży w zeszłym roku przez autora we Włoszech odbytéj. Z broszur, których na kopy liczyć można, bo każdy literat lub polityk z profesyi, który czytał historyę Beckera i Roteka, lub zasiadał na ś. p. parlamencie frankfortskim lub w którym innym z trzydziestu kilku związkowych państw niemieckich, uważał się za ukończonego męża stanu i miał sobie za najświętszy względem ojczyzny swéj obowiązek, udzielać jéj w tym krytycznem położeniu rozumnych rad swoich,

nietylko w dziennikach, ale i w osobnych pisemkach; z broszur, które w chaos pojęć, uczuć, życzeń, dążności narodu niemieckiego, zamierzając wprowadzić pewien ład i nadać mu rozumny praktyczny kierunek, powiększały tylko jego odmęt; z broszur tych największe zrobiła fiasko, bo też z największą pretensyą i najgłośniejszą reklamą wystąpiła przed publicznością, broszura mająca tytuł: „*die Despoten als Revulotionäre*“.

Z góry zapowiedziano jéj wyjście. Na 20,000 egzemplarzy oznaczono pierwsze jéj wydanie, po jednym srebrniku czyli sześć polskich groszy egzemplarz, bo nie księgarska spekulacya, lecz miłość prawdy i najszlachetniejszy patryotyzm kierowały przedsięwzięciem. Wezwano wszystkie księgarnie niemieckie do szybkiego rozprzedawania, bo niebezpieczeństwo było w przewłoce. Broszura wychodziła z jakichś tajemnych wyższych sfer, podobno rządowych. Imię autora jéj było zrazu umyślnie tajone, napomykano jednak półgębkiem, że napisał ją pewien panujący książę niemiecki, który odbywa dość często misye dyplomatyczne do dworów europejskich. Po wyjściu broszury dowiedziano się jednak niebawem, że autorem jéj jest pewien assesor pruski, który dawniéj odrabiał pańszczyznę demokracyi, a dziś zyskowniejsze pole uprawia. Rozgłoszono też równocześnie, z niemałem czytających zadziwieniem, że wspomniany wyżéj książę zaszczycił autora patryotycznéj broszury orderem. Pogłoskę tę w parę dni odwołano, ale na podmuchu jéj broszura rozleciała się w świat. Kto wie, jakimby był osnowy jéj skutek, gdyby w téj saméj chwili nie było w Villafranca nastąpiło zawieszenie broni i zawarcie pokoju! Możeby do pokoju tego wcale nie było przyszło! A jeżeli tak koniecznie stać się musiało, to wielka szkoda, że broszura kilkoma dniami wcześniéj nie wyszła, bo wtedy autor lub autorowie jéj mogliby byli jéj wpływowi przypisać szybkie zdecydowanie się Cesarza Francuzów do zawarcia pokoju! Dziś zaś nietylko ta ich satysfakcya ominęła, ale patryotycznem rozumowaniem swojem skompromitowali się oni tak gruntownie przed sądem opinii publicznéj, że bez oporu i odpowiedzi pozwolili się odprowadzić przez prasę do domu obłąkanych.

Główna myśl broszury jest w krótkich słowach ta. Dwaj despoci cesarz Francuzów i cesarz rosyjski zawarli pomiędzy sobą przymierze, celem podzielenia się panowaniem nad światem. Aby cel ten tem łatwiéj, pewniéj i prędzéj osięgnąć, postanowili związać się z wszystkiemi rewolucyonistami europejskiemi i poruszyć wszystkie żywioły rewolucyjne i anarchiczne. Początek zrobiony we Włoszech, po nich pójdą Austrya, Turcya, Niemcy, nakoniec Anglia na łup sprzysiężonego z rewolucyą despotyzmu. Cywilizacya zstępuje do grobu, Europa wchodzi w epokę powszechnéj ciemnoty, niewoli i barbarzyństwa. Rozumowanie autora zastósowane jest do pojęć téj publiczności, dla któréj broszura właściwie jest przeznaczona, publiczności politykującéj po knajpach. Rozumowaniu odpowiada styl, uzupełniający zelżywemi wyzywaniami to czego tamtemu nie dostaje. Można sobie wyobrazić, jak wyglądają nakreślone nim postacie obu cesarzów.

Celem broszury jest wojna przeciwko Francyi i Rosyi, odradzana przez wszystkie organa prasy liberalnéj. Gdy zaś po nieprzyjęciu warunków medyacyi pruskiéj przez Rosyą i Anglią, Prusy gotowały się w związku z Niemcami do udzielnego wystąpienia, wnieśćby ztąd można, że celem skierowania opinii w tę stronę, myśl do takiej broszury wyszła istotnie z sfer rządowych. Tak mniemają jedni, drudzy przypisują ją agitacyi stronnictwa krzyżowego. Ja sądzę, zważając na bezdenne głupstwo i karczemną formę téj ramoty, że z publikacyą jéj rząd niemiał nic do czynienia. Z tegoż powodu nie śmiałbym jéj nawet przypisać stronnictwu krzyżowemu, chociaż w zakresie jego każdy środek dobry, który prowadzi do celu. Jest to więc może prosta spekulacya księgarska, która pochwyciwszy chwilę stanowczego namysłu polityki niemiecko-pruskiéj, chciała zmistyfikować publiczność, i pod pozorem jednosrebrnikowéj bezinteresowności ciągnąć zysk z patryotyzmu mas. Na nieszczęście spekulantów, nagłe zawarcie pokoju w Villafranca pomięszało wszystkie ich rachuby, i wystawiło autora, nakładcę i znaną i nieznaną patryotyczną spółkę na śmiech publiczny.

Nie był to jednak jedyny zawód, spowodowany zawarciem rzeczonego pokoju. Prawdę mówiąc, cały świat

był zawiedziony: monarchowie, ministrowie, dyplomaci, bankierzy, dziennikarze, zgoła wszyscy sprawami politycznemi bliżéj zajmujący się, rozsądnie myślący ludzie. Rzadko wypadek historyczny był tak powszechną niespodzianką. Myśl w jednego człowieka poczęta głowie, udzielona drugiemu, zmieniła się w parę godzin w czyn, który miliony ludzi wprowadził w stan zdumienia, zatrzymującego na pewien czas wszystkie inne funkcye myśli. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ludzie przywykli zdawać sobie rachunek z każdego miłego i niemiłego uzposobienia swéj duszy, pomiędzy nimi najrozumniejsi, otwarcie przyznawali, że wypadek zaszły zaskoczył ich niespodzianie, i sąd swój o nim odkładali do bliższego rzeczy rozpoznania. Tak postąpiły i rozumniejsze organa prasy.

Przeciwnie wielka gawiedź polityków brukowych, co to żyje z dnia na dzień tem co przeczyta w dziennikach, co o niczem nie ma własnego zdania, bo do tego brak jéj potrzebnéj wiedzy, co opinią swoją zmienia z każdym nowym wiatrem, a każdą objawia z przeświadczeniem wytrawionego statysty, gawiedź ta któréj zapewne nigdzie niebraknie, bo polityka jest wszędzie areną popisów największych głów i największych półgłówków, gawiedź ta, wszystko najprzód wiedziała, przewidziała i zapowiedziała, chociaż nikt o tem ani słyszał, ani czytał. Gdy się z takim politykiem zejdziesz, i z góry od niego posłyszysz: „wszakżem odrazu powiedział, że tak będzie, wszakżem od samego początku stale utrzymywał, że tak się skończyć musi“; będziesz w ambarasie, jeżeli nie chcesz wykroczyć z granic grzeczności, co mu masz odpowiedzieć. Pozwolisz mu zapewne ciągnąć daléj to samochwalstwo, które puszczać będziesz mimo uszu, a tymczasem popatrzysz na formacyą jego głowy, czoła, uszu, nosa, ust, na wyraz jego oczu, i przekonawszy się, że to człowiek przeznaczony od natury do zasiadania w radzie stanu, „prawda, wielka prawda“, przywtórzysz z poważną miną, i czem prędzéj pożegnasz. Możesz być przekonany, że się dotąd przed wszystkimi innymi na twoje świadectwo będzie powoływał, bo głupstwo zawsze ma więcéj pretensyi do uznania, aniżeli istotny rozum.

Pokój zawarty w Villafranca nadał wprawdzie prasie zupełnie inny kierunek, ale nie zmienił ani nie zmniejszył niechęci i zaciętości jéj przeciwko Napoleonowi. Jak poprzednio wojna tak teraz pokój dostarczał wątku do najsurowszéj krytyki. Zdawać się mogło, że umiarkowanie Cesarza Napoleona, zawierającego pokój w granicach ciaśniejszych, aniżeli je pierwotny plan zakreślał, zawierającego go dlatego, aby powstrzymać ruchy rewolucyjne i powstania narodowe i idący za niemi w ślad wybuch wojny europejskiéj; zdawać się, mówię, mogło, że umiarkowanie to, zadające kłam tysiącznym oskarżeniom wywołanym z początkiem wojny, rozbroi i zadowoli prasę niemiecką, która bynajmniéj nie okazywała zbytecznych dla narodowości włoskiéj sympatyj. Wcale inaczéj się stało. Sprawa narodowości ujrzała się nagle otoczoną najgorętszemi życzeniami, pokój mający ją uregulować ogłoszono z góry za haniebny, a twórca jego przedstawił się nie jako oswobodziciel, ale raczéj jako wyrachowany zwodziciel oddającego mu się z ciałem i duszą narodu.

Pod względem obrony zasad większa część prasy niemieckiéj nie odznacza się szczególną konsekwentnością, ale pod względem nienawiści powziętéj raz przeciw Napoleonowi, oddać jéj trzeba słuszność, że tę statecznie przechowuje. System i osoba równie surowemu ulegają sądowi, a gdzie sąd wypada na pochwałę, podejrzliwość odbiera jéj wszelki urok, wiążąc każdy objaw słowa i czynu z samolubnemi i nierzetelnemi pobudkami.

Gdy Cesarz przed prezesami trzech głównych ciał politycznych tłumaczy się z nagłego zawarcia pokoju, z otwartością i niemal skruchą spowiadającego się; organa prasy niemieckiéj głoszą, że otwartość ta w człowieku tak skrytym zbyt jest wielka, aby mogła być szczerą i nie miała być osłoną jakichś tajemnych zamiarów. Gdy Cesarz przed ciałem dyplomatycznem skarży się, że Europa była względem niego tak niesprawiedliwą; podejrzliwa prasa niemiecka wietrzy w słowach tych groźbę pomszczenia się za doznane obelgi, i groźbę tę wprost do Niemiec odnosi.

Jest to w obecnéj chwili prasy téj myślą z głowy nie ustępującą, że Cesarz Francuzów już teraz wojnę prze-

ciwko Niemcom, mianowicie przeciwko Prusakom gotuje. To też pod wpływem myśli téj prasa prowadzi daléj swoją wyzywającą i namiętną przeciwko Napoleonizmowi polemikę. Czy to jest rozsądnem, zostawiam to jéj własnemu przeświadczeniu.

Prawda, że prasa pruska używa tylko służącéj sobie wolności, jakiéj z wyjątkiem angielskiéj żadna inna dziś w Europie nie posiada. Na rachunek wolności téj zapisać też należy niejedne jéj wyskoki, za które rząd obecny, podobnie jak w Anglii, nie jest i nie chce być odpowiedzialnym, zwłaszcza, że wolnym się czuje, więcéj jeszcze niż angielski, od wpływu jéj na swoje postanowienia. Ale rządowi nie może być obojętnym każdochwilowy stan opinii publicznéj, a opinia ta, kierowana przez prasę, niepokoi się, trwoży i trzyma w zawieszeniu cały wewnętrzny ruch stosunków i interesów materyalnych, od których dobrobyt i siła państwa zawisły.

Nie mniemam dlatego, aby rząd zechciał powstrzymać ten gwałtowny prąd opinii publicznéj, podsycany do zbytku wewnętrznemi niesnaskami Niemiec, innemi środkami, jak przeciwstawieniem mu swojéj własnéj opinii. Uczynił on to już po części, oświadczając przez organ prasy oficyalnéj zadowolenie swoje z zawartego pokoju. Ale prasa niezawisła nie poszła za tym głosem, a opierając się na prasie angielskiéj, któréj w wielkiéj części jest echem, nie postrzega się, że nie służy interesowi własnego kraju, jaki właśnie położenie chwili wskazuje, lecz uciera się z stosunkami, które sobie sama w gorączkowym stanie swym tworzy, lub które jéj obca, równie rozdrażniona wyobraźnia podaje. Lecz przejdźmy do innego przedmiotu, który nam ten sam stan usposobienia publicznego przedstawia.

Ponieważ wielka masa publiczności nie ufa pokojowi, i słowa Cesarza Napoleona, wyrzeczone do ciała dyplomatycznego, które mu zapowiadają długą trwałość, przeciwne, zgodnie z raz przyjętą zasadą, znajdują tłumaczenie; konieczna jest, aby zbudzonemu patryotyzmowi nie dać zasnąć, lecz trzeźwić, ożywiać, podtrzymywać go wszelkiemi możebnemi sposobami.

Pomiędzy temi teatr pierwsze zajmuje miejsce. W Paryżu i w Wiedniu ustały natychmiast po zawarciu pokoju wszelakie przedstawienia zastósowane do wojenne-

go położenia kraju. W Berlinie, chociaż Prusy nie prowadziły wojny, przedstawiają się dotąd po teatrach prywatnych sztuki patryotyczne, z dążnością nieprzyjazną dla Francyi. Po Fryderyku W. najpopularniejszym bohatyrem pruskim jest Bluecher. Dramatyczny pisarz berliński Hopf wprowadził go na scenę w sztuce noszącéj tytuł: „Marschall Vorwärts“, czyli „Blücher w Hoechst“. Sztuka przedstawiona była na teatrze Friedrich-Wilhelm-Stadt, lecz nie szczególnie się podobała. Jeden z recenzentów tak o niéj pisze: „Marszałek Naprzód“, który wczoraj pokazał się po raz pierwszy na scenie, klął z całego serca, kurzył fajkę, pożerał gębą Francuzów i przypijał do tego szampana, wykonywał swoje strategiczne idee wskazującemi palcami swoich oficerów, zapisywał młodym damom w sztambuchu jednoznaczne dwuznaczności, śpiewał w kawiarni piosnkę ludową, świetniał i wielbiony był niemal tak jak ojciec Wrangel, i nad którym, kiedy się zabierał do akcyi, spuściła się po raz ostatni zasłona, — ten w trzech długich aktach nie postępujący naprzód marszałek „Vorwärts“, zjawia się oczywiście „post festum“, bo po podpisaniu warunków pokoju w Villafranca. Przed tym wypadkiem, mogliśmy byli przynajmniéj mieć złudzenie, że marszałek nakląwszy i napiorunowawszy się przez trzy długie akty, przyjdzie do czynu, i rozpędzi choćby tylko owych przeklętych, małopaństwowych, dyplomatycznych pismaków, torując drogę do jedności Niemiec; ale teraz po rzeczonym wypadku, ta piękna popularna historyczna postać pruska wychodzi całkiem z swéj roli, i obudza w każdym prawdziwym patryocie tylko boleść i smutek. Sztuka straciła tendencyjny charakter swój i powinna być przez cześć dla bohatyra oddalona z repertoaru.“ Inni recenzenci przeciwnego są zdania. Nie chwalą sztuki z powodu jéj rubaszności, ale przedstawianie na scenie charakterów popularnych i narodowych uważają wkażdym czasie za właściwe i pożyteczne. Sztuka więc daje się wciąż, bo przynajmniéj koszta przedstawienia muszą być odzyskane.

Innym środkiem podtrzymywania patryotyzmu są monstrualne koncerta, wykonywane w ogrodach publicznych przez kapele wojskowe. Do programu ich wchodzą kom-

pozycye, przypominające wszelakie pieśni narodowe, począwszy od Fryderyka W. czasów aż do dni obecnych. Téj patryotycznéj myśli służą także szenekaterynkarze, rozstawieni po główniejszych alejach w Thiergarten. Są to inwalidzi z czasu wojen francuzkich, którym rząd pozwala szukać tym sposobem zarobku. Noszą mundur dawnéj landwery, są po większéj części dekorowani i — ślepi. Mają więc zawsze przy sobie towarzysza lub towarzyszkę, co im wskazują drogę, dają znać do kręcenia zajmującego instrumentu, gdy się jaka pokazistsza osoba zbliża, i którzy przyjmują ofiarowaną jałmużnę. Od rana aż do nocy, i to nietylko latem ale i zimą w czas pogodniejszy, ślepi ci inwalidzi kręcą bezprzestannie machiną swoją. Nie mają oni pretensyi do czci doznawanéj przez rapsodystów homerowych, wajdelotów litewskich i gęślarzy serbskich. Podobieństwo ich do siebie jest tylko w ślepocie i starości. Ale i ci nowożytni szenekaterynkarze pruscy poważne tylko po największéj części i historyczne melodye z organków swoich wydobywają. Teraz wszyscy, jakby się zmówili, kręcą marsz wjazdu do Paryża monarchów sprzymierzonych przeciwko Napoleonowi I. I marsz ten jest „post festum“. Nic to nie szkodzi. Sława żyje sławą. Każdy przywodzi na pamięć tę, która najwięcéj błyszczy. Po Paryżu Prusacy nie mieli dotąd świetniejszéj.

Opuszczam inne publiczne i prywatne objawy rozdmuchanego bezskutecznie patryotyzmu. Wspominam tylko jeszcze jako „curiosum“ odezwę hamburskiego związku gimnastyków (Turner-Bundes) do wszystkich przyjaciół niemieckich, aby nieustannem ćwiczeniem ciała usposabiali się do obrony ojczyzny. Każde miasto, każda wieś ma mieć swój plac do ćwiczeń cielesnych. Winszuję powodzenia. Podobno i ta odezwa jest „post festum“.

Paryż w lipcu.

Zawieszenie broni spowodowało chwilę ciszy, podczas któréj można bez narażenia się na przydomek indyferenta, pomówić o czem innem jak o wojnie. Chwytam skwapliwie ten moment, i obyczajem starych kronikarzy, relacyą moją zaczynam od nieba. Wiem że ono teraz wyszło z mody, że co się w niem, a raczéj na niem dzieje, rzeczywiście obchodzi dziś tylko astronomów; ale czyż zły obyczaj jest prawem? i dla tego że plotkarze przezwali rozmowę o pogodzie nudną, mamyż na wieki wieków zagrzęznąć w sprawach ziemskich i nigdy już nie spojrzeć w górę? Nie! Na wszystkie pruskie i litewskie bogi. . nie! Chociażby wszystkie na świecie panie Plotkiewiczowe i Wydrzyżnialskie miały mnie nazwać nudziarzem, zaczynam od nieba.

Czwartego lipca, już dobrze po północy, pociąg kolei żelaznéj wyładowany ludźmi leciał z Saint-Germain do Paryża, wiozący spacerników do łóżek. Noc była przepyszna, ale mało kto z podróżnych na nią zważał, bo wszyscy wewnątrz siedzący, mniéj więcéj rozmarzeni skwarem, drzymali lub spali. Na wierzchu tylko toczyła się rozmowa, bo chłodny wietrzyk odganiał Morfeusza, a jasne gwiazdy tak bystro zaglądały w oczy, że usnąć niebyło można.

Jeden z podróżnych siedząc obok towarzysza na wagonowym *imperiale*, pod wpływem piękności nocy i pędu lokomotywy, zaczął deklamować *Farysa* — kiedy nagle, domawiając téj strofki:

„Teraz oczy kręgiem słońca
„Okręciłem koło siebie,
„I na ziemi i na niebie
„Już nie było za mną gońca...

zamilkł... i jak drogoskaz z wyciągniętą ku północy ręką; osłupiał. Na północną stronę niebieskiego stropu wybiegła kula światła podobna do wschodzącego w pełni księżyca — i znacząc przejście swoje ognistą wstęgą, pędem strzały leciała ku południowi. Wzgórze na którem obok lasku Bulońskiego wznosi się mała forteczka

Mont Valérien, zakryło oczom naszym płomiennego posłańca. Zjawisko nie trwało dłużéj nad kilka sekund — minęło tak szybko, że gdyby nie ognista droga, która jak raca jeszcze się paliła na niebie kiedyśmy odzyskali mowę — możeby i ten meteor jak wiele niepojętych rzeczy, został do rzędu przywidzeń policzony.

Mogę cię jednak upewnić, że tym razem nie przywidziało mi się; mam na to w ręku piśmienne świadectwo Babineta, który nie deklamując *Farysa*, zimno i trzeźwo patrząc w niebo przez okulary nauki, jednocześnie tenże meteor z obserwatoryum oglądał i w *Journal des Savants* wytłómaczył jasno jak na dłoni.

Od nieba do pieśni — tylko krok; o niéj więc pomówmy, zanim zupełnie na ziemię się stoczą.

Wydana przed rokiem książką Kastnera: „Studyum historyczne o pieśniach wojennych Francyi“, wtedy niepostrzeżona, dziś znajduje w Paryżu licznych czytelników.

Książki jak ludzie — nie wedle swéj rzeczywistéj i bezwzględnéj wartości, ale wedle tego jak harmonizują z wypadkami lub z duchem czasu, idą na dno lub wypływają na wierzch. Kogóż dziś zajmie, chociażby po najwyższych stąpająca szczytach rozprawa filozoficzna? Kto nie porzuci dla ostatniéj gazety ksiągi prawd wiekuistych? Kto dziś nie przekłada nad styl Villemaina, stylu pierwszego lepszego *piu-piu*, lub *Zu-Zu*, który na udartym od ładunku papierze kreśli rodzinie epizody z ostatniéj batalii.

Nie chcę przez to powiedzieć, że książka Kastnera ma tylko drażliwą wartość żołnierskiego listu — przeciwnie — zdaniem mojem ma ona trwałą wartość historyczną, bo zawiera wiele dat i dokumentów, ale ogół mogła tylko zainteresować w chwili wojennéj, kiedy zapał często nie mieszcząc się w słowach, szuka pieśni którąby mógł się wylać na zewnątrz.

Naród francuzki urodził się żołnierzem; muza jego, powiada autor Studyów, ocknęła się przy huku dział; pierwszym jéj hymnem był hymn wojenny.

Jakoż rzeczywiście Francya jest żołnierzem tego świata. Inne narody myślą o zbawieniu, o handlu, o dobrym bycie — Francuz przedewszystkiem o tem, na co inne ludy niemają nawet odpowiedniéj nazwy. „*La Gloire*“

jest jego żądzą i niebem. Tem czem u nas są pieśni nabożne — czem w Niemczech ballady — czem w Anglii „*God save the Queen*“ — tem we Francyi pieśń wojenna. Każdy ją rozumie: zarówno chłopiec na drewnianym koniku, jak bawiąca się kwiatkami dziewczynka, jak kupiec z łokciem, jak wieśniak z motyką, baba z kądzielą, lub weteran z ranami co po wszystkich częściach świata kości swe porozrzucał. Z odmianą jednego wyrazu, można powiedzieć o francuzkiéj *pobudce*, co Mickiewicz powiedział o podaniach naszego ludu: zamiast „o pieśni gminna“.

„*Pieśni wojenna*, ty arko przymierza
„Między dawnemi i młodszemi laty:
„W tobie lud składa broń swego rycerza
„Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.“

Tak było po wszystkie czasy na téj pięknéj ziemi dziś Francyą zwanéj. Najpierwszą pieśnią Gallów był marsz, którego ostre dźwięki dawały hasło do ataku. „Pieśni wojenne Gallów, powiada Tacyt, składają się z najdzikszych akordów, z tonów twardych jak stal, a ostrych jak miecz. Ci co je śpiewali, przykładali do ust puklerze, aby tym sposobem głos ich wydał się mocniejszy i straszliwszy.“

Po tych pieśniach, a raczéj wojennych nawoływaniach, nastąpiły „pieśni gestykułowane“ — rodzaj włoskiego *recitativa*, które oddaje się na przemiany śpiewem, słowem i gestem. W takich pół śpiewanych a pół deklamowanych narracyach, przechowywały się bardzo długo czyny wojenne praszczurów Francyi. W pieśniach tych nigdzie nie dopatrzysz smutku lub tęsknoty, (na które to uczucie, jak wiadomo, niema nawet wyrazu we francuzkim języku), wszystkie wyrażają okrutną radość zwycięzców, całe ubroczone we krwi, nie płaczą jak nasze, swych poległych rycerzy, tylko cieszą się wygraną i do nowych zagrzewają zapasów.

Po większéj części te pieśni gestykulowane pochodzą od Bretonów, którzy w szóstym wieku często robili wycieczki do sąsiadów podległych Frankom, a usiłującym także ich ujarzmić. „Skoro nadeszła jesień, mówi Kastner, Bretoni szykowali mnogie wozy, i półwojskowo

a półrolniczo uzbrojeni w topory, sierpy i motyki, jechali do Gallów po winogrona których u siebie nie mieli. Jeżeli grona jeszcze były na pniu, zbierali je sami— jeżeli wyciśnięte, brali szturmem piwnice, ładowali beczki na woły i wieźli do domu. Czasem Frankowie w przeważnéj sile zastępywali im drogę — wtedy Bretony bijąc i pijąc na przemiany, wypróżnili beczki co do kropli, poczem podchmieleni siadłszy na próżne wozy wracali do domu czwałem.“ W tych to wesołych wycieczkach zrodziła się zapewne część zawadiacka tych wojennych improwizacyj, które Kastner „*Chansons de geste*“ zowie.

Późniéj za czasów rycerskich, pojawił się hymn Rolanda, który równie potężny wtedy wpływ wywierał jak teraz *Marseilleuse.* W 1356 r. w bitwie pod Poitiers, pieśń ta jeszcze prowadziła do boju Francuzów. Z tego powodu Kastner opowiada, że król Jan nie zadowolony ze swego wojska, słysząc żołnierzy śpiewających pieśń Rolanda, zawołał: „Dalibyście pokój! dawno już niema Rolandów między Francuzami.“ Dotknięty tą wymówką pułkownik tego pułku, nie wiele myśląc odrzekł: „Najjaśniejszy Panie, niebrakłoby ci Rolandów, gdyby żołnierze widzieli na czele swojem jakiego Karola Wielkiego.“

Co się stało ze słowami i nutą téj sławnéj pieśni? Michelet utrzymuje, że ją odszukał w całości; ale ponieważ niemógł wylegitymować pochodzenia swego dokumentu, nie znalazł wielu wierzących w autentyczność téj pieśni Rolanda.

Tak zwani awanturnicy, rodzaj błędnych rycerzy ciągnących kiedyś za wojskiem, którzy, choć bez munduru, bili i rymowali z równą łatwością — zbogacili głównie zapas wojennych pieśni francuzkich. Bitwa pod Marignan, któréj pamięć *armia włoska* teraz odświeżyła — przez awanturników opisana jest daleko lepiéj niż przez późniejszych poetów i historyków. W zapale i dziarskości nikt im nie dorównał.

W piętnastym wieku pieśń żołnierska sposępniała i zgorzkła. Za panowania Ludwika XV zniewieściałe jak monarcha wojsko, myślało i gadało tylko o miłostkach — przeto pieśń wojenna prawie zupełnie znikła, a jéj miejsce zastąpiły rozpustne zwrotki wodewillowe.

Bachiczna ich nuta brzmiała aż do wielkiéj rewolucyi, podczas któréj ułożono wszystkie najpiękniejsze pieśni wojenne. Wtedyto z piersi wolnego narodu wytrysła pieśń godna owych czasów — pieśń przechodząca pięknością wszystkie wojenne hymny Grecyi: *Marseilleuse.* Kastner długi poświęca jéj ustęp. Przytaczam tu niektóre szczegóły dotyczące urodzin *Marseillezy*, jako obchodzące każdego kto miał szczęście aby raz w życiu słyszeć śpiewaną piersiami ludu francuzkiego tę pieśń nad pieśniami.

Rouget de Lisle, góral, urodzony 10go marca 1760 w Jura, w roku zaś IIgim Rzeczypospolitéj oficer inżynieryi, znajdując się w Strasburgu 10 messidora tegoż roku, został zaproszony na obiad do mera miasta, pana Dietricha. Było na tym obiedzie kilkunastu wykształconych i gorących patryotów. Rozmowa toczyła się naturalnie o polityce, a mianowicie o wojnie; utyskiwano że w obec tak ogromnych wypadków, bohatyrskie natchnienie nie przybywa w pomoc żadnemu poecie — dziwiono się, że dotąd nie przyszedł wieszcz, któryby szeroką piersią objął i wyśpiewał zapał narodu.

Rouget de Lisle żołnierz-artysta, który swe wolne chwile poezyi i muzyce poświęcał, zapalony tą rozmową, opuścił wnet biesiadników, i powróciwszy do siebie w gorączkowéj egzaltacyi spędził noc na improwizowaniu strof, do których zaraz skomponował muzykę na skrzypcach. Rano *Marseilleza* już była na świecie.

Spisawszy razem text i muzykę, autor zaniósł ją merowi. Tam zastał kilkanaście osób, przy których odbyła się próba. Panna Dietrich, biegła muzykantka, siadła do fortepianu i odśpiewała utwór oficera.

Wtedy Rouget de Lisle, który jak to sam często powtarzał, niewiedział sam co mu podyktowało natchnienie, obaczywszy łzy i radość słuchaczy, pojął, że utwór jego do rzędu niepoślednich należy.

Mer zachwycony, zwołał czemprędzéj wczorajszych swych gości; ci przyjęli pieśń narodową z najwyższym zapałem — przepisali ją zaraz na kilkanaście rąk, rozdali kapeli wojskowéj i kazali grać przed frontem.

Żołnierze usłyszawszy pierwszy raz tę potężną muzykę któréj męzkie akorda aż do głębi ich duszy przenikły, zdziwieni tem co się w nich dzieje, spoglądali

po sobie pytając się wzajemnie: „Co to za nuta? co to za pieśń... gada jakbyś ją widział.... stoi ci przed oczyma z wąsami i z bagnetem... co to za pieśń?“

Tegoż dnia, oprócz sześciuset ludzi którzy się przed paradą zapisali na ochotników, przybyło ich 1200.

Jak tego dowodzi znajdujący się w bibliotece cesarskiéj własną ręką autora napisany egzemplarz, Rouget de Lisle wydał hymn swój w Strasburgu pod tytułem: „*Chant de l'armée du Rhin*“. Późniéj dopiero rozniesiona najpierw przez ochotników marsylskich, pieśń przybrała nazwę *Marseillezy*, i pod tem nazwiskiem zyskała uznanie nietylko ludu i żołnierzy — ale jenerałów i rządu narodowego.

Jenerałowie ówcześni w raportach o cudownym wpływie téj pieśni wspominają. Jeden z nich pisze do dyrektoryatu: „Wygrałem bitwę — bo *Marseilleza* wraz ze mną komenderowała“. Inny pisze żeby mu przysłać „200 ludzi albo nowe wydanie *Marseillezy*“. Trzeci powiada: „Bez *Marseillezy* jeden żołnierz francuzki pokonałby dwóch nieprzyjaciół — z *Marseillezą* jeden pokona czterech.“

Konwencya wnet oceniła zasługi czarownéj pieśni; kazała ją grać przy otwarciu, a czasem i w ciągu posiedzenia, mianowicie kiedy odebrano wieści o jakiem nowem zwycięztwie odniesionem przez wojska rzeczypospolitéj. Nadto zapisała *Marseillezę* na czele pieśni narodowych, które mają być grane przez muzyki gwardyi narodowéj i wojska liniowego.

Oddawszy sprawiedliwość dziełu, rząd narodowy uczcił rannego pod Quiberon autora, wyższym stopniem i wielkim krzyżem legii honorowéj.

Rouget de Lisle odrodził z gruntu poezyę wojenną Francyi; prócz *Marseillezy* skomponował wiele innych pieśni bohatyrskich, które choć nie są najwyższym krzykiem zmartwychwstania jak *Marseilleza*, odznaczają się energią i powagą, która je stawia w rzędzie najpiękniejszych pieśni patryotycznych. Do najwymowniejszych z młodszego rodzeństwa *Marseillezy* należą: *Krucyata*, *Karol VII*, *Bayard* i *Nowy hymn Rolanda*. Pierwsza strofa ostatniego przypomina niezmiernie nieśmiertelny wiersz Krasickiego: „Swięta miłości itd.“

Napoleon pierwsze swoje zwycięztwa odnosił przy odgłosie tych hymnów rewolucyjnych; na polu bitwy wypróbował ich potęgę, poznał co mogą — lękając się żeby nie spowszedniały, postanowił używać tych talizmanów potęgi tylko w bitwach lub solennych chwilach życia narodowego: jak Bóg zakazał ludziom używać nadaremnie imienia swego — tak Napoleon zabronił Francuzom śpiewać daremnie *Marseillezę*.

Dzięki temu zakazowi, do dziś dnia moc swoją zachowała i nic ze swéj siły nie utraciła; przekonaliśmy się naocznie za wojen drugiego Cesarstwa, że ta pobudka dana narodowi przez wielkiego geniusza wielkiéj rewolucyi, jest równie potężnym wiatykiem żołnierza francuzkiego.

Na wspomnieniu *Marseillezy* porzucam Kastnera, nie czując w sobie ochoty do dyskutowania z nim zalet *Paryżanki*, *Marlborougha*, *Casquette du Pere Bugeaud* i innych tem podobnych pieśni, które mogą się podobać w kordegardzie — ale o których pisać nie warto.

Po wojnie, najwięcéj teraz obchodzącą Paryżanów rzeczą, są kąpiele z morskiéj wody świeżo założone na Sekwanie. Trzeba wiedzieć, że morze jest (mówiąc ich językiem) *ideą fiksą* Paryżanów. Obaczyć morze, kąpać się w niem — pływać łódką przy brzegu — widzieć burzę ze szczytu morskiéj latarni — to najmilsze marzenie każdéj episyerskiéj, kramarskiéj lub wyrobniczéj rodziny. Pociągi spacerowe chodzące ztąd przeszłego roku do Hawru, dowiodły, na jak straszne męczeństwa tutejsi mieszczanie zdobyć się mogą, byle tylko urzeczywistnić to najgorętsze pragnienie.

Ponieważ jednak, mimo najżywszych chęci i gotowości poświęcenia się, przejażdżka do morza nie jest dla każdego przystępną — pewien bogaty spekulant, wielki znawca serca ludzkiego, wziął pod rozwagę palącą kwestyę i rozwiązał ją jak Machomet: kiedy — powiedział sobie, posługując się logiką proroka — kiedy Paryż nie może iść do morza — niechaj morze przyjdzie do Paryża. I wnet słowo jego czynem się stało. Ocean zapakowany w ogromne kadzie, przybył koleją na *plac Zgody* i obok izby deputowanych w Sekwanę się rzucił.

Całe to przedsięwzięcie głęboko było pomyślane i wykonane — warto się nieco nad niem zastanowić.

Ażeby nadać kąpielom jak najwięcéj miejscowego kolorytu, przedsiębiorca umieścił swoje łazienki na okręcie „Frégate-école“ siedzącéj wiecznie na sekwańskiem błocie. Tym sposobem i ta biedna fregata zapozna się z morzem na którego ozdobę była zbudowana, a którego w życiu nie widziała. Oto za jednym zamachem dwie korzyści: jedna dla gości, druga dla okrętu.

Daléj. Ażeby dopełnić złudzenia, *garsony* przyjęli dyalektykę i maniery marynarskie. Jak kto zawoła ręcznika, usłyszy donośnym basem wymówioną odpowiedź, dolatującą jakby z hawerskiego portu: „*un peu de patience — mille sabords!*“ albo: *Voylà un torchon, nom d'un caronnade*“ — albo: „*On y va, vieux ponton!*“ Łatwo pojąć wrażenie, jakie czyni na nerwy pacyentow ten piękny język, mocno smołowcem pachnący.

Nie tu jednak koniec niespodzianek obmyślonych przez mądrego spekulanta ku większemu uszczęśliwieniu publiczności. Mając wzgląd na poetów jacy mogą jeszcze znajdować się w Paryżu — zaprowadzono przyrząd mechaniczny, rodzaj młynka nadającego wodzie rozmaite ruchy morza. Taryfa przybita w każdym gabinecie wykazuje ceny i rodzaje emocyi. I tak czytasz tam na welinie spisane:

„*Houle légere*“ dla kobiet i dzieci 50 centimów.
„*Bonace* „ „ „ 75 „
„ *Ouragan* „ „ „ 1 frank.

„*Nota.* Grzmoty i błyskawice płacą się osobno.“

Wyobraźcie sobie radość romantycznego mieszczucha, po takiéj kąpieli wziętéj z burzą i z grzmotami! jego szczęście, jak powróciwszy z fregaty na obiad do domu, będzie mógł powiedzieć: doznałem opisywanych tylekroć wzruszeń burzy morskiéj — dotykając dna wanny, widziałem już straszną chwilę rozbicia... itd.

O jakże zna swoje miasto i swoje czasy ów spekulant co przywiózł Ocean do Paryża. Tłumy oblegające fregatę najlepszym dowodem że wiedział w co ugodzić i w co swój kapitał włożyć.

Bo i cóż wreszcie począć w téj ogłupiającéj epoce kanikuły? Obok ciągłych wieści raz wojennych to pokojowych, kto się nie bije, musi się kąpać. Sekwana

jest też schadzką powszechną. Zobaczymy się u rzeki; przyjdź do rzeki; w rzece pogadamy — to ostatnie słowo wszystkich gdzie indziéj rozpoczętych rozmów. Ale niestety, czy można nazwać rzeką tę gęstą zupę w którą zmienia się Sekwana podczas trzydziesto-pięcio stopniowych upałów? czyż zasługuje na to miano ten bulion, w którym kąpiący pływają jak kawałki sztuki mięsa! Toć to rosół nie woda — a złudzenie tem większe, iż kapuściane liście wciąż płyną gromadami do rodzinnego kraju.....

Ci co w sekwańskich łazienkach chcą się ochłodzić, odświeżyć, wyjdą więcéj znużeni niż przyszli, bo hałas i tłok oszałamiający w téj rzece — a częste niespodzianki, jak widok płynącego nieboszczyka psa — utopionego kota lub szczura, nie jest téj natury, żeby mógł ukoić nerwy, albo dodać zmysłom jędrności.

Ale to wszystko nic. Przyjęte jest, że teraz najlepsza zabawa w szkole pływania — więc ciśnie się tam każdy — a co większa bawi się i leczy przez imaginacyę — bo moda powiedziała że tam zabawnie i zdrowo — a co moda zawyrokuje w Paryżu, to świętsze niż kodeks Napoleona; gdyby moda zakazała umierać tu ludziom, ręczę że jéj zakaz byłby równie skuteczny jak rozkaz dzienny Suwarowa do cholerycznych żołnierzy.

Oxford w lipcu.

Na końcu mego listu z czerwca przyrzekłem wam dać opis tak zwanéj *Commemoration*, uroczystości z wielką okazałością obchodzonéj przez uniwersytet oxfordzki, a która wtenczas, jakem ostatni raz do was pisał, miała odbyć się w pierwszych dniach lipca. Uiszczam się dziś z mego słowa.

Wspomniona uroczystość obchodzi się na pamiątkę dobroczyńców uniwersytetu, którzy w różnych wiekach szczodrobliwością darów swych uposażali tę starożytną wszechnicę nauk, że postawili ją w tym stanie w jakim ją dziś widzimy. Z obchodem tym łączy się udzielanie

honorowych stopni akademickich, jakoteż rozdawanie nagród celującym jéj wychowańcom za najlepsze ich pisma w różnych wydziałach nauk wypracowane.

Uroczystość to narodowa i obchodzona z akademicką powagą uniwersytetu tak narodowego jakim jest oxfordzki, i nad który w opinii anglików niema słynniejszego na świecie — nic dziwnego przeto, że zgromadza w tę właśnie porę do Oxfordu mnóstwo ludzi i najpierwszych rodzin z dalekich nawet stron. Na tydzień przed komemoracyą miasto się przepełnia — jest to oxfordzkie *season*, z którego mieszczanie umieją ściągać dla siebie ogromne zyski za mieszkania, za podrożoną żywność, za przedmioty zbytku i wyprawianie różnych zabaw.

Dzień 6go lipca dopiero był przeznaczony tego roku na obchód komemoracyi. Tymczasem poprzedzały go w ostatnich dniach egzamina studentów i przypuszczanie ich do stopni akademickich, dla gości zaś dawano koncerta, bale, uczty w kolegiach i wielką wystawę kwiatów — w każdy dzień co innego. Były one jakby preludya do niéj, bo wszystko to obejmowane było pod nazwą komemoracyi i stanowiło nieoddzielną jéj część.

Na samym wstępie urządzone były dwa koncerta: jeden dawało towarzystwo lubowników muzyki złożone z samych studentów — rozumie się za biletami, bezpłatnie dla przyjaciół, bo uczniom uniwersytetu niewolno za nic, za co bądź, brudzić swych rąk zapłatą. Następnego dnia był koncert płatny dla sprowadzonych umyślnie artystów z Londynu, a między nimi znajdował się nasz skrzypek Wieniawski, czyli jak go tu w programach ogłaszają „Herr Wieniawski“. Grał on *Air varié* kompozycyi Vieuxtemps, która ztąd podobno żem ją słyszał tylokrotnie powtarzaną, wydawała mi się oklepaną; jednakże podobała się publiczności. Drugi raz wystąpił z swemi *Airs russes*, i w nich tak nowością przedmiotu jak mistrzowską grą zachwycił całe zgromadzenie, że przy głośnych oklaskach powtórnie był wywołany. Ze śpiewaczek najlepiéj podobały się panny Vinning i Finoli; Allan Irving w recitatiwie *Dal' immortali vertice* z Attili Verdego; tudzież p. Powel w *Bella Immago* z Semiramidy Rossiniego, grający z swym uczniem na kornecie. P. Powel który urządził koncert; jest członkiem uniwersytetu, i wykształcił się w jego

muzykalnéj szkole. Bo uniwersytet oxfordzki, jak wiecie, ma także fakultet muzyki, i nadaje w nim stopnie bakalaureatu i doktorskie.

Były jeszcze inne koncerta, niektóre dawano w salach kolegiów. Szczególniéj zaś loża uniwersytecka masonów „Apollo“, przyczyniła się wiele do uprzyjemnienia gościom pobytu w téj porze w Oxfordzie, dając sama fetę muzykalną w prześlicznym ogrodzie nowego kolegium, i dwa bale w salach ratuszowych; na nieszczęście tylko na tych balach taki był tłum, że nie było miejsca gdzie tańcować, a gorąco panowało nieznośne. Było wielkie *oratorium* Haendla w szeldońskim teatrze, i na wykonanie jego sprowadzono z Londynu śpiewaków: Klarę Novello, Sims Reeves i innych. Przecudne i nie do opisania było wykonanie celniejszych części tego oratorium, a jakie za pomocą tylko tak doskonałych chórzystów jakich kolegia niektóre tu kształcą, mogą być uskuteczniione. Z nich kolegium Magdaleny, Merton i Nowe kolegium najwięcéj słyną, i codzień wieczorem w kaplicach ich najwyborniejsze chóralne śpiewy przy organach można słyszeć. W ogólności kościelny chóralny śpiew stoi tu na wysokim stopniu udoskonalenia. Podczas wykonania oratorium, Dr Elvey, z położenia swego jako dyrektor muzyki dyrygował chórami, i nietylko postawą natchnionego choraga, ale samym przepychem swego ubioru, który jest fałdzistą togą bladoróżową w którą był ubrany, sprawiał podziwienie wszystkich obecnych, a osobliwie tych co nic podobnego pierwéj nie widzieli.

W niedzielę rano — bo dla lepszego objaśnienia rzeczy muszę już trzymać się porządku dni — wszystkie kościoły, jak zazwyczaj w Anglii, były przepełnione. Po południu zaś natłok na wieczorne nabożeństwo w kaplicach niektórych kolegiów był tak wielki, że musiano ograniczyć liczbę biletów, i dawano je tylko dla przyjezdnych, by widzieć mogli przepyszną gotycką strukturę tych starożytnych budowli, i słyszeć rozlegające się po nich, przy wybornych choralnych śpiewach, wieczorne modły anglikańskiego kościoła. Szczególnie akademicki kościół P. Maryi, jak zawsze, tak i tego dnia był przepełniony. Kazanie miał profesor historyi kościelnéj Stanley, Dr. teologii. Niedosłyszałem, jaki był tekst kazania, wiem tylko że wzięty był z dziejów apostolskich,

a przedmiotem była: *Prawda.* Pokazawszy cytatami z Pisma ś. jéj istotę i donośność, kładł prawdę za regułę i obowiązek chrześcianina; dowodził że wpływ prawdy jest wieloraki: ona uszlachetnia charakter człowieka, a przestrzeganie jéj w stosunkach życia stanowi najtrwalszą podstawę spółeczeństwa, bywa rękojmią wielkości i szczęścia narodów. A że przemawia do akademickiego grona, do nauczycieli i uczniów, polecał w słowach wzniosłych, pełnych namaszczenia, aby pierwsi przedewszystkiem rozwijali prawdę, a ci szli za nią. Mógłby kto nazwać to filozofowaniem, ale to filozofowanie było chrześciańskie, a przechodzenie ściśle logiczne z jednéj prawdy do drugiéj z zastósowaniem ich do życia, zbawienną dawało naukę. Wszyscy też z natężoną uwagą wymownego kaznodzieję słuchali, i każdy odszedł zbudowany jego nauką.

Tego samego dnia nad wieczorem była w alei *Bro ad Walk* promenada. Tyle mi o téj przechadzce pierwéj nagadano i abym był na niéj, że uwierzyłem iż to może być coś nadzwyczajnego. Wybrałem się więc w towarzystwie innych co jéj niewidzieli, a także byli ciekawi. Lecz przybywszy tam, zastaliśmy aleę jakby wymiecioną, bo nikogo w niéj nie było. Sądząc żeśmy się zawiedli, albo żeśmy zawcześnie przyszli, udaliśmy się daléj na przechadzkę, postanowiwszy jednakże jeszcze raz wrócić do alei aby się przekonać czyśmy nie byli tam za rychło. Jakoż istotnie tak było. Za powrotem bowiem, choć nie upłynęło jak pół godziny, zastaliśmy całą aleę jak była długa zapełnioną tłumem osób, sprowadzonych tam od razu, jakby za poruszeniem różczki czarodziejskiéj. Osoby te krążyły jak dwa kołujące prądy, jedną stroną idąc obok siebie a drugą wracając nazad w szerokiéj alei. Byłto uniwersytet używający wieczornéj przechadzki, a używający jéj, że tak powiem *urzędownie.* W podwójnym tym prądzie widzieliśmy studentów, profesorów i głowy kolegiów w akademickich togach, mniéj lub więcéj fałdzistych podług niższych lub wyższych stopni, w czarnych z prostego sukna i okazalszych z jedwabiu, w biretach na głowach, z których tu i owdzie spadał złoty kutas na znak, że noszący go był szlachcicem (nobleman). Pośród téj prądowéj czerni, bo wszystkie togi bez wyjątku były czarne,

pośród téj czerni staroświeckiéj, jednostajnéj i mało na pozór powabnéj, przebijały się w ruchawym jej prądzie ubiory najświetniejszych kolorów, jakie przemysł, wytworność smaku i moda mogły dla upowabnienia postaci ludzkiéj wynaleść, wymyśleć, skombinować. Te ubiory tak strojne i tak gustowne, odziewały postacie kobiece jakiemi tylko kraj angielski może się chlubić. Były to matki, siostry lub krewne téj młodzieży któréj uniwersytet daje wychowanie; jak ta reprezentowała oświatę i była kwiatem narodu, tak one reprezentowały płci swéj krasę, wdzięki i powaby. Cień rzucany na nie od niebotycznych wiązów. kasztanów i dębów pod któremi przechadzały się, odmładzał rysy twarzy poważnych matron, przydawał nadobnego wdzięku młodszym. Cała elegancya, a raczéj arystokracya narodu, tak męzka jak żeńska, znajdowała się tam zgromadzona i trudnoby ją było gdzie indziéj widzieć tak licznie na jednem miejscu skupioną. Jeszcze co mnie uderzyło, to że skutkiem urządzenia policyi, która w większéj części pod juryzdykcyą uniwersyteckiéj zostaje, czyli też z jakich innych powodów, nikt obcy z niższéj klasy ludu, a przynajmniéj nikt niestósownie ubrany, do tego świetnego zebrania w alei niemięszał się. *Procul este profani!* zdawało się być tam przyjętem godłem. Promenada ta trwała półtory godziny aż do 9éj, kiedy naostatek poczęło się ściemniać i dopóki sto jeden uderzeń dzwonu „Tom" z wieży katedralnéj — uderzeń jakby waszego „Zygmunta" na Wawelu — nie dało znać akademikom, że każdy z nich powinien wracać do kolegium.

W poniedziałek oprócz wyżéj wspomnionego wielkiego oratorium, były po południu wyścigi na łodziach, na rzece Isis. Tą razą jednak wyścigający się niebyli akademikami, jak to w czerwcu opisałem — gdyż to może niezgadzałoby się z uroczystościami tego tygodnia, lecz mieszczanie oxfordzcy, — w ich wszakże imieniu i na łodziach. Łódź ośmiowiosłowa Ballisla i tą razą prześcigła inne, i dobiegłszy wytkniętéj mety przed gondolą klubu uniwersyteckiego, wśród hucznych okrzyków zgromadzonych widzów powitaną była przez wzniesienie do góry wioseł na wszystkich łodziach, ile ich było na rzece. Jednocześnie muzyka odezwała się z pieśnią:

„*Rule Britannia, Britannia rules the waves*“. Panuj Brytanio i Brytania panuje nad wód falami. Nadwszystkie rozrywki lud angielski lubi ćwiczenia wodne; one nadają mu zręczność, śmiałość i potrzebny do żeglugi hart; bez nich Anglia niebyłaby przyszła do dzierżenia panowania na morzach. Czem były niegdyś Vikingi skandynawscy, tem się teraz okazują Anglicy na oceanach.

We wtorek oprócz rannego kazania Dra Vaughan w kościele Panny Maryi (Mary-the-Virgin) na rzecz miejskiego szpitala, na który zebrano 57 fst. — była wystawa Towarzystwa ogrodowego w parku kolegium Worcester. Różne ogrodowiny, owoce i mnóstwo kwiatów stały rzędami porozstawianie pod namiotami. Nadesłane były przez ogrodników z najdalszych stron do nagród — rozumie się w najlepszych gatunkach. Nie na list atoli wyliczać różne ich rodzaje, ani opisywać celujące ich znamiona lub podrzędne onych rozmaitości i wydoskonalony sposób pielęgnowania — na co Anglią tylko stać, a łożący na nie koszta i pracę znajdują sowite wynagrodzenie. Osobliwie kwiatów było bez liku. Najcelniejsze z nich wypielęgnowane były w cieplarniach p. James Morrell. A nie były to spospoliciałe już fuksye, geranie, róże lub gwoździki, lecz takie jak: *Kalosanthos coccinea*, *Aphelexis purpurea grandiflora*, *Hydrangea hortensis*, *Vinca rosea*, *Vinca alba* i *Erica Cavendishii*, które wszystkie otrzymały najpierwsze premia. Co drugie otrzymały, za długo byłoby tu wyliczać. Widziałem tam brunatne hamburskie winogrona, wypielęgnowane w Anglii, tak duże jak spore śliwki, ogórki na pół łokcia długości, kalafiory jak głowy kapusty. Dzień wystawy był śliczny, ztąd tylko niewygodny, że zbyt wielki był upał; i szczęśliwym był ów kto się dla chłodu mógł dostać w cień jakiego klombu lub rozłożystego kasztanu. Jakby na to aby nie zakłócić spokojności ślicznéj przyrody ogrodu, wietrzyk tchnieniem ani listku na drzewach nie poruszał. Muzyka tylko przerywała od czasu do czasu tę ciszę; jedna wśród ogrodu cywilna, a druga wojskowa która na pontonie pośród szerokiego stawu była umieszczona. Znajdowało się na wystawie 6200 osób, więcéj niż kiedykolwiek za lat przeszłych; więcéj

też miało Towarzystwo ogrodnicze z niéj dochodu na przyszłoroczne nagrody.

Na zakończenie tego dnia wieczorem były na łące Holywell-Green sztuczne ognie. Na wyprawienie i kierowanie niemi był ogniomistrz Darby umyślnie sprowadzony z Vauxhallu. I to widowisko miało do 3000 widzów.

Lecz dzień środowy, jako komemoracyjny był ze wszystkich najwięcéj zajmujący. Obrzęd komemoracyi odbywa się w tak zwanym *Sheldonian Theatre*, który niewiem dla czego nosi tę nazwę, ale używany jest jako miejsce na największe uroczystości akademickie, bo na pomniejsze służy *Convocation Hall*. Na tę uroczystość damy wpuszczane były tylko za biletami, o które trzeba było wcześnie się starać, a i tak nie łatwo było je dostać; a mężczyźni mogli tylko wejść wprowadzeni przez znajomych im członków uniwersytetu, magistrów lub doktorów. I tu również zachowywano ostrożność aby nie stało się jakiéj profanacyi.

O 10éj teatr zaczął się napełniać. Naprzód otworzono wejście dla dam jako wszędzie najpierwszych i najniecierpliwszych. Następnie otwarto drzwi dla studentów, a na ostatku dla posiadających stopnie akademickie i gości im towarzyszących. Ci weszli na tak zwaną *areę*, czyli parter, jeśli mam użyć teatralnego wyrazu — w liczbie ich i ja byłem.

Wszedłszy tam i obejrzawszy się naokoło, zastałem całą ogromną przestrzeń gmachu zapełnioną, a raczéj jak nabitą. Na niższéj galeryi siedziały damy na wznoszących się stopniowo siedzeniach, w najpiękniejszych, bogatych, po większéj części jasnych ubiorach, drugą i najwyższą galeryę zajmowali studenci wyglądający w swych czarnych togach jak jedna masa czerni. Obie galerye były w kształcie podkowy nieco rozwartéj; a ich końce połączał chór, na nim organy. I ten podobnież cały był zapełniony. Największy kontrast przedstawiały obie galerye, niższa z kobietami jasna, wesoła; wyższa nad niemi czarna jakby krucza i krom wesołych wypogodzonych twarzy młodzieży, posępna.

Od wejścia z godzinę trzeba było czekać nim obrzęd komemoracyjny był rozpoczęty. Trzeba było więc ten czas czem zapełnić — młodzież bowiem niecierpliwa.

To powód dało do sceny, którą podróżnik ze stałego lądu, gdyby był jéj świadkiem, pewnoby potępiał, a która, ile że była zgodną z duchem i obyczajami narodu, nikogo tu nie raziła. Daleka od nagany, nastręczyła owszem przyjemną tylko krotochwilę.

Studenci siedząc na swéj górnéj galeryi, która jak mówiłem była w kształcie podkowy, mogli się wszyscy widzieć jak w amfiteatrze. Zapominając, raczéj mało zważając na resztę obecnych, poczuwając się jedynie do prawa swobodnych Anglików jako nowa generacya, poczęli głośno występować, jakby sami jedni byli, na arenę polityki i otwarcie ogłaszać bez ogródki swe zdanie i sąd o najpoważniejszych w kraju mężach, wymieniając ich po imieniu — słowem, rej prowadzili. Imiona popularne otrzymywały *cheers*, oznakę radości i aprobaty; niepopularne i znienawidzone od nich *groans*, jęki; a imiona nie warte wspomnienia, jeśli kto z pośrodka mowców je wzmiankował, zagłuszane były sykaniem: *hisses*. I tak na wzmiankę zrobioną o „królowéj“ wszyscy powstawszy z miejsc powitali ją okrzykami radości długo trwającemi; podobnież imiona księcia Alberta i księcia Walii były powitane z zapałem. Margr. Chandos, odrzucony torysowski kandydat, znany współzawodnik Gladstona, przyjęty był przez jednych radosnym okrzykiem, a przez drugich sykaniem i śmiechem; Gladstone przeciwnie miał więcéj przeważających okrzyków radości za sobą. Hr. Derby otrzymał *cheers* jako naczelnik byłego rządu, lecz odmówiono mu ich jako kanclerzowi uniwersytetu. Wzmianka o komitecie co ustanowiony był od rządu i zajmował się reformą uniwersytetu, wywołała zewsząd sykanie; zachowawcza zasada: *nolumus Angliae leges mutari*, jawnie się w tem odbiła. Na lorda Palmerstona głosy były rozdzielone, lord J. Russell zimno był przyjęty. D'Israeli wspomniony pod przezwiskiem „Ben“ w jednych wzbudził śmiech, w drugich okrzyk. Biskupi Oxfordu i Chichester otrzymali okrzyki. Garibaldi niewzbudził żadnego wzruszenia. Cesarz Napoleon wywołał jęki, w pośród których wszakże słychać było i kilka oznak okrzyku. Dla Brighta i Edwin James (radykał) były jęki; również dla Koszuta i dla dziennika Times. Trzykrotne okrzyki radośne rozległy się po gmachu dla studentów w Cambridge. Pro-

ktorom także, osobliwie starszemu — co rzadko bywa — dostał się okrzyk szacunku. Hałaśliwy ten réj młodzieży prowadzony w gmachu, gdzie obok Jerzego Rejenta w całej postaci, w królewskim płaszczu z gronostajów, wisiały militarne portrety Aleksandra I i Fryderyka Wilhelma króla pruskiego — nasuwał mi znającemu historyę innych akademij smutne asocyacye myśli. Rej takowy i śmiałość sądu zdawały się z piekieł wywoływać cienie Nowosilcowa i Bibikowów; mieliby oni tu co do trzebienia, lecz nie dla nich było to miejsce.

Przebiegłszy tedy sferę polityki i co w niéj było ważniejszego, ta czerń *togata* na górnéj galeryi, jakby już znużona wpadła na inną pustotę weselsza i pocieszniejszą od pierwszéj. Galerya niższa, gdzie damy siedziały zwróciła ich uwagę. Nuż tedy okrzykiwać: Niech żyją panie w „bieli“, niech żyją ubrane „różowo“, „zielono“ i tak daléj w różnych innych barwach, aż po wyczerpaniu wszystkich, wykrzyknęli w końcu: Niech żyją wszystkie damy!

Uderzyła jedynasta. Tu najświetniejsza jakiéj można kiedy być świadkiem, nastąpiła scena. Wicekanclerz poprzedzony trzema bedelami z srebrnemi berłami (maces), wszedł do gmachu w orszaku przełożonych nad kolegiami i doktorów; wszyscy ubrani w poważnych togach akademickich swych fakultetów. Za okazaniem się ich we drzwiach, wszyscy obecni powstali. Organy zabrzmiały: „*God save the Queen*“, z ich brzmieniem wszyscy tam zgromadzeni połączyli swe głosy. Cała postawa i widok gmachu był uroczysty, wielki, niepodobny do opisania.

Zanim hymn się skończył, podczas ostatniéj jego strofy, za orszakiem szli mający otrzymać zaszczyt stopni doktorów (honoris causa). Niemi byli: pan John Inglis. M. A. Lord Justice Clerk Szkocyi; sir John Lawrence dzielny rządzca Pendżabu i jego uspokoiciel; jenerał sir Archdale Wilson *Delhicki*, zdobywca Delhi; pułkownik Greathead, który odznaczył się walecznością pod Delhi, i w pochodzie z swą kolumną pod Luknow uratował Agrę od oblężeńców; prof. Boole za zasługi swe w matematyce i loice, i Antoni Panizzi główny bibliotekarz brytańskiego muzeum. Prof. prawa cywilnego Dr. Travers Twiss polecając kandydatów do stopnia,

te zasługi każdego obszernie w łacińskiéj mowie wyliczał, i wicekanclerz też w łacińskim języku stopnie doktorów przedstawionym przyznawał. Lecz i w tym razie studenci z galeryi niezaniechali dać się słyszeć z swem zdaniem. Nominacye bohaterów indyjskich były przyjęte przez nich jednozgodnie z największym zapałem, z okrzykami kilka minut trwającemi i powiewaniem nad g owami czarnéj chmury ich beretów; lecz co do nominacyi prof. Boole krzyczeli: że dosyć już mieli matematyków. Nowo zamianowani doktorowie zasiedli miejsca w gronie doktorów, a indyjskich podziwiano, że na wojskowych ich mundurach pięknie im toga akademicka leżała.

Po dopełnieniu tego obrzędu, orator uniwersytecki miał mowę łacińską, zdając sprawę z zeszłorocznych czynności uniwersytetu. Potem nastąpiły recytacye studentów własnych ich pism na kwestye ogłoszone do konkursu, a jakie otrzymały nagrody. Z nich pierwsza była: „*India*“ we dwiestu z górą hexametrach wyborną łaciną napisana; z nich można było wnosić, że klasyczna literatura na wysokim stoi stopniu w Oxfordzie. Druga była wyjaśnieniem pytania: *Quatenus Fabulae credendum sit de Argona utarum cursu maritimo.* Trzecia: „Jaki wpływ szlachetne kruszce Ameryki miały na wielkość i pomyślność Hiszpanii?“ Czwarte zadanie było: „Luknow“ wiersze o nim w angielskim języku. Czytanie prac łacińskich, jak uważałem, nużyło większą część publiczności, lubo zwracało uwagę akademików. Wiersze o „Luknowie“, które autor z pamięci i donośnym głosem recytował, przyjęte były z wielkim zapałem. W wielu miejscach pełnych rzewności i czucia, przerywano mu oklaskami mowę. Osobliwie dla trzech bohaterów indyjskich, którzy byli obecni, musiały one być przyjemne, że waleczne ich czyny zostały tematem do wzniosłéj poezyi.

Posiedzenie to akademickie przedłużyło się do drugiéj godziny. Po czem kolegia mają zwyczaj swych znajomych zapraszać na *luncheon*, czyli *déjeuner à la fourchette*. Nas pięciu miało inwitacyę do kolegium Brasenose. Ranny ten posiłek stałby za pyszny obiad, tak był obfity i wykwintny. Niektóre kolegia dawały

wieczorem koncerta, a nawet jedno z nich dało u siebie bal.

W opisie tym miałem głównie na baczeniu to, czem się uniwersytet oxfordzki od innych odznacza, a nie w czem do nich jest podobny. Uważny czytelnik reszty sam się domyśli i dopełni.

Na dokończenie mego tu pobytu zrobiłem jeszcze wycieczkę do Blenheim, wspaniałego siedliska książąt Marlborough, którem naród pierwszego ich antenata był uposażył za zwycięztwa odniesione przez niego nad Francuzami we Flandryi. Jest tam przepyszny pałac z bogatą galeryą obrazów i biblioteka, i obszerny angielski park W parku tym widziałem szpalery ogromnych buków, drzewa rzadkiego w Anglii, a od którego u nas cała podkarpacka prowincya nazwana jest Bukowiną. Zwracałem na nie uwagę Anglików, i oni się im dziwili jako osobliwości.

Rzym w lipcu.

Upłyniony miesiąc okazał się dla Włoch okwitszym w wypadki niż wszystkie co go poprzedziły od roku, ba, od lat wielu. Półwysep cały zatrząsł się od Alp do Kalabryi, od Adryatyku do Śródziemnego morza, i wre dotąd gorączkową czynnością tém gwałtowniejszą, iż następuje po wieloletniem znieruchomieniu i uśpieniu. Ten południowy całkiem wybuch życia, o jakiem w zimniejszych strefach trudno powziąść wyobrażenie, ma pewne podobieństwo do wybuchu wulkanów włoskiéj ziemi; a i te nawet bezczynnemi nie zostają, i Wezuwiusz odpowiada na huk dział i na tętent ścierających się zastępów groźnym podziemnym grzmotem swoich wnętrzności, z których płyną ustawiczne potoki lawy....

Rozkoszny ogród Europy dowodzi aż nadto w téj chwili, że będąc rajem sztuk, natchnień i pamiątek, jest zarazem odwiecznem polem bitwy wszystkich narodów, wszystkich idei, wszystkich namiętności.... Próżnobyś szukał w nim o téj porze cichego pogodnego spokoju

pośród przezroczystych widokręgów nad modrą tonią mórz i jezior, co go tak pożądanym czynił dla pustelniczych myślicieli lub dla serc zbolałych i sytych..... po nad laurowemi i oliwnemi gajami wiruje kurzawa wzbita czwałem zbrojnych hufców i upadkiem walących się tronów:

Un fluttuar di fanti e di cavalli
E fumo, e polve, e lucicar di spade
Come tra nebbia lampi.....

Komużby się teraz chciało uderzać w klasyczne marzenia nad zwaliskami opiętemi powojem, kiedy się u stóp ścielą coraz nowe obaliny? Komu nurzać niepamiętnie źrenicę w wewnętrznéj doli włoskich bezchmurnych ideałów lub w zewnętrznéj doli olśnionych słońcem nizin i zawianych błękitem gór, kiedy oko co chwila zbierać zniewolone ciśnięte w prędce błyskawicą telegrafu głoski buletynów, w które jak w chyże stada wędrownego ptastwa wciela się pośpieszna zadyszana obecność?.....

A jednak serce ludzkie czując, że to chwila przejścia, usiłuje wylecić z tego szumu i z tego dymu, i rwie się jak ustała ptaszyna przebywająca wielkie morze ku dalekim lądom, ku dorodnym lasom i ku zacisznéj gdzieś w cieniu miłości.....

A tym czasem nad Włoską ziemią wrzącą po wierzchu ogniem walki, pod spodem zaś płomieniem wulkanów, bezprzykładne lato szerzy spiekę, jakiéj tutaj oddawna niepamiętają.... Nad niemem pustkowiem otaczającem wieczne miasto rozpościera się jak okiem zajrzeć górna pustynia z lazuru, po któréj afrykańskie słońce samotnie się przechadza w tym zeusowym majestacie, od którego spopielała Semele, nie spotykając po drodze jednéj maluczkiéj chmurki, jednéj napowietrznéj oazy, zkądby spadła na ziemię kropla rosy lub rąbek cienia... Ludzie pamiętający dawne wojny, lękają się aby z tych nadzwyczajnych upałów i z ilości trupów na polach Lombardyi nie wywiązało się morowe powietrze, ta straszna plaga zwykle za wojną idąca.....

Pomimo wyniosłych rzymskich pałaców, pomimo świeżych marmurów i szemrzących fontan, jak salamadry

żyjemy w ogniu i karmiemy się ogniem, bowiem powietrze, nawet po zachodzie słońca, zachowuje tutaj palący oddech, i jak pierś spracowana we śnie zieje w późną noc dziennemi żary..... Atoli nocy te parne i ciężkie, miewają czarujące chwile, ilekroć na placach i na wysokościach Rzymu, przy kolumnie Antonina, koniach Fidyasza lub posągu Marka-Aurelego, pod rozżarzonemi aż do jutrzennéj jasności gwiazdami, ciepły podmuch wiatru zagłaszcze cię po czole i obeśle cię zapachem róż i pomarańczowego kwiatu, ucinkami serenad i dźwiękiem wodotrysków podobnym do tego, jaki wydaje sznurek pereł rozsypujący się po gładkim marmurze.....

Jednak, jak rzekłem, nie sporo nam idą te dorywcze i krótkotrwałe wczasy, ukradkiem i w lot u bieżącéj chwili porwane..... Rewolucya by cień straszliwy ciągnący niekiedy za najświetniejszemi rozbłyskami powszechnego zapału, podnosi zewsząd głowę na papieskiéj ziemi.... Nie będę zapewne tutaj pisał apologii rządów kardynała Antonellego i bronił bezwzględnie jego polityki; ale liczne miasta jakoby nie było raczéj ich powinnością prosić z umiarkowaniem o pożądane reformy i czekać cierpliwie takowych gdy nastąpi ogólna Włoch reorganizacya, poczynają od pogardliwego wypowiedzenia poddaństwa Ojcu świętemu, któremu wszakże nie mogą zarzucić ani cudzoziemskiego pochodzenia, ani nienarodowéj od tylu wieków przeszłości..... Herby jego wszędzie zrzucają i tłuką, bullę exkomunikacyjną wydaną przeciw naruszycielom własności kościelnéj wyrzucają na śmietnik, rząd tymczasowy bonoński odpowiada na nią przez własną klątwę lub raczéj parodyą klątwy kościelnéj, odsądzając Papieża, kardynałów i duchowieństwo katolickie od czci i wiary.... W Bononii przez nienawiść do Papieża nikt już na mszą niechodzi i kościoły w niedziele i we święta stoją tak dalece pustkami, że zaledwie w katedralnym kościele św. Petroniusza modli się kilka starych niewiast.... A przecież Papież podczas kilkomiesięcznego pobytu obsypał to miasto dobrodziejstwy swemi, i chociaż jako Głowa Kościoła chrześcianom wojny wydawać nie może w teraźniejszym mianowicie wieku, chociaż ma sobie z góry powierzone owo szczytne *Pax vobis*, będące zarazem

orzeczeniem posłannictwa jego na ziemi, nie wzbraniał nikomu indywidualnie spieszyć dokąd go powoływało uczucie..... Ludzie atoli niecierpliwie znoszący papieską władzę i ulegający starodawnym pokuszeniom italskiego municypalnego ducha, chcą ażeby miasta będące neutralną Kościoła własnością, udział w wojnie miały, to jest nie tylko mieszkańcy, którym stoją otworem pola Lombardyi, ale miasta same, to jest domy, dzwonnice i uliczne rogi..... Zresztą są to tylko farbowane pozory dla pokrycia i ubarwienia nieszlachetnych podniet: we wielu bowiem miejscach nie pragnęło się tyle tryumfu sprawy piemoncko-francuzkiéj, ile obalenia Papieztwa „téj jedynéj żyjącéj wielkości Italii", jak powiedział Rossi konając pod sztyletem rewolucyi....

Niepodległość Głowy Kościoła jest potrzebą całego chrześciaństwa, względem któréj najmniejsza nie zachodzi kwestya.... Namiestnik Chrystusowy po długowiecznem piastowaniu świeckiéj władzy sięgającéj ustania prześladowań pierwotnego Kościoła, i przenoszącéj dawnością wszystkie w świecie rządy i mocarstwa, nie może wśród dziewiętnastego wieku zrzec się niezawisłości swojéj ani dóbr nie należących do niego osobiście, lecz do Stolicy Świętéj, i stać się poddanym świeckiego króla lub rzeczypospolitéj. Bez uciekania się do loiki, dość się nawet poradzić samego czucia: azali można sobie wyobrazić światowładną Romę, która stawszy się kolebką i grobem największego w dziejach ludzkich mocarstwa, okupiła nareszcie strugami krwi męczeńskiéj wyzwolenie swoje z pod przewagi siły zwierzęcéj i spokojne przewodniczenie światu całemu, azali można ją sobie wyobrazić ulegającą jakiejkolwiekbądź dyktaturze i przyjmującą jakiegokolwiekbądź Cezara w Watykanie i w jego okolicach zamienionych w główną kwaterę:

....Vaticano, e l'altre parti elette
Di Roma, che son state cimetero
Alla milizia che Pietro seguette. (*Parad.* C. IX).

Zaiste rewolucyoniści papiezkiego państwa, gdyby wolno było dziwić się czemu z ich strony, zadziwiliby nas niepomału swoim brakiem historycznego i społeczeńskiego taktu, społeczeńskiego, powiadam, bo zapo-

minają całkowicie, że Włochy są cząstką chrześciaństwa, i że wszystkie katolickie ludy mają oczy zwrócone ku nim, aby widzieć czy się staną godnemi świetnego losu, do jakiego roszczą sobie prawo i czy się wywiążą jak na wielki naród przystało z historycznego zadania i włożonego na się przez Opatrzność posłannictwa wiernego przechowywania w swem łonie ogniska powszechnéj wiary, szanując wszystkie prawa i warunki ziemskiego jéj bytu.....

Żadnemu w świecie narodowi, żadnéj krainie palec Boży nie wytknął samolubnéj missyi oderwanéj od wielkiego całéj ludzkości organizmu; inaczéj bowiem zniknęłaby przedwieczna harmonia dziejów i ciąg wypadków przestałby być chórem sławiącym po całym czasów obszarze tajemnicze zrękowiny Opatrzności z wolną wolą człowieka. I tak dawniéj np. Polsce kazano być przedmurzem chrześciaństwa, i w otwartem polu, wciąż konno i zbrojno, z nagą piersią i natchnionem czołem prowadzić życie wysuniętéj naprzód placówki; tak Italii rozkazano być arką wielkiego przymierza wiary i oświaty z wyzwoloną przez chrześcianizm ludzkością, i dzierżyć dwoistą ich pochodnię wysoko wzniesioną w swojéj posągowéj dłoni. Narodom chrześciańskim wolno w każdym czasie zapytać, w jaki sposób Italia spełnia ten obowiązek i czy w niczem nie uszczupla i nie ścieśnia pospolitego wszystkich narodów skarbu w łonie swojem złożonego.... Jeżeli Italia okólnikami hr. Cavoura odwołuje się do współczucia całego świata, to nie może dowolnie lub swawolnie, jakoby w ciemnicy i z włoską nieoględnością *fare il suo commodo*, i układać stosunki swoje ze Stolicą Świętą podług własnego widzimi się; rzekłbym nawet, że prawa tego nie ma kongres, w którym zasiadać będą różnowiercy i gdzie się większość składać będzie z protestantów i schizmatyków powołanych do stanowienia, nie wiedzieć na jakiéj międzynarodowéj podstawie pozwalającéj mocniejszemu mieszać się do spraw słabszego, o doczesnem panowaniu Namiestnika Chrystusowego i o jego rozległości jeograficznéj.....

I nie tylko że nas wszystkich w Rzymie zostających zasmucił niesłychanie obrót wypadków w Państwie Kościelnem, lecz utrzymuje nas w niewymownem oczeki-

waniu i niecierpliwości niewyraźne dotąd stanowisko Króla i Cesarza względem Stolicy Świętéj, która odebrała od obydwóch najuroczystsze przyrzeczenia, mianowicie w poufnych listach do Ojca Ś. pisanych. Stanowisko to co chwila fałszywszem się staje, bo systematycznem milczeniem i zwłoką zda się usprawiedliwiać rewolucyą... Na mocy naszéj wielkiéj rycerskiéj przeszłości, Polacy są nienajgorszymi sędziami w materyach tyczących się kawalerskiéj czci i kawalerskich powinności, i wiedzą, że prawica w obecnym celu podniesiona spadać nigdy nie powinna na nietykalność Kościoła i dóbr jego; jako katolicy zaś widzą, że opoka Piotrowa przetrwa wszystkie burze w rzeczach nawet odnoszących się do materyalnego bytu Kościoła, i że żłobione działa, gdyby się nawet w tę stronę obróciły, nie z lombardzkiemi twierdzami będą miały do czynienia, ani ze ścianą którą kula obala.....

Wybaczcie, proszę, żem literacką kronikę zamienił niejako w polityczny przegląd..... Wina to nadzwyczajnych wypadków tutejszych, prawdziwych obecnéj chwili dyktatorów, których dyktaturze żaden się umysł oprzeć nie potrafi. Raz na tem polu, dodam jeszcze, że szlachta rzymska jedyną jest we Włoszech szlachtą na którą nie wpłynęły bynajmniéj teraźniejsze okoliczności. Żaden z członków trzydziestu trzech książęcych domów rzymskich nie obrał sobie wojskowego zawodu. Jedynym wyjątkiem jest młody książe Don Emanuel Ruspoli-Marescotti, członek starożytnéj włoskiéj rodziny spokrewnionéj z panującemi domami Francyi i Hiszpanii. Liczący dwudziesty trzeci rok życia swego a uważany za jednego z najurodziwszych młodzieńców miasta, gdzie tylu jest ślicznych mężczyzn, książe Ruspoli odznaczył się już także w wyższym zaszczytniejszym zawodzie; słynie on bowiem ze swego poetycznego talentu, i w tak młodym wieku umiał już sobie zjednać sławę pisarza zalecającego się niemniéj pięknością i świeżością pomysłów a wykończeniem formy w poezyi, jak męzką jędrnością i tacytowską trześciwością stylu w niewiązanéj mowie. Pozwólcie mi przytoczyć wam wiersz, który niedawno napisał w pamiętniku jednéj z naszych rodaczek. Jestto westchnienie do pięknéj Italii:

Chi all' Italia dice addio
Ma gentile e umano ha il cor
Ha di riedere il disio
A quest' Eden dell' amor.

Questo ciel, quest' aura pura
Sol di amor vi parla al cor!
È il sorriso di Natura
È la terra dell' amor.

Questo cielo chi non brama
Non racchiude in petto un cor,
Questa terra chi non ama
Non nasceva per l' amor.

Oh! sei pur bello o ciel d' Italia mia
Ove il bel si *soavemente suona!*
Dolci sono l' acque tue, vaghi i tuoi prati
Ove verdeggia profumata rolla;
Gentile il bacio delle aurette tue,
Che i fiori accarezzando le dorate
Poma riscuote, del tuo cielo al lume
Più sereno nudrite, amene piante
Che van chinando illanguidite i capi
Come stanche fanciulle, allor che ai cari
Sogni le invita il sonno. Oh! sei pur bella
Italia, Italia mia! sono pur belli
Il tuo cielo, il tuo suolo, i tuoi profumi.

„Kto żegna Italią, a szlachetne i tkliwe ma serce, pragnie wrócić do tego raju miłości.

„To niebo, to powietrze przeczyste, samą miłość sercu opowiadają..... To uśmiech przyrodzenia, to ziemia miłości.....

„Tego nieba kto nie pożąda, nie ma serca w piersiach, téj ziemi kto nie miłuje, nie urodził się dla miłości.....

„Ach! piękneś ty o niebo Italii mojéj, kędy lube *sì* tak uroczo dźwięczy! Słodkiemi są twoje wody, ponętnemi twoje pola, na ktorych się zieleni wonna skiba; miłym jest pocałunek powiewów twoich, co pieści się z kwiatami, co otrząsa owoce pozłocone przez twe świa-

tło od innych pogodniejsze świateł, i co nagina rośliny schylając omdlałe czoła gdyby znużone dziewice gdy je sen wabi na ponętne marzenia. Ach! pięknaś Italio. Italio moja! i piękne twe niebo, twa ziemia, twe balsamiczne kwiaty!.....“

W chwilach tak stanowczych, wszystko cokolwiek się znajduje poza obrębem polityki podrzędną we Włoszech musi odgrywać rolę. I tak lubo wszystkie rzymskie teatra pootwierane, mało kto w nich bywa a nikt o nich nie mówi; jednak wyborną mamy śpiewaczkę w pani Marchisio, któréj godnie wtoruje znakomity tenor Pancani w teatrze *Apollo*. Jest także pani Parepa świeżym i silnym obdarzona głosem. Cztery opery bywają kolejno dawane publiczności: *Trovatore*, *Semiramis*, *Norma* i *Otello*. Ta troista muzyka wyobraża trzy epoki włoskiego śpiewu; artystyczna trójca złożona przez Rossiniego, Belliniego i Verdego jest tem w melodyi, czem Peruggino, Rafael i szkoda bonońska w malarstwie. Rossiniego czuje się i uwielbia, Verdego się podziwia nieraz aż do zachwytu, lecz Bellini, Sanzio i Wirgiliusz melodyi, jest tem dla czucia czem południowa noc miesięczna pełna nieujętych odcieni, przezroczystości, tajemniczości i czaru.....

Atoli tego rodzaju porównania, jakieby to zestawienie trzech wielkich *maestrów* w innym czasie nastręczyć mogło, ustępują obecnie w umyśle słuchającéj publiczności innym ważniejszym i żywotniejszym zajęciom. Chętniéj ona teraz napełnia kawiarnie, gdzie włoskie i francuzkie dzienniki wywierają na nią wpływ magnesu na kruszec. Że zaś ilość gazet nie może być nigdy w równym stosunku do nieskończonéj liczby czytelników, przeto niektórzy głośno je czytają, a w kawiarniach zaś, gdzie nie ma tego zwyczaju, ciekawi oczekują nieraz po trzy i cztery godziny z rzędu na zaklęty arkusz.

Jednak pomimo silnego natężenia opinii, największy porządek panował w Rzymie w czerwcu; obawiano się publicznéj manifestacyi w dzień Wniebowstąpienia, ale umiarkowanie ludu nie wyszło ani na chwilę ze zwyczajnych swoich granic. Tkliwa i uroczysta ceremonia błogosławieństwa papiezkiego z krużganku Lateranu odbyła się w cichości z poszanowaniem i przyzwoitością cechującemi tutaj wszystkie religijne obchody. Słynne

błogosławieństwo wielkanocne udzielane corocznie *urbi et orbi* z wysokości św. Piotra, lepiéj jest znane cudzoziemcom i tworzy zachwycający jedyny w świecie obraz dla wystawy, jaką się otacza, dla architektonicznéj wielkości najogromniejszéj na ziemi świątyni, która mu służy za widownię, dla przeszło stu tysięcy ludu zgromadzonego wówczas na placu ś. Piotra. Ale ten sam obrządek nabiera przy bazylice Lateraneńskiéj niewymownéj, bardziéj podług mnie uderzającéj majestatyczności. Nic tak żywo do wyobraźni nie przemawia. Niemasz tutaj placu wielkiéj stolicy, Watykanu niebotycznie się piętrzącego, pałaców, kolumn, wodotrysków, wart szwajcarskich w stoju *del cinquecento*, wszystkiego zgoła co znamionuje wstęp do monarszego mieszkania, do największego w świecie pałacu, którego ś. Piotr zda się być kolosalną kaplicą. Bazylika Lateraneńska, głowa i matka wszystkich kościołów grodu i świata, *omnium urbis et orbis ecclesiarum mater ct caput*, wznosi się samotnie pośród pustkowia, co się już zaczyna tuż przy murach miasta. Oparta jednym bokiem o starożytne blankami najeżone ściany cesarza Aureliana i o bramę *Asinaria* Belizaryusza, panuje ona samowładnie nad starożytnym Rzymem. Malownicze wodociągi umajone ciemno-zielonym bluszczem i gdyby wyhaftowane na tle sinych gór, świątynie, łuki, koszary pretoryańskie, które sosna włoska, ta palma rzymskiéj pustyni zacienia, a na których jaszczurka wygrzewa się na słońcu pośród pasożytów i chwastów, zdają się uklękać rozpadłe, chwiejące, upokorzone, z rozwianemi warkoczami powojów, przed olbrzymim posągiem Zbawiciela zdobiącym facyatę téj fary chrześciańskiego i wznoszącym krzyż swój nad skruszonemi na wieki pomnikami władzy bogów i Cezarów. Nic tak zachwycająco nie symbolizuje wielkości wiary i jéj wyższości nad zmiennym świata porządkiem, jak to odludne panowanie Lateranu nad rumowiskiem śmiertelnych rzeczy, które Dante tak cudownie w tym wierszu wyraził:

quando Laterano
Alle cose mortali andò di sopra. . . .

Wielka postać Papieża uroczo odbija przy téj świątyni, która była jakoby jéj średniowiecznem podnóżem,

kędy olbrzymie indywidualności Inocentych i Grzegorzów epicznych dorastały rozmiarów, kędy Konstanty chrzest przyjął, kędy się rozległ po raz pierwszy niezmierny okrzyk wojny krzyżowéj..... Z Papieżem znienacka powstającym w potrójnéj koronie i wyciągającym ramiona na górnym krużganku, powstaje widziadło ośmnastu wieków, powstaje do razu cała przeszłość Papieztwa nieopisaną nacechowana wielkością, cały ogrom tradycyi katolicyzmu, walk oświaty z ciemnotą i przemocą, ducha z materyą, która pod kształtem rozproszonych świątnic Romy naśladuje skruszony zasklep, z którego wyleciał jasny motyl wolności człowieczéj, i poziomo się ściele jakoby okiełznana tem bezbronnem skinieniem, co niegdyś w proch wbijało czoła Henryków i Fryderyków, co rzucało bohaterów z pod Legnano jako żalazną groblę przeciwko zapędom Rudobrodego. — Nie są to czcze deklamacye, pusty brzęk okresów rozmarzonéj wyobraźni; każdy, kto ma cokolwiek czucia, znajomości historyi i swobody na dnie duszy swojéj, a obecnym się znajduje kiedy Papież błogosławi światu z krużganku ś. Jana Lateraneńskiego, porwanym, uniesionym zostaje całym tym jednorazowym objawem największéj w świecie wielkości, i jeżeli jest chrześcianinem, upada przed tą uosobioną potęgą, która świat przeobraziła i Romę pogrzebała w gruzach; a jeżeli jest nadto Włochem, podziwia na średniowiecznem tle Lateranu tego nieumierającego Gwelfa w stroju Aleksandra III, tego Gwelfa, któremu Italia wszystko czem jest zawdzięcza, a który wedle słów wiekopomnego i nieszczęśliwego hr. Rossi, jest jéj jedyną żyjącą wielkością.

Lenartowicz bawił dotychczas we Włoszech, lecz pomimo tego pobytu zdrowie jego zawsze w niepomyślnym znajduje się stanie. Opuścił on przed miesiącem wieczne miasto dla odetchnięcia powietrzem morskiem pośród sosnowych lasów przyległych do śródziemnéj fali koło Porto d'Anzio i Nettuno. W niebytności jego powtarzam wam tę śliczną sielankę, którą niezbyt dawno napisał, a która jest całym dramatem:

W zielonym gaiku
Siedzieli we dwoje,
Drzewo się złamało,
Zabiło oboje.

Zabiło, zabiło,
I dobrze zrobiło,
Żadne nie zostało
By po nich płakało.

Krótka piosenka, a w niéj całe życie
Jak w czystéj wodzie znalazło odbicie.
Zielony gaik, toż w lecie zapewne
Kiedy gaiki wskróś bywają śpiewne,
I wietrzyk lasu nieujęta dusza
Brzozowem liściem po gałązkach wzrusza;
Kiedy żywica ocieka po sośnie,
I kiedy zboże w oczach prawie rośnie.
Było ich dwoje — widać on i ona,
On zakochany, ona zamyślona.
Płowy włos miała i piersi łabędzie,
A rozmyślała gdzie znużona siędzie;
Szła tuż przy zbożu bruzdą przeoraną,
I rwała kłosy ilekroć przystaną;
Bławatki rwała, lazurowe kwiecie,
I garść ich pełną miała przy gorsecie.
On szedł opodal i od zakochania
Nie wiedział czy to dziewczyna czy łania,
Czy coś dziwnego co się przed nim snuje
I nic nie mówi a ciągle czaruje.
Patrzał się na nię kiedy szła po stronie
Duszą radośną, spojrzeniem co chłonie,
I w ogniu serca rozżarza i pali
Istotę ludzką, — najtrwardszy z metali.
Tymczasem naraz niebo się zachmurza,
Ni ztąd ni zowąd porywa się burza;
Przez całe niebios dalekich przezrocze
Ciągną się szare deszczowe warkocze.
Ona spojrzała i strwożone lica
Tak jéj oblała straszna błyskawica,
I tak ją piorun przeraził tuż przy niéj,
Że uciekała niewiedząc co czyni.
Przy drodze drzewo stało w liść obfite,
We mchy porosłe żółte, rozmaite,
Jak to po gajach naszych czasem bywa
Że stoi dębu taka postać siwa,

I pod niebiosa obnażone czoło
Wznosi poważnie nad drzew młodych szkołą.
I któż pod cieniem dębu nie przysiada,
Słońce niepali, deszcz tam nie przepada....
W objęcie brata czy kochanka może
Upadła trwożna jak przepiórka w zboże,
I coraz tylko na świat wyglądała
Spłoszona strasznie i tem więcéj biała,
Słuchając dzikiéj szalonéj rozmowy,
Co mówi burza i co gaj brzozowy.
— Przejdzie to przejdzie, on ją uspokajał;
Tymczasem wicher wycia swe podwajał,
Drzewa chyliły się do saméj ziemi,
I zamiatały liśćmi zielonemi;
Dąb sturamienny co burzę wyzywał,
Stał niewzruszony choć go wiatr okrywał.
Powoli grzmoty były coraz rzedsze
I chmury w górze przeciągały bledsze,
I wszystko barwę błogą przyoblekło,
Niekiedy z liścia kilka kropel ściekło.....
Długo posępne niebo się wyjaśnia,
I liście słońce schmurzone pokraśnia.
I ona oczy ku niemu podniosła,
I prostowała się jak gdyby rosła,
Usta ku ustom biegły równocześnie,
Jak to w miłości bywa albo we śnie.....
W miłości we śnie, jeśli to nie mało .....
W tem huk się rozległ, echo poleciało,
I nad zwłokami zakochanych ptaków,
Zatrząsł się ciemny grób zielonych krzaków .....
Dwoje ich było, nikomu nieznani,
Żyli dla siebie, w sobie zakochani;

Drzewo ich zabiło,
I dobrze zrobiło,
Żadne nie zostało
By po nich płakało.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Z nowości ukazujących się w Krakowie mało mamy co donieść, chociaż drukarnia „Czasu“ wzięła na siebie wydanie dwóch wielkich przedsięwzięć literackich jak: Historya kratedry krakowskiéj ks. Łętowskiego, a następnie: dzieł Długosza — jednakowoż lat kilka potrzeba za nim ostatnie to zadanie do skutku przyprowadzonem będzie.— Co się w téj myśli dokonało, podaje sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza, odbite z Czasu w osobnéj broszurce. — Trzecia publikacya którą się pomieniona drukarnia zajmuje jest Biblioteka Polska wydawana p. Turowskiego. Na każdy miesiąc wychodzi zeszytów kilkanaście, lecz z tą dogodną zmianą, że kilka zeszytów składa się na jeden tom. Najświeżéj ukazały się *Pisma wierszem i prozą* Wespazyana Kochowskiego. W pięciu zeszytach. Tom ten obejmuje jego Liryki polskie, wydane po raz pierwszy r. 1674 pod napisem: Niepróżnujące próżnowanie. I pod względem wartości poetycznych myśli, a również historycznych szczegółów, przedruk tych pieśni odpowiada dzisiejszéj potrzebie. Zapewne w poczet tego wydania wejdą i inne wielkiéj rzadkości pisma Kochowskiego, których zebranie stanie się prawdziwą zasługą dla piśmiennictwa. Winniśmy jednak zrobić tu uwagę wydawnictwu że przedrukowywanie wielu takich broszur co niemają dla teraźniejszości wielkiego interesu, gdyż były w interesie pewnéj chwili, pewnego wypadku pisane — niejest wcale pożądanem w składzie Biblioteki Polskiéj. Dla tego że jakaś broszura jest rzadką, czyż się już kwalifikuje do przedruku? Najczęściéj broszury te zapalające do wojny przeciw Turkom i Tatarom, są tylko słabem echem tych myśli które pierwotnie obwieścił Orzechowski lub Wereszczyński . . . Jeżeli głosy te niepotrafiły współczesnych tak zapalić, żeby złamali potęgę pogańską — nas jeszcze mniéj rozgrzeją, a badacza historyi niewiele nauczą, bo szczegółów i nowych poglądów historyczno-politycznych bardzo w nich

skąpo. Najczęściéj ogólnikowe gawędzenie szlachcica co *procul negotiis* marzy sobie o sprawach Rzeczypospolitéj.— Niebawem ma wychodzić zeszytami z litografii „Czasu“ *Album Krakowskie* — będą to nowe zdjęte widoki Krakowa i jego okolic z dołączeniem krótkiego opisu. P. Freidlein wydaje również *Album wystawy obrazów* — w którem najpiękniejsze obrazy tegoroczneéj wystawy Krakowskiéj w liczbie ośmiu sztuk znajdą się wybornym rysunkiem wykonane w najlepszym zakładzie litograficznym Berlińskim. Do obrazów dołączony będzie stosowny objaśniający je opis.

W drukarni „Czasu“ rozpoczęto druk książki przeznaczonéj dla ludu a napisanéj przez p. Ludwikę Leśniowską pod tytułem: *Historya Polska* zebrana w krótkości z małemi objaśnieniami jeografii i żywotów niektórych świętych i bohaterów polskich.

Wydawnictwo dzieł katolickich drukiem Budweisera wydało: *Społeczeństwo dzisiejsze w obrazach* p. W. Wielogłowskiego. — Zeszyt pierwszy obejmuje następujące obrazy: Możni Panowie — Szlachta — Magnaci Giełdowi — Kupcy. — Widzimy jak dowcipny ten obserwator życia i obyczajów naszego ludu wywiązuje się z postrzeżeń swoich nad wyższemi klasami społeczeństwa.

Lwów. W drukarni Manieckiego postępuje nieprzerwanie druk dzieł rozpoczętych. Tom piąty Słownika Lindego jest już na ukończeniu. W Monumentach historycznych ukończony został właśnie: Jana Kanaparza Żywot Św. Wojciecha. Ukończony także został druk pierwszego tomu Rysu dziejów zakonu kaznodziejskiego. Zawiera przeszło dwadzieścia arkuszy druku. Tom drugi tegoż dzieła niezwłocznie wejdzie pod prasę.

Ks. Sadok Barącz pracuje obecnie nad monografią Jazłowca i rodziny Jazłowieckich. Czyni on poszukiwania w archiwach tutejszych za materyałami odnoszącemi się do tegoż przedmiotu. Będzie to dzieło wykonane na podobieństwo dawniéj przez tegoż autora napisanych Pamiątek Żółkwi i Stanisławowa.

Rozpoczął się tutaj także druk powieści wierszem pod tyt.: Lis, przerobionéj z niemieckiego poematu Goethego: Reinecke Fuchs. Tłómacz zawiadamia we wstępie że miejsca, które mu się wydały niewłaściwemi przemienił lub opuścił, i w ogóle cały poemat do tutejszych okoliczności i wyobrażeń naszego ludu zastosował. Z tego powodu miejsce działania przeniósł do Polski, na Żmudź i Litwę. Cała książka będzie miała przeszło dziesięć arkuszy objętości.

Winiarz wydaje książki do nabożeństwa Jego nakładem wyszedł: Wieniec niebiański, czyli zbiór nabożeństwa katolickiego z szczególnem zastosowaniem dla pobożnych niewiast; z trzema stalorytami ozdobnie wykonanemi u Karola Mejera w Norymberdze. 16ka str. 338.

Pod prasą znajduje się: Złoty ołtarzyk itd. Wydanie nowe. przez ks. Stanisława Winnickiego, kapelana Białogórskiego poprawione i znacznie pomnożone z dwoma drzeworytami.

Wyszły tam w jednym obszernym i czysto drukowanym tomie: *Celniejsze Tragedye Rasyna* przekładanie Wincentego Kopystyńskiego — wydane staraniem Rodziny. — Tom ten ozdabia piękny portret Kopystyńskiego rylca Ant. Oleszczyńskiego. Oprócz biografii tłómacza znajdują się następujące trajedye: Brytanik, Berenika, Mitrydat, Ifigenia, Fedra, Atalia.

Poznań. U Żupańskiego wyszła książka przez bezimiennego z Litwy pod tytułem; *Głos Szlachcica do swych współbraci o wolności i równości kmiecéj.* — Autor powiada w przedmowie że co się tycze ważnéj kwestyi stosunków włościańskich głównie się radził dzieł Krzyżtopora. Pragnie on urządzenia gminy, która w nowéj reformie włościaństwa będzie stanowić główną podstawę.— Taż księgarnia mająca sobie oddawna powierzone wydawnictwo Pism Lelewela wydała obecnie *Polski dziejów jéj i rzeczy* Tom II. zawierający Dzieje polski potocznym sposobem opowiedziane, z dołączeniem nowych przypisków— Tom VI a w nim następujące pisma: Panowanie Stanisława Augusta — i przypiski; oraz porównanie dwu powstań 1794 i 1830—31. — Część przypisom poświęcona zawiera niektóre nowe lub mało znane artykuły. Tom VII Polska odradzająca się — dodatki do niéj — Porównanie trzech konstytucyi — Nowosilców w Wilnie.

Warszawa. Lipcowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły:

Historya tragedyi greckiéj, przez J. Węclewskiego.

Gladyator Reweński, tragedya w 5 aktach Fryderyka Halma, przełożył Bolesław Wiktor. Studya nad podaniami ludu naszego, przez Józefa Grajneta.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa Ary Scheffera. Wieczór na tamtym świecie, Gozlana.— Literatura. Teatra. Akademia.

Romans obyczajowy w Hiszpanii. Fernan Caballero i jego opowieści. La Gaviota. Elia czyli Hiszpania przed trzydziestu laty. Clementia. Opowiadania rodziny Alvareda. — Cuadros z Castumbues. Opowiadania. — Madryt 1857—1858.

Poezya. Wspomnienia z Alp i Salcburga. We wrześniu 1857 r. Eugeniusza Rönne (Monachium).

Kronika literacka. Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów Statutu Wiślickiego. Przez Stosława Łagunę. — Franciszek z Assiżu, przez Syrokomlę. Wilno. 1859. — Szkolne czasy, przez Syrokomle. Wilno. 1859. Poezye Antoniego Sowy. Petersburg. 1858. Przez Bolesława Wiktora.— Nauka języka polskiego z zastosowaniem jéj do najnowszéj gramatyki polskiéj P. Dawida. Lublin. 1858 Przez C. J.— (Polska w pieśni, ustęp z księgi pierwszéj). Lech, przez Deotymę. Warszawa. 1859. Przez Kazimierza Kaszewskiego. Czas dodatek miesięczny za m. styczeń. luty i marzec 1859.

Rozmaitości. Kilka słów o najnowszéj literaturze dramatycznéj we Francyi. Przez Henryka Merzbacha.

Wiadomości z nauk. O wzajemnéj zależności ciał fizycznych przez Grovego. Przez Stanisława Janikowskiego.

Korespondencye. Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od J. Ł. — Sprawozdanie Zarządu Wystawy krajowéj Sztuk Pięknych w Warwie, za czas od 3 lipca 1858 do 24 czerwca 1859 r. — Wydawnictwo dzieł Długosza.

Z wiadomości literackich lipcowego zeszytu podajemy niektóre zajmujące i ważne doniesienia ze świata literackiego:

— Zapowiedziany Tygodnik illustrowany wychodzić zacznie od 1 października r. b. Wydawca J. Unger po wycieczce za granicę sprowadził już dwoch zdolnych drzeworytników w pomoc miejscowym, maszynę nową i presera umiejętnego. Tytuł główny st nowi piękny widok Warszawy od strony Pragi, nad nim napis; „Tygodnik

illustrowany". Możemy już z pewnością sądzić, że pismo to co do artystycznego wykonania drzeworytów, jako i ich odbicia nie ustąpi żadnym illustracyom zagranicznym: co do treści bogate zasoby zebrane i spodziewane przez pisarzy polskich każą rokować, że będzie mogło odrazu zyskać współczucie czytelników i wielkie upowszechnienie.

— Zbioru Pamiętników Włodzimierza hr. Platera, tom VI i ostatni ukończony w druku został i wkrótce rozesłanym będzie. Wydawca w celu zebrania nowych zasobów na czas dalszy publikacyą tę zawiesza.

— Wspominaliśmy już o dziele naszego rodaka p. n. „Etudes sur la Revolution française de 1789 par un étranger". (Trzy tomy w 8ce drukowane w Paryżu u braci Didot). Po ukazaniu się zaraz tego dzieła równie pisma francuzkie jak angielskie zwróciły nań uwagę swoją. (Le Pays. 1857. The Saturday Review 1857. Londyn. The Gentleman our foreigne Courrier. 1858). Godzą się krytycy i angielscy w tem głównie, że wychwalają obrazy, które z wielką prawdą i życiem oddane zostały. Wyliczają szczegółowo takowe: jak obraz zdobycia Bastylii; pamiętnéj sessyi 4 sierpnia i kilku członków Zgromadzenia konstytucyjnego; szczególniéj też oddany wizerunek sławnego Mirabeau. Do tego rodzaju wizerunków należy i postać Woltera. Dowiadujemy się obecnie, że dzieło to już się tłómaczy na język polski i wkrótce przekład ten przez zdolnego literata dokonany zostanie. Wtedy czytelnicy polscy zapoznają się z tem dziełem, które „nietylko dotyczy dziejów Francyi (jak wyraził krytyk angielski) ale i świata w owem wielkiem przesileniu europejskiéj oświaty".

— Do ważnych i ciekawych zbiorów należy niewątpliwie zbiór etnograficzny p. Mikołaja Wisłockiego obywatela gubernii grodzieńskiéj. Zebrał on znaczną liczbę dawnych portretów polskich tak mężczyzn jak kobiet, nie tyle odznaczających się wartością pędzla, ile odznaczających się pod względem szczególnych ubiorów i strojów, charakterystyką fizyognomii, przedewszystkiem zaś historyczną wiernością wizerunków ludzi znanych w dziejach, w kościele i piśmiennictwie. Dla ubogacenia tego zbioru który już dziś dla archeologii krajowéj ma niemałe znaczenie, przedsiębrał po wielekroć podróże tak w kraju jak w dawnych prowincyach polskich i za granicę. Oprócz tych portretów, które już dziś starannie i umiejętnie wyrestaurowane zostały, p. Wisłocki ma zbiór niemały zabytków starożytności w rynsztunkach, pierścieniach, miniaturach itp.

— Od czasu przedstawienia „Halki" Moniuszki, pisarze nasi wzięli się ochoczo do librettów. Czeka na nie oprócz Moniuszki utalentowany nasz Ignacy Dobrzyński i inni muzycy. Korzeniowski napisaną Rokiczanę zastosowaną do wymagań sceny oddawna skończył; Moniuszko w r. b. ją przedstawi zapewnie w jesieni lub na początku zimy. Jan Chęciński dla tegoż kompozytora napisał libertto p. n.: „Paria": a operę Buffo kończy Włodzimierz Wolski. Blizkiem jest ukończenia także dla Moniuszki libretto Twardowski. Opera ś. p. Martina p. n.: „Wianki" z librettem Baltazara Gwozdeckiego jest gotową do przedstawienia Do Wiesława libretta pani S. z Ż. Pruszakowéj,

pisze muzykę Oskar Kolberg. Znany muzyk Kania ma pisać operę, do któréj libretto wkrótce będzie gotowe.

— Znane uczonemu światu jak i naszym artystom są zbiory obrazów, ksiąg, rękopismów i starożytności ś. p. Tomasza Zielińskiego, których obecnie posiadaczem est pan Alexander Bronikowski obrońca prokuratoryi w Kielcach. Ocenia on należycie wartość ich i pragnie dopełnić sumiennie myśli pierwszego ich zbieracza. Wtym celu katalog obrazów i rycin rezonowany napisał pan Sachowicz malarz.

— Michał Baliński, który od wielu lat tyle pięknych zasług położył w piśmienictwie naszem, pomimo wieku i słabego zdrowia nie ustaje w pracy. Przełożywszy do zbioru Dziejopisów krajowych z E. Wassenberga: „Więzienie we Francyi Jana Kazimierza“ Wydawszy w r. b. Pamiętniki Obuchowiczów i Cedrowskiego, jako viceprezes kommissyi archeologicznéj wileńskiéj pomaga usilnie téj nowéj instytucyi: obecnie zaś pisze i posuwa coraz daléj Pamiętniki o Janie Śniadeckim: kończy zaś pod tytułem: „Życie Poczobuta“ dwudziestoletnią historyą akademii wileńskiéj. Nadto porządkuje materyały do panowania Stefana Batorego: „Może dziejów jego nie napiszę (mówi w liście swoim ostatnim), ale przynajmniéj zarys czyli szkic panowania tego dzielnego człowieka i króla, bo mam niektóre materyały i korrespondencye jego, których inni nie mają“. Zdawszy gospodarstwo na syna, zamieszkuje w Jaszunach, zkąd na posiedzenia komisyi archeologicznéj lub zebrania obywatelskie do Wilna przybywa. Podziękował za urząd kuratora honorowego gimnazyum i instytutu szlacheckiego, a oddał się wyłącznie pracom literackim.

— Erazm Izopolski znany równie jako pisarz niepospolitego talentu i jako zbieracz Dum ukraińskich, zamieszkały w Połtawie, zamierza po raz pierwszy na rok 1860 wydać kalendarz dla południowéj Rusi. Ma on obejmować równie ważne jak zajmujące materyały, które wyjaśnią nam tak miejscowość jak i charakterystykę Ukrainy, która w dziejach naszych nie jednę kartę zajęła.

— Księgarnia Józefa Zawadzkiego po wydaniu: Listów z zagranicy Tadeusza Padalicy (Zenona Fisz) w 3 tomach ma ogłosić spis dokładny alfabetyczny do obrazu bibliograficznego A. Jochera, na który oddawna oczekujemy. Nakładem tejże księgarni rozpocznie się druk dzieła p. n.: „Silva rerum“. Staropolskie powieści K. Wł. Wojcickiego w 2 tomach; oraz wyjdą w r. b. z pod prasy J. I. Kraszewskiego powieści: „Metamorfozy i Kołek“. J. Korzeniowskiego: „Dramata opowiadane“, oraz „Podróż do Włoch“ Józefa Kremera trzy pierwsze tomy: dwa następne wyjdą w roku przyszłym. Całe dzieło ozdobione wielką ilością drzeworytów.

— Oddawna Życiorys hetmana Stanisława Żółkiewskiego starannie i pracowicie skreślony przez zbyt wcześnie zmarłego ś. p. Seweryna Gołębiowskiego oczekiwał nakładcy. Monografia ta zbogacona wielu nieznanemi szczegółami, a do tego listami samegoż hetmana, które po raz pierwszy drukiem ogłoszone zostaną, wysoką ma wartość literacką i do dziejów polskich niemało dorzuci światła. — Teraz dowiadujemy się, że zasłużona dobrze krajowi firma Józefa Zawadzkiego w Wilnie, pracę tę własnym nakładem wyda w 2 to-

mach; druk już nawet daleko posunięty został. Nakładca robi obecnie starania w celu wyszukania najpodobniejszego portretu wielkiego wojownika. Też same starania robi i August Bielowski do ozdobnego wydania Historyi wojny moskiewskiéj, przez Żółkiewskiego napisanéj. Tak równocześnie będziemy mieli dwa dzieła łączne i nierozdzielne z sobą, które ubogacą naszą gałąź literatury historycznéj.

— Eustachego Maryłskiego: „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych" wkrótce ukończone zostaną w druku. Ryciny co chwila spodziewane. Format i druk autor zastosował do dzieła K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą".

— Księgarz Alexander Nowolecki, którego nakłady odznaczają się wielce umiarkowaną ceną, wydał drugą edycyą Poezyj Teofila Lenartowicza w 2 częściach po złp. 3 gr. 10 za exemplarz. Zbiór ten obejmuje i pierwiastkowe utwory i późniejsze tego ulubionego poety.

— Alexander Zdanowicz, znany w naszem piśmiennictwie oddawna z prac sumiennych na polu dziejowem, ogłosił w Wilnie (nakład i druk Józ. Zawadzkiego): „Szkic historyi polsk. dla dzieci w dwóch kursach" z tablicą chromolitografowaną i mapką dawnéj Polski. Jestto jedna z książek podręcznych w domowem wychowaniu wielce użyteczna. Po przemowie objaśniającéj cel dzieła, autor daje słowniczek wyrazów i wyrażeń historycznych z objaśnieniem; następnie chronologią królów polskich, małą geografią dawnéj Polski, do której należy mapka, opisuje rzeki, góry, podział kraju, przeplatając opisy swoje wyjątkami z pieśni Pola. Co do chronologii polskiéj używa metody Jaźwińskiego i w tym celu dołączoną jest tablica chronograficzna. Po czem od str. 79 do 170 następuje kurs pierwszy historyi polskiéj, a od 171 do 277 kurs drugi dla dzieci dojrzalszego wieku. Zamyka swój wykład genealogiami domu Piastów i Jagiellończyków.

— Adam Pług (Antoni Pietkiewicz) napisał: „Duch i krew" kilka zarysów z życia towarzyskiego. Wkrótce ujrzymy go z pod prasy drukarskiéj, gdyż wyjdzie nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

— Nakładem księgarni Michała Glücksberga kończy się druk dzieła: „Rys historyczny opery polskiéj przez Maurycego Karasowskiego", z pięcią portretami, jako Wojciecha Bogusławskiego, M. Kamińskiego, Elsnera, Kurpińskiego i Stefaniego. Nakładem tejże księgarni wyszła powieść Włodzimierza Wolskiego: „Domek przy ulicy Gołębiéj", jestto przedruk z odcinku Gazety Codziennéj.

— Druk „Encyklopedyi Powszechnéj" bez przerwy postępuje: odbito już na czysto arkuszy 45, wydrukowano do litery *AO*. Najdaléj w pierwszych dniach lipca cała litera *A*, która do najobszerniejszych w rozmiarach Encyklopedyi należy, ukończoną zostanie. Wydawca zamierza bez względu na ilość arkuszy tak tomy urządzić dla dogodności czytelników, aby każda z większych liter tom stanowiła, wyjąwszy mniejszych rozmiarów liter, z których po dwie i trzy pomieszczą się w jednym. Do rzędu tych należą: *E, F, G, H, U, Y, Ź, Ż*. Całe dzieło, nie przeniesie dwudziestu tomów. Pierwsze zeszyty, które regularnie w oznaczonym czasie wychodzić będą, ukażą się w sierpniu r. b.

— Druk „Szkiców historycznych", Leopolda Huberta już się rozpoczął w drukarni J. Jawor-

skiego i nakładem tegoż typografa. Do następnych seryj młody nasz pracownik przygotowuje zajmujące materyały głównie dziejów polskich dotyczące.

Wilno. Drukiem Glücksberga wyszedł gruby tom pod tytułem: *Pismo Zbiorowe Wileńskie.* — Mieści on wiele bardzo zajmujących artykułów. Najprzód idą poezye Leonarda Sowińskiego, Deotymy, Syrokomli — następnie proza: Lekarz domowy dyalog dramatyczny p. Wójcickiego. — Podróż na około świata p. Zbigniewa — Zbiory Kanonów p. X. Biskupa Krasińskiego. — Zarysy z czasów pogańskich Litwy p. Jaroszewicza — Józef Sapieha p. Bartosiewicza. — Wiadomości o Uniwersytecie Wileńskim p. X. Jundziła — Wiadomość o krwawym diable p. Przyborowskiego — Znaczenie języka litewskiego pod względem naukowym p. K. A. K.— Ramoty Starego Dietiuka o Wołyniu, zebrał A. Andrzejowski — Xiążę Udalryk Radziwiłł p. Bartoszewicza — *De rusticorum regni Polonici* Brueggencya p. Bartoszewicza — Deotyma, Szkic do dziejów poezyi p. Tyszyńskiego — Bibliografia Wileńska. — Listy z Warszawy— z Paryża— o Turcyi.— Dodatek: Domowa zagroda komedyjka w jednym akcie z Feuilleta przełożył Horain.— W tejże drukarni wyszła *Wiadomość historyczna* o Zamkach: Horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi litewskiéj przez Konstantego hr. Tyszkiewicza — wydał A. H. Kirkor.— Są tu archeologicznie opisane trzy zamki: w Czasznikach — w Birżach — i w Ulle. — Wartoby żeby za tym przykładem wzięto się i u nas do opisywania zamków których mamy tak znaczną liczbę.

Moskwa. Wyszedł tu pierwszy tom dzieła p. n.: „krainiec", wydany przez Maksymowicza, znanego z wielu pism o literaturze małorosyjskiéj. Najwięcéj obchodzącym nas w tem dziele artykułem są: „Listy o Bogdanie Chmielnickim", oraz dobrze opracowany opis historyczny miasta Połtawy. W Saratowie, któryśmy poznali lepiéj z Pamiętników Ewy Felińskiéj, wydanym został przez Mordowcowa: „Zbornik Małorosyjski"; tu najciekawszym dla nas jest zbiór 202 pieśni ludowych zebranych w zachodniéj stronie gubernii wołyńskiéj przez Kostomarowa, pomiędzy któremi wiele jest nieznanych dotąd, lub waryantów znacznie różniących się od podobnych pieśni już drukowanych przez rosyjskich i polskich zbieraczy.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.